

TONI
SEN
YSKI



TUL
TINA

C U D A
P O L S K I



K. Sichulski: Władca gór

PIĘKNO PRZYRODY / POMNIKI PRACY
ZABYTKI DZIEJÓW

» C U D A P O L S K I «

W cyklu tym ukazały się następujące tomy:

JERZY SMOLENSKI
MORZE I POMORZE

ALEKSANDER JANOWSKI
WARSZAWA

JERZY SMOLENSKI
WIELKOPOLSKA

STANISŁAW WASYLEWSKI
LWÓW

GUSTAW MORCINEK
ŚLĄSK

F. ANTONI OSSENDOWSKI
POLESIE

JERZY REMER
WILNO

RAFAŁ MALCZEWSKI
TATRY I PODHAŁE

F. ANTONI OSSENDOWSKI
PUSZCZE POLSKIE

F. ANTONI OSSENDOWSKI
HUCULSZCZYZNA

Dalsze tomy w przygotowaniu

Mr. 410.

F. ANTONI OSSENDOWSKI

HUCULSZCZYNA

GORGANY I CZARNOHORA



W dolinie Hromitnego

BIBLIOTEKA
Państwowego
w GLINIECACH

WYDAWNICTWO POLSKIE

<R. WEGNER>

POZNAŃ



13408



WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

*

Układ ilustracyjny i graficzny
JANA KILARSKIEGO

*

Druk rotograwurowy wykonała
DRUKARNIA ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU

*

Okładka wielobarwna według obrazu
KAZIMIERZA SICHULSKIEGO

*

Printed in Poland

*



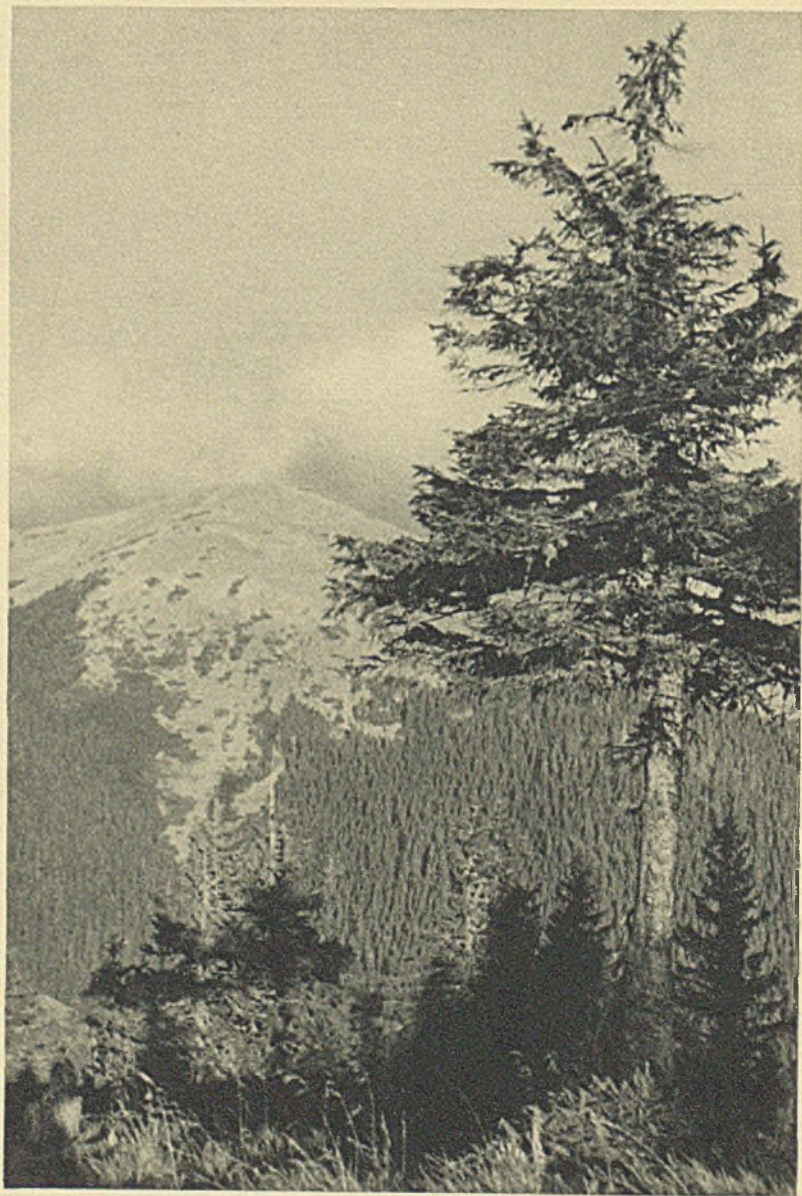
908 (438)



SN 18759

„*To Polska —
to ojczyzna nasza*“

ALEKSANDER FREDRO



„Nic nie mąci skupionej zadumy wierzchów gorgańskich“



„Słoneczne lato czyni ten górski kraj celem zbawiennej ucieczki dla ludzi miejskich, potrzebujących ciszy, kojącej duszę i ciało“

SŁONECZNY KRAJ



*Kwiat rozslonecznionej
krajiny*

Daleko na południu ostrym klinem, niby żądłem oszczepu, wcina się Polska w górzystą w tym miejscu ziemię rumuńską. Tam, gdzie kraina wielkich połonin, jak morze, otacza szczyty Czywczynu i Rotundułu, Komanowej i Hnytesy, — leży południowy, słoneczny, barwny cyfel naszej ojczyzny. Na skraju jego, ze spychów gór, zacienionych świerkowym borem, wypływa Perkałab, aby, wchłonawszy warcotliwe potoki Szyroki, Tonki i Czorny, a potem zarubieżną Saratę, burzliwym

i wartkim Białym Czeremoszem pomknąć na północ, pojednać się ze swym Czarnym bratem, zbiegającym ze zboczy Palenicy, i, niby fosą odgrodziwszy ten szmat prastarej ziemi polskiej od sąsiada, wylać się z hukiem i pluskiem do Prutu, a z nim razem — do Dunaju i do morza Czarnego. Od tej rozślonecznionej krainy rozpostarły się niby pióra olbrzymiego wachlarza grzbiety Czywczyńskie i Hryniawskie o setkach nazw i szczytów, aż jeden z nich, co nosi miano Stoha, stanął na rozstaju trzech naraz granic — polskiej, czesko-słowackiej i rumuńskiej — wielki znak rubieżny, u którego stóp rodzi się potok Szybeny — ten sam, co to niegdyś pozrywał warstwicę skalne z gór nadbrzeżnych i jezioro głębokie utworzył.



Widok na Kosmacką dolinę

Ale dalej i dalej ku północy odchodzą góry, gońców posyłając na zachód i wschód, aż spiętrzy się potężna ściana Czarnohory i łagodniejsze wężyc się poczną od niej uskoki Beskidu Huculskiego, a za przełęczą Tatarską — rozbiegną się Gorgany surowe, poczem cały ten kraj obniży się znacznie, przystroi się zielenią buków

i dębów i opadnie nagle na równinie, gdzie fioletowe i niebieskie fale płyną po złotych niwach i gdzie od wieków istniejące znaczne skupienia ludzkie — Stanisławów, Kołomyja, Dolina, Nadwórna, Delatyn, Kuty i Śniatyn troskają się o spokój i dobrobyt ludzi, co lesiste i połoninne wierchowiny za siedzibę sobie obrali.

Ten to kraj jeszcze w drugiej połowie ubiegłego wieku stanowił odwieczną ojczyznę Huculów. Burze dziejowe, głębokie wstrząsy społeczne i polityczne zmusiły ten prastary szczep góralski do cofnięcia się ku Prutowi i zamknęły go wreszcie w granicach Beskidu Huculskiego, Czarnohory i grani połoninnej, na najdalej ku południowi wysuniętym krańcu Polski.

Na ich dawnych ziemiach rozsiedli się Bojkwowie i inni Rusini, ale ślad swój Huculi odcisnęli tu na całym życiu górali gorgańskich, mających swe zagrody pomiędzy Świcą i Łomnicą i nad — Bystrzycą Nadworniańską, chociaż i poza nią przetrwały jeszcze brońące barwnej i tradycyjnej swojszczyzny wsie i zagrody huculskie. Ostatnie to oazy, ostatnie niezdobyte jeszcze reduty, świadczące o dawnych granicach Huculszczyzny, w naszych żelaznych czasach odsuniętej za obie Bystrzyce — Sołotwińską i Nadworniańską.

Granice te ogarniają znaczną część Karpat Wschodnich, dzwona jednego z największych w Europie systemów górskich — Alp, łańcucha skalnego, który zaczyna się w okolicach Nicei nad morzem Liguryjskiem, a kończy się koło Warny — nad morzem Czarnem. Stanowiąc środkowe ogniwo tego łańcucha, w dwóch miejscach opierają się Karpaty o Dunaj, który przy ich początku oddziela je od wschodnich gałęzi alpejskich przedgórzy, a przy końcu — pod Orsową — od systemu Bałkańskiego.

Cały ten splot górski przeżył niezmiernie burzliwe dzieje, wypiętrzył się bowiem nagle w okresie trzeciorzędowym, gdy to powtórzyły się wymyślnie powyginane faldy i płaszczowiny przy nasunięciu jednych warstw na drugie. Wtedy też zdarzyły się liczne i potężne spekania, zapadnięcia się w niektórych grzbietach, wylewy law, a na południowych zboczach powstały nawet wulkany czynne. Tam i sam przechowały się jeszcze resztki dawnych gór, które wznosiły się tu przed ostatecznym wypiętrzeniem się całego łańcucha. Woda, powietrze i klimat zmieniły oblicze i zarysy pierwotnego grzbietu, niszcząc go, zdzierając te lub inne warstwy i tworząc odmienne krajobrazy górskie. Jakżeż stare są te szczątki powoli zanikających łańcuchów i szczytów! Nieprzerwanym korowodem przepłynęły nad nimi burzliwe czasu potoki; kataklizmy gigantyczne

wstrząsały niemi, targały i przerażały niepowstrzymaną powodzią zmian najprzeróżniejszych, a tak mocarnych, że nowe oblicze nadawały ziemi. Nie zapomniali o tem góry sędziwe, przechowały w pamięci zjawiska gwałtowne i groźne, bo, zdawało się wówczas, że w posadach swoich runie miotana niemi planeta nasza — igraszka sił przepotężnych. Strachem objęte i osłabłe poddawać się jęły mocom pomniejszonym a nieodstępny i uparty, aż kruszyć się poczęły stare wierchy i pękać masywy skalne. Nie zdzierżyły w walce z siłami ziemi i słońca i zapadł wyrok nieodzowny — wyrok śmierci. Natura wykonywa go nielitościwie, acz miliony lat trwa owe wykonanie. Rok po roku głębsze i szybsze zachodzą zmiany w zgrzybiałych cielskach prastarych gór pierwotnych i nic już zaleczyć i zagoić nie potrafi ich ran śmiertelnych i blizn rozwartych. Już wnętrza gór otwierac się poczęły i zdradzac minionych epok tajemnice. Dociekliwy umysł ludzki już przejrzał wszystko i wszystko zbadał. Na złomach skalnych, na warstwicach pogiętych i w miale piargowym odnalazł hieroglify tajemne i, odczytawszy to pismo kosmiczne, zrozumiał sędziwość tych gór, ich milczące przerażenie i tragiczne etapy bezkresnego konania.

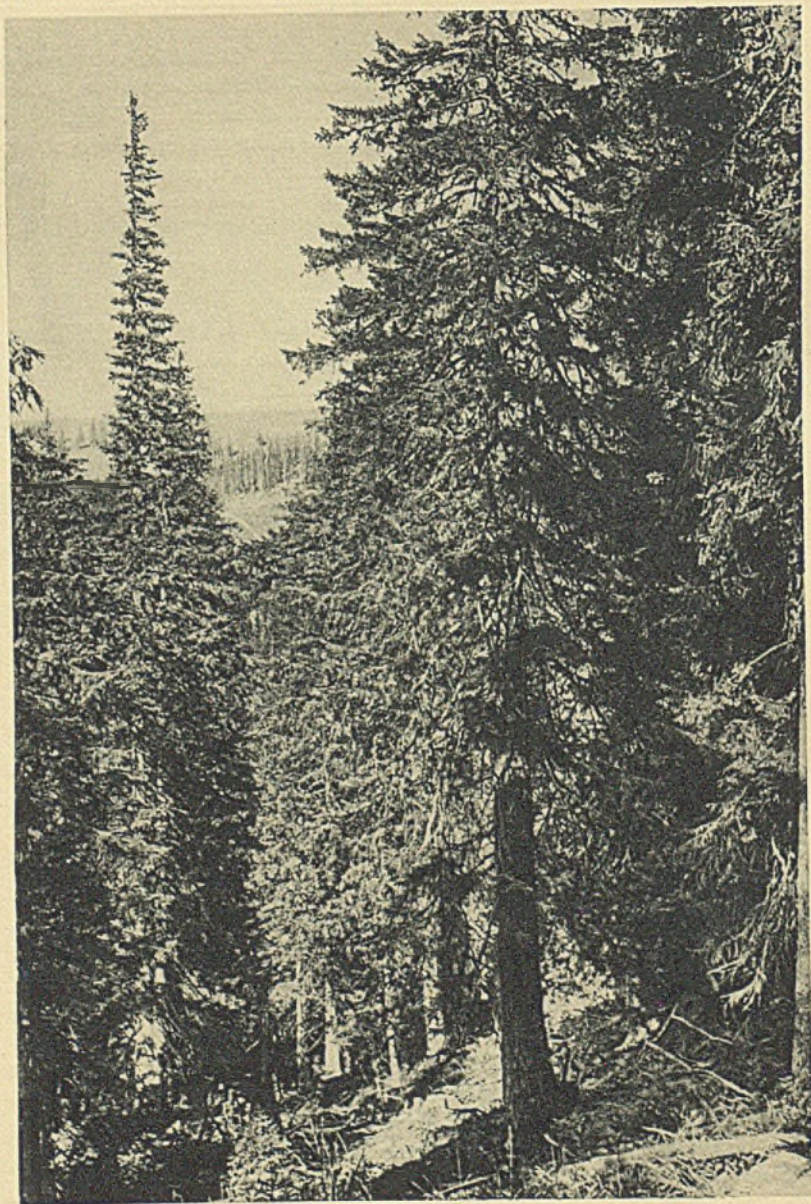
Piaskowce, skały starszych okresów i miejscami — utwory wulkaniczne składają się na masyw systemu Karpackiego, na naszym południowo-wschodniem pograniczu podzielonego na trzy osobne grupy górskie — Bieszczady z najwyższym szczytem — Pikuj, dosięgającym 1405 metrów, Gorgany — pomiędzy rz. Świcą a Prutem, uwieńczone wysoką na 1812 m. Sywulą, i wreszcie — Czarnohorę, nad którą panuje Howerla z wysokości 2058 m. Górzysta ta kraina w głębi swej kryje znaczne bogactwa, w małym zaledwie stopniu przez ludzi odniedawna wykorzystywane. Odwieczni posiadacze tej ziemi nie odważali się nigdy sięgnąć po skarby jej wnętrza, gdyż wierzyli i wierzą, iż ponoć w głębi gór, tuż-tuż pod darniną i pod szaro-burą próchnicą leśną czai się „didko“, djabeł, strzegący swojej własności. To też nietylko liczne „ropyszcz“, „banie“, lecz nawet i złoto, o którem głośno było niegdyś na Bukowinie, nie pociągały ku sobie Huculów. I nietylko na Bukowinie rozpowiadano sobie nęcące gadki o skarbach Wierchowyńy zielonej. Nad Tybrem, w grodzie wilczycy głośno było o głębokich wąwozach, gdzie w piaskach, wśród zwałów skalnych, połyskują kawałki złota przez wartkie prądy rzek i potoków obtoczone, ni to wprawną ręką tokarza, lub rozplaszczone ni to pod młotem kowala. Te wieści przynosili legjoniści cesarów, co na najdalszych krańcach ziemi zatykali

srebrne „signa“ kohort z orłami rzymskimi. O złocie, ukrytem w spychach górskich, słyszano w grodziskach Gotów surowych, gdzie o podboju tej krainy marzono, aż nastał dzień upragniony, gdy zbrojni mężowie północni, słonemi wichrami morskimi owiani, do zrenic synów Karpat słonecznych groźnie i chciwie zajrzeli. Na Rusi



Dolina Czarnego Czeremosza pod Żabiem

kijowskiej i moskiewskiej gwarzono o złotonośnych potokach i o kamieniach, złotymi pociętych żyłami. Na Wschodzie, gdzie imię Allaha sławiono i dla „niewiernych“ wykuwano zagładę, sam padiszach i wielcy kalifowie chciwem uchem chwyтали wieści drażniące, o złocie, przez Ormian kupczących i niewolników, w jassyr porwanych, roznoszone po krajach Proroka. Na północy, w uskokach Gorganów i Beskidów Huculskich, dawno odkryte zostały i częściowo eksploatowane złoża ropy naftowej, gazy, воск ziemny i sól, na południu zaś — rudy galenitu, zawierającego srebro, pokłady żelaza, manganu, jak też doskonałego piasku dla hut szklanych i kwarcowo-wapiennych zlepieńców, poszukiwanych do wyrobu ka-



Źródlik Prutu strzeże puszcza świerkowa

mieni młyńskich. W wielu miejscowościach z piersi gór tryskają lecznicze źródła mineralne — zimne i ciepłe, dotychczas prawie niewyzyskane. Tymczasem ileż to cudownych niemal wód posiada ta górską kraina! Jakich tylko niema tu odmian! Przeróżne źródła solne, o działaniu tak silnem, że równych trudno by znaleźć w innych dzielnicach. Czy są one wyjątkowo bogate radem? Czy ich skład szczególnie ma wpływ na choroby, jak na przykład, sól delatyńska? Tego tymczasem nie wiemy, bo przecież tak mało zazwyczaj zwracano uwagi na te źródła cudowne. Mamy tu też wody żelaziste i siar-



K. Sichulski: Rybak

czane, a kto wie, czy w kosmackiej kotlinie nie dałoby się wykryć polskiego „Levico“ — źródła o pewnej zawartości arseniku, bo wszakże i o tych solach Huculi razporaz przebakują. Ale to, co jest już znane, to zaledwie mała część! Ludzie leśni i kiermanycze rozpowiadają, że jelenie i rogacze robią dalekie wędrówki do źródełek, ukrytych w puszczy lub sączących się po zerwach Czeremoszów. Przychodzi tam i niedźwiedź chory i — słabnący wilczura, — wiekiem sterany. W pobliżu Burkutu, tuż nad rzeką, spod ziemi

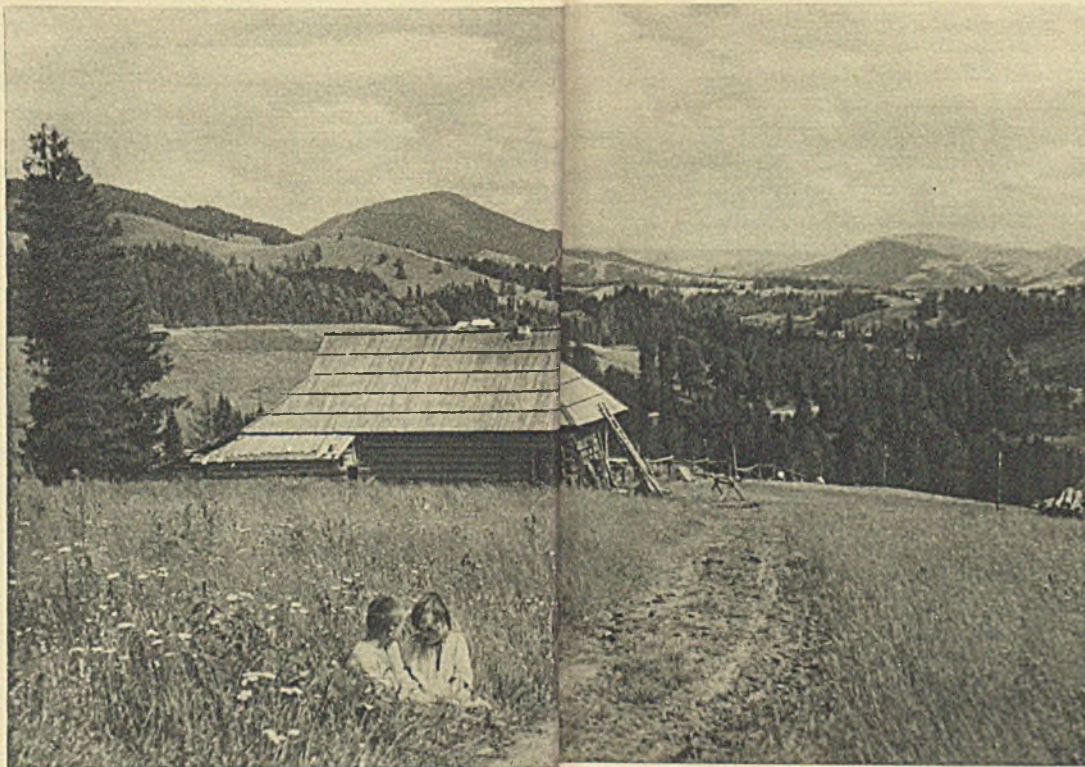
wytryska sławna „Doboszowa Krynica“, co jak szlachetne, mocne wino sił przysparza znużonemu turyście, tajemniczą zaś mocą Hucułom szczęścia udziela w każdej sprawie. Wiadomo — czary Ołeksy-wataha.

Huculszczyzna posiada inną jeszcze wartość i skarby bezcenne, stanowiąc idealny teren uzdrowski, turystyczny i sportowy. Gorące, słoneczne lato czyni ten górski kraj celem zbawiennej ucieczki dla ludzi miejskich, potrzebujących idealnie czystego powietrza, przepojonego ozonem i żywicą, ożywczej, niemal cudownej wody źródlanej i ciszy, kojącej ciało i duszę. Południe, gdzie dojrzewa kukurydza złota i pełne słonecznej cieczy wino, morele i brzoskwinie, południe to woła tu radosnym, bujnym głosem bachantki: „evoe!“

Turyści znajdują tu ścieżki znakowane i nieznakowane pąje, które zaprowadzą ich do serca siedzib huculskich — barwnych i nigdzie więcej niespotykanych, na szczyty gór i na wysokie połoniny, gdzie za pasmem regli i kosówki, na łąkach bezkresnych i spadzistych płynie cudownie proste i niczem niezmażone życie pasterskie, a, gdy zima nastanie i sadyż srebrną roziskrzy łapy świerków, wierchy i granie, okrywając je puszystą szatą śnieżną, — jakież to bezmiar przestrzemi przekażą sportowcom Gorgany, Czarnohora, Beskid Huculski i Czywczyn



...i na połoninie



Idylla na kwietnej,...

na tereny 'narciarskie, gdzie wprawa, odwaga i błyskawiczna orientacja znajdą prawdziwe pole do popisu. Rybak znajdzie tu w niezliczonych rzekach i potokach wymarzoną zdobycz — pstrągi w kilku odmianach, lipienie i królową dorzecza Czeremoszu — dra pieżną głowacicę, w kamiennych wybojach mającą swój schron zbójceki.

Myśliwy... Któż nie sły szał, że Gorgany i Huculszczyzna to błogosławiona ziemia wspaniałych łowów?! Jeleń o najpotężniejszych wieńcach; kozły o widlastych, bogato uperlonych porożach; dziki cięte i szabliste; tokujące po borach na zgrzewkach wiosennych głuszce górskie — okazalsze i namiętniejsze od ich nizinnych pobratymców; jarczabki furkotliwe, w mroku borów się gnieźdzące, a wreszcie... plamisty zbójnik — ryś i... „tot welykij“ — niedźwiedź bury, wróg

...słonecznej łące...

watahów i juhasów, postrach bydła na pastwiskach, gdy z otoku czarnych lasów wynurza się ze swej „gawry“ — barłogu i porywa daninę, księciu puszczy należną.

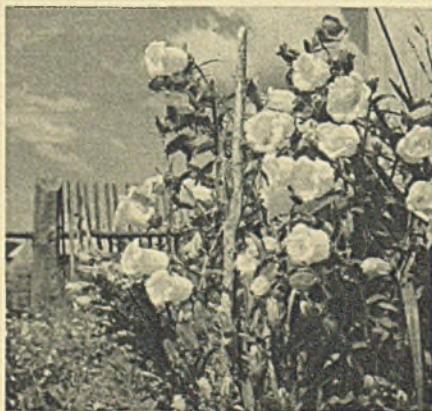
I jeszcze inną wartość posiada ten kraj, — wartość, co najsilniej pociągać tu musi mieszkańców wielkich miast, ludzi żadnych zdrowia, wypoczynku, ale też i... wrażeń, których dostarczy sam lud huculski, jego życie pierwotne, proste, a pełne wewnętrznej treści, mądrego zadowolenia i nieodgadniętej tajemnicy. Watahowie i juhasi na połoninach, patrzący w oblicze nieba i słońca i rzadka tylko



Ślepcy grają

spozstrzegający u stóp swoich gór zlekka pogardzane życie, płynące w nizinach; barwni, potężni i zuchwali kiermanycze, wartem rzek prowadzący tratwy-„daraby“; odwieczny kłusownik, szukający w pościgu za zwierzem ujścia dla burzącej się w nim krwi dziadów — opryszków-zbójników; gazda, spokojnie gospodarzący w swej „graździe“, niby w kasztelu średniowiecznym, i wreszcie natchniony artysta, co jakieś echa dalekie, wspominki bujne lub rzewne wczarowuje w swe przeróżne, barwne „pisania“.

I ten to lud bajecznie barwny, o kipiących w głębi jego duszy i serca namiętnościach i porywach, gniazda swe pobudował w najdalszym kącie Rzeczypospolitej, gdzie wysokim murem stanęły jedyne na całej jej przestrzeni prawdziwe, niedostępne granice naturalne — wierchowiny Karpackie, wykochane w gadkach i pieśniach huculskich, po tysiąc razy rozślawione od zielonej Hnytesy aż po szare kopuły Howerli i Sywuli, po zgiełkliwe Kołomyi i Kut targowiska.



Słońcem upojone kielichy kwiecia



Grońca i Parenki nad puszczą dziewiczą

CZĘŚĆ PIERWSZA

GORGANY

ROZDZIAŁ PIERWSZY

NA SZCZYTACH I PRZEŁĘCZACH



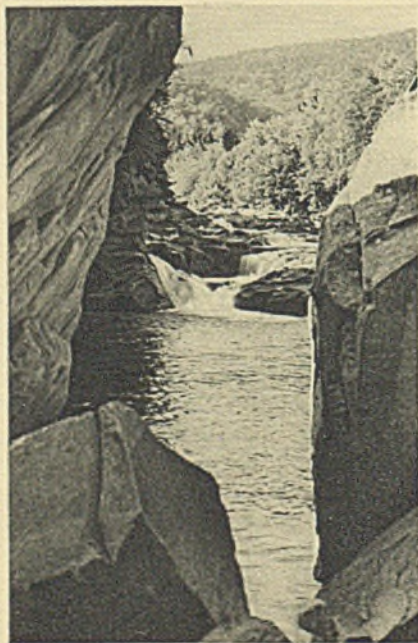
Pomiędzy przełęczą Wyszkową i rzeką Świcą na zachodzie a przełęczą Tatarską i Prutem — na wschodzie przeciągnęły się łańcuchy najdzikszej bodaj i najmniej zaludnionej części Karpat, Gorgany. Wznosząc się do wysokości 1800 m, posiadają one krajobraz odmienny od reszty Beskidów. Ponad lasami, gdzie panują świerki, o wyjątkowo spoistym, mocnym i prężnym drewnie, poszukiwanem przez angielskich i amerykańskich fabrykantów fortepianów i instrumen-

Na grani granica



tów strunnych, i gdzie występują większe zbiorowiska jodły, a nawet tragicznie zanikającej limby, wznoszą się najwyższe szczyty gorgan-
skie — Popadja, Ihrowyszcze, Gorgan, Sywula, Doboszanka, Kamie-
nisty Syniak i piramida Chomiaka, co niby baszty narożne, bronią
dostępu do wnętrza dzikich gór.

Od podnóża gór aż do wysokości 1500 m pną się tu lasy po zbo-
czach, niby usiłując ukryć przed wzrokiem ludzkim częstokroć
nagie szczyty, przywalone potwornymi rumowiskami głazów pia-
skowcowych, gdzie żadna utrzymać się nie może roślina, chyba
jakiś porost szary i suchy. Nawet potężnie rozrastająca się ponad
linję lasów kosodrzewina niema sił zdobyć tych złomisk jałowych.
Ponure, budzące niepojętą trwogę roztaczają się tu widoki... Czy
walczyły tu na życie i śmierć potężne olbrzymy, ciskając te głazy,
rozrzucone w nieładzie, i żelaznymi stopami tratując wierchy ka-
mieniste? Czy może to „aridnyk“ — ów djabeł góralski — w gniewie
beźmiernym poszarpał skały szare i rozmiotł je z przekleń-
stwem zabójczem? A może w czarną noc jesienną skrzyknął



„dzidko“, stęskniony zabawy,
młode wiedźmy i stare, niawki,
topielice i wszelkie duchy złe
i zjawy straszne, aby pohulały
pod poświst wichury, pod jej
zawodzenie i chichot złowrogi?
A może było inaczej? Może
to niebo cisnęło pioruny i po-
trzaskało te skalne masywy?
Może mrozy ostre ścięły wodę
w szczelinach ukrytą, i rozsa-
dziły te bryły na łom, na piarg?
Może to wichry halne zmiatają
rzucane przez puszcze zarodki,
zwiewają próchnicę i gaszą naj-
słabszą nawet iskrę życia?

Na Sywuli osypy skalne po-
zdzierają niegdyś ze zboczygó-
ry duże połacie borów i wcię-
ły się w nie głęboko martwemi
zwaliskami, co jak kurhany
mogilne kryją pod sobą pio-
ny, zdruzgotane i przetarte

Wodospád Prutu w Jaremczu

ostremi graniami głazów. A gdzie złomiska te dotoczyły się do bocznych szczytów i kotłów, tam przysypały je miałem skalnym i grubym piargiem, poprzez które z trudem przebija się trawa szczeniasta i twarde pędy jakichś krzaków wynędzniałych. Wiatr nigdy, zda się, nieustający dmie tu w dzień i w nocy, napęcza białe i czarne chmury, co opasują nagi wierch zwojami rozmiotanych i zwiewnych oparów lub kurzą się złowróźnie, przepowiadając ulewę i burzę stogłosą. Nawet wtedy, gdy szczyt Sywuli i jej płaszcz zielony, zarzucony niedbale na barki skalne, pławia się i lśnią w powodzi słonecznej, jakąś grozą wieje od tej góry. Być może ona i jej siostrzyca — Doboszanka, taka też naga na kopule i niegościnna, widziały niegdyś coś straszego niewymownie, co jak orkan przemknęło nad Gorganami, a one zapamiętały wszystko na całe swe życie aż do chwili, gdy na piarg rozsypią się ich cielska kamienne.

Kiedyż to i jakie zdarzyły się tu wypadki tak straszne i ponure? Być może, wierchy gorgańskie przechowują w pamięci długie, przeżające lata, gdy przez te góry i puszcę przedzierały się niezbrane hordy, od wielkiego trzonu wędrowki ludów oderwane, niby wichrem złamane konary? Czy, może, wtedy, gdy krwawe zagony Mongołów Batu-chana kopytami koni stepowych tratowały Czarną Połoninę i przełęcz Tatarską, aby wpaść do ludnej i bogatej doliny Prutu i Dniestru? Któż potrafi odpowiedzieć na te pytania? Należy raczej dostrzec inne szczegóły i zrozumieć wtedy to, o czym myślą posępne, nagie wierchy tych łańcuchów górskich. Oto po zboczach Sywuli tkwią dodziśdnia zasieki, gdzie na pniach zbutwiałych rdzewieje sieć drutów kolczastych i ciągną się rowy strzeleckie — straszliwe legowisko udręki i śmierci żołnierskiej. Szalały tu bowiem w pierwszych latach wojny światowej krwawe duchy mordu i zagłady. Pod Sywulą też biegną na zachód i południe słupy, wyznaczające granicę naszą z czeskim sąsiadem, a wkopane tu po długich, niestety, i groźnych sporach. Dalej — na zboczach Doboszanki przez bór świerkowy, przez gąszcz młodej porośli i nieprzebytego podszycia leśnego wije się niby wąz droga, dylami przed laty wymoszczona. To nasza „żelazna” brygada legjonowa ciągnęła tam działa i tabory, krwią znacząc każdy swój krok i wykuwając zwycięstwo, bo ku niemu tylko dążyły szare szeregi młodych, natchnionych żołnierzy, brnąc przez zasypany śnieżne po rozłogach i urwiskach górskich. Całą otchłań męki ludzkiej, całą głębię rozpaczliwego wysiłku młodzieży polskiej, zwracającej ojczyźnie ten kraj gór i puszczy, widziały podówczas Gorgany — i dla-

tego to zapewne wierchy ich są tak nasępięone i tak chmurne, że nie zdołały ich rozradować nawet piorunujące zwycięstwa pod Rafajłową, Zieloną, Pasięczną i Pniowem, bo dane im było widzieć i wyczuć męczeństwo i nadludzkie wyrzeczenie się własnych celów i własnego życia tych, co tu polegli, i tych, co zapędzili się daleko, daleko... Teraz trawa wysoka i gąszcz krzaków coraz bardziej ukrywa te miejsca ofiar i zmagani krwawych. Nikt już nie znajdzie miejsc, gdzie ziemia przyjęła w swoje łono kości żołnierskie. Rdzewięją druty, a ptaszęta wolne wypiewują na nich swoje hymny proste, a pełne radości życia, zachwytu w obliczu słońca i wolności bezkresnej — hen — od szczytu do szczytu przeciągnęła się tam niebieska i złocista droga, a tamta, co wabi łagodną barwą fioleto, biegnie w niziny zielone, inna znów — szafirowa — wiedzie w tajemny puszczy mrok. Śmierć odleciała stąd oddawna, lecz ślad jej pozostał — le-mieszem krwawego pługa pocięte bruzdy rowów strzeleckich. Gnią w nich stojaki i pułapy, osypują się skarpy, a chwast i trawa bujna, wypierając z gleby, krwią użyźnionej, zarasta już węzową linię okopów. Z rokiem każdym w niepamięć przechodzą te odcinki wielkich bojów i pozostało tylko wspomnienie o tych górach, bohaterstwem stokrotnie wślawionych. Ale nie! I tam i sam osieroczone matki i dumni, mimo że smutek ścisłał im serca, ojcowie poległych biegną myślą ku Sywuli i Doboszance, ku przełęczom gorgańskim i słonecznej dolinie Bystrzycy, gdzie wierni ojczyźnie synowie oddali swoją krew i życie młode — górne a chmurne.

Nic nie mąci skupionej zadumy wierchów gorgańskich, bo od Świcy do Łomnicy rozparł się tu kraj bezludny, gdzie tylko słycać głośy pastuchów, gdy „połonyna zakosyczyt sia“, okrywając się zielenią bujnych traw i kobiercami kwiatów jaskrawych, gdzie pasą się owce, krowy i konie — „marżyna“ górala, który, nie spuszczaając z niej oka, — stróżuje jej w dzień i w nocy. Czasami też dobiegać pocznie łomot siekier w puszczy i nawoływania drwali. To człowiek obcy tej ziemi posłał ludzi gór na poręb lasu, aby spuszczaali świerki strzeliste i zwozili je do leśnej kolejki, zbiegającej ku Osmołodzie. Ta jedyna tu większa osada, leżąca na zlewisku Mołody i Łomnicy, jest prawdziwą stolicą drwali, ukrytą w otoku borów, ponad któremi, niby kopce nad grobami olbrzymów, piętrzą się szczyty Wysokiej, Grofy i Popadji. Ale i za Łomnicą aż do Złotej i Czarnej Bystrzycy — dziki, bezludny, przez człowieka ledwie tknięty, rozpościera się kraj gór i borów i takim pozostaje aż do wsi Rafajłowej. Toteż nie dziw, że obszary te stały się prawdzi-



Widok z Popadzi ku południowi

wym matecznikiem, łowiskiem najznakomitszem, terenem, uważanym doniedawna za dziewiczą puszcę, a jakżeż malowniczym i różnorodnym! Na wilgotnych glebach w głębokich dolinach śródgórskich, nad brzegami rzek i potoków tłoczą się haszcze olch szarych przystrojonych zielenią jesionów, a tam, gdzie tworzyć się poczęły torfowiska — błądzą liści i bielą pnia błyska brzoza omszona i strzałę ku obłokom wypuszcza władca tej krainy — świerk. Wyżej i wyżej wznoszą się regle, a do szaty leśnej dochodzą buki, jodły i świerki nieustępliwe; im wyżej wznoszą się góry — tem obficie i wszechwładniej rozrasta się bór świerkowy aż zapanuje niepodzielnie, aby zmaleć, zrzednąć i szczeznąć tam, gdzie płaszczyc się zaczął przy ziemi kosówki ciemne i nikłe olchy. Koło Rafajłowej, na zerwach skalnych, wiszących na tysiącmetrowej wyżynie, utrzymał się mały rezerwat sosny, zmieszanej ze świerkiem i brzozą. Na płaskim grzbiecie Lutym w dorzeczu Łomnicy — nad potokiem Mszana i przy ujściu Mołody, na torfowiskach — „malchowach” strzelają ponad niższą brać liściastą niewysokie sosny z uwieńczoną płaską koroną. Dereń i jeżyna, wilcze łyko, suchodrzew, leszczyna, porzeczek alpejski, maliny, jarzębina, wierzby i tawuła, której wspaniałe pęki białych kwiatów zdobią i rozświetlają tło ciemne puszczy górskiej, chłoną w swym gąszczu drzew pierścienie odziemne.



Syniak, widziany z Chomiaka



Schronisko „u źródeł Świcy” — Pol. Tow. Tatrzańskiego



Z wysokiej przełęczy...

Gdzieniegdzie wystrzeli ku niebu kształtna, dumna limba, szczególnie w borach łomnickich i na grzbietach Arszyicy i Konia Grofeckiego, jak też pod Sywułą, Doboszańką i przy źródłach Świcy i Bystrzycy Złotej. Piękne to są bory, nieprzystępne i niezbadane, a jakżeż wspaniała jest cała puszcza gorgańska, — dziewicza zupełnie, prawdziwa prapuszczą, w wielu bodaj miejscach stopą i ręką ludzką nietknięta! W niej — to kłódzą sobie „hajna“ zimowe niedźwiedzie-kosmacze, a „wadery“ — wilczyce hodują pomiot, co każdego roku rozpierzcha się po lasach, aby wychynąć z nich na połoniny i płaje, gdzie wilki porywają owce i cielęta, jeżeli czujny juhas bystrooki zawczasu nie wykryje śladów „zwiraka“ — znieawidzonego drapieżcy i złodzieja. W gąszczu podszytu i na opuszczonych przez watahów połoninach pasą się jelenie i kozły, wybierając sobie na rykowiska tajemne polany i zręby stare. W mroku borów gorgańskich żeruje dzik, po śniegu czarny znacząc ślad; gnieździ się ryś — groźny samotnik puszczański, a w pobliżu jego siedziby w nadziei urwania mu okruców łupu, mają swe legowiska lis, drapieżna kuna, tchórz, łasica — postrach głuszców, jarząbków i wiewiórek. Nad potokami czai się wydra i nornica ruda — tępiciełki pstrągów i innych ryb, prujących zimne strugi wód gorgańskich. Na najwyższych wierchach, hen — za zaroślami kosodrzewiny, na skałach nagich zakładają sobie gniazda orły i „ganie“ — gadożery, które, gdy napuszczają pióra na głowie i szyi, zmuszają Hucułów i Bojków do szeptania zaklęć tajemnych, bo wierzą górale, iż jest to „paškudnaja ptacha“ i z „nieczystą siłą“ — mająca jakieś konszachty ponure. W świerkowych młod-



...i szczytowej grani jakież to przestrzeni bezmiar

niakach, wabią się jarząbki piskliwe, krzczą słonki nad bukowemi zarostami, trajkocze „zgoja” - sójka, a na wiosnę na mszarnikach, po „tyrwach” grają głuszce czerewonobrewne.

Karpaty nasze na całej, bodaj, swej rozciągłości — to najlepsze w Europie łowiska. W Gorcach rozstawiły się nie mi Grofa i Popadja, okolicy Zielonej, Rafajłowej, Nadwórny i Worochty, wreszcie Perehińsko — teren wielkich łowów w Polsce. W Karpatach Wschodnich od Oporu do Czeremosza przebywa 170 niedźwiedzi, 200 wilków, 80 rysi i 3600 jeleni! Obfitość królewskiej zwierzyny, jakoteż malowniczy teren i niezwykle działające na wyobraźnię warunki łowów spowodowały, że jeden z najświetniejszych myśliwych europejskich, syt polowań w Afryce Środkowej i Indjach, powiedział, iż wyżej ceni wspaniałość i urok rykowiska w Karpatach niż strzał do przegowanego drapieżnika nad Gangesem. Można się z tem zgodzić! Nie da się bowiem porównać polowania w dżungli egzotycznej z naszymi łowami górskimi. Tam, wśród bujnej, złowrogiej natury, gdzie wszystko — od drapieżnego zwierzęcia i jadowitej żmiji, niewidzialnej w gmatwaninie traw i zielsk, do powietrza, nasyconego jadem miazmatów, roślin i owadów, do wody, zatrutej zarazkami chorób, i nieba, sączącego



Piękna panorama rozciąga się...



...ze szczytu Jajka Ilemskiego

wiem właściciele połonin zaczęli wypalać kosówkę, aby rozszerzyć powierzchnię swych pastwisk i sianożęci. Wśląd za nimi pojawili się przedsiębiorcy, wyrabujący kosodrzewinę, jako materiał dla wyrobu olejków wonnych, bo ten rzadki i cenny produkt ma zapewniony popyt na rynku światowym. Nasi leśnicy, zazdrośni o każde drzewo i krzew swoich borów i o każde zwierzę w kniei, podpatrzyli jednak groźne zjawisko, że roślina odradza się niezmiernie powolnie, więc w obawie, że ogołocenie zboczy gór z kosówki da początek niszczącym

obłęd słoneczny, — łowiec czuje się niewolnikiem przyrody, która osacza go, jak wilka lub rysia sznurami. W mrokach dżungli nie ma na czem spocząć oko i z trudem oddycha pierś, przytłoczona zaduchem i skwarem. Inaczej jest w naszych górach, gdzie znużonego myśliwca świeży chłodzi powiew, gdzie życiodajne orzeźwiają go potoki, gdzie niebo uśmiecha się radośnie i ciągnie ku sobie dal nieogarnięta i te szafirowe skrzydła borów. W Karpatach naszych przetrwała do dziś najprawdziwsza i najistotniejsza kolebka zwierzyny — rozległe połacie gór, zarosniętych kosodrzewiną — gdzie zwierzęta i ptactwo łowne mogą młódź swoją bezpiecznie wychować. To właśnie eldorado zwierzęce i ptasie przed kilku laty zostało poważnie zagrożone. Niektórzy bo-

lawinom, a nawet spowodować może zanikanie połonin, zażądali przepisów, ochraniających kosodrzewinę, w której gąszczu niedźwiedzica wykarmia swe potomstwo, młode jelenie nabierają sił i niebywalej rozłogi wieńców, gdzie głuszyce wysiadują młode pokolenie —

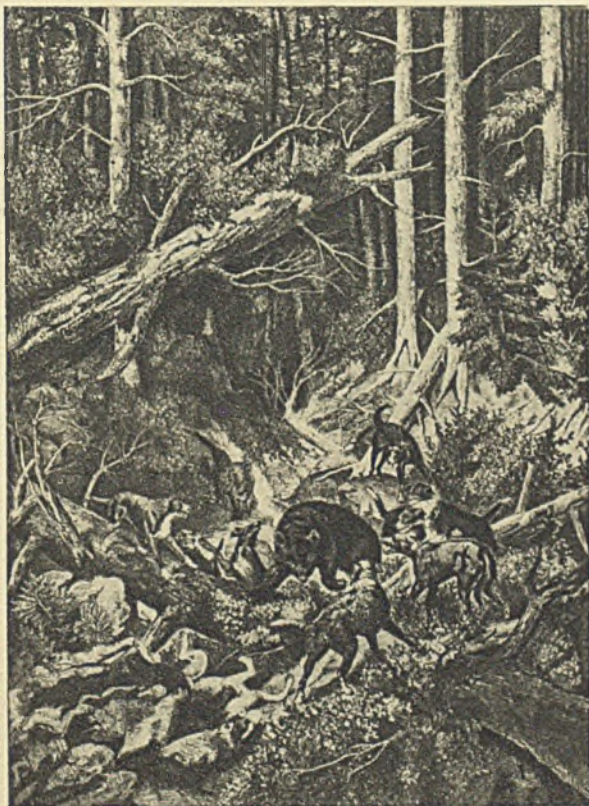


J. Kossak: Odpoczynek myśliwych

czujne i spokojne, iż im ryś, ani lis nie wcisną się do opiekuńczych haszczy i nie rzucą zarzewia mordy, a nawet wilk, co zawsze niesyty dynda i tropi po połoninach, nie zwęszy w żywicznych oparach królewskiej małżonki, dla której na wiosnę, gdy na Sywuli i Wysokiej spod śnieżnych płacht wybiegną z warkotem zimne ruczaje, —

głuszec, w skrzący się pancierz odziany, rozpocznie tajemniczy swój śpiew i mistyczny tan miłosny — godny rycerza, barda i kochanka.

Od północy biegnie ku Gorganom kilka szlaków — kolejowa linja podkarpacka wypuszcza ze Stanisławowa odnogę, zdążającą w głąb



J. Kossak: Niedźwiedź osaczony

gór aż ku ich granicznej krawędzi; są też dobre szosy automobilowe i drogi kołowe — na szczęście nie wchodzące aż do wnętrza górskiej krainy. Głębiej nieco, bo od Perehińska daleko ku źródłom Łomnicy dobiega kolejka leśna i druga z Nadwórnej — przez Rafajłową aż do Ozirnego. Inne tam też wydeptano drogi, dostępne dla

zwinnego, ostrożnego konika huculskiego lub dla pieszego turysty. Są to ścieżki znakowane, „obłazy“, zacienione okapami skał, duchty, przez drwali wyrąbane, plaże pasterskie, „trapasze“ owcze i „polowaczki“ — przesmyki myśliwskie.

Na północy Gorgan znaczne obszary należą do właścicieli prywatnych z grecko-katolicką metropolją na czele i do przedsiębiorców leśnych i oni to przecięli drogi przez knieje a zbocza gór zszpecili żalonymi łysinami „wagaszów“ — starych zrębów, gdzie tkwią szare, martwe pnie i butwieje ruda leżanina. Na to pobożewisko z rozpaczą spogląda smutna „syhła“ — cienki, wysoki świerk — niedobitek z wieńcem gałęzi u szczytu strzały. Watah połoniny i najprostszemu nawet „skotar“ — pastuch, czarny od słońca, wiatrów i dymu, wrogie ciskają spojrzenia na przedsiębiorców leśnych, bo zdaje im się, iż rychło przyjdzie czas, gdy na wszystkich „sutuhach“ gór rodzimych padną na ziemię bory świerkowe o pniach gładkich i dziwnie srebrzystych. Ale ludzie połoninni, pasterze odwieczni, nie wiedzą tego, że leśnicy śledzą baczenie, aby siekiery nie trzebiły puszczy, i żądają, aby na nagie zręby rzucono nowy siew świerkowy.



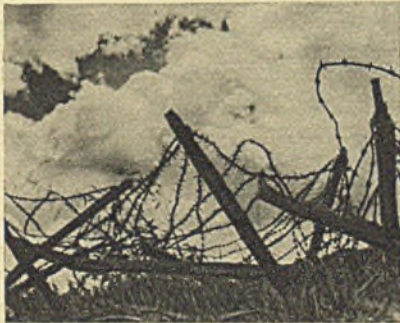
Na stanowisku



Orzeł nad szlakiem orłów legjonowych

ROZDZIAŁ DRUGI

SZLAKAMI BOHATERÓW



„Za Polskę! za krew i za łzy!”

Pomiędzy Sywułą a Bratkovską przetrwały do dnia dzisiejszego prabory. Dziewicze, niezamieszkałe, dzikie, przez ludzi prawie nigdy nieuczęszczane gaworzą z wiatrem puszcze jodłowe, tam i sam ubarwione bukami, zielenią jaworów i wiązów. Do jodeł, jak zawsze w tych stronach, przyłączył się świerk, aby w górnych reglach osiągnąć



Cerkiew w Rajajłowej

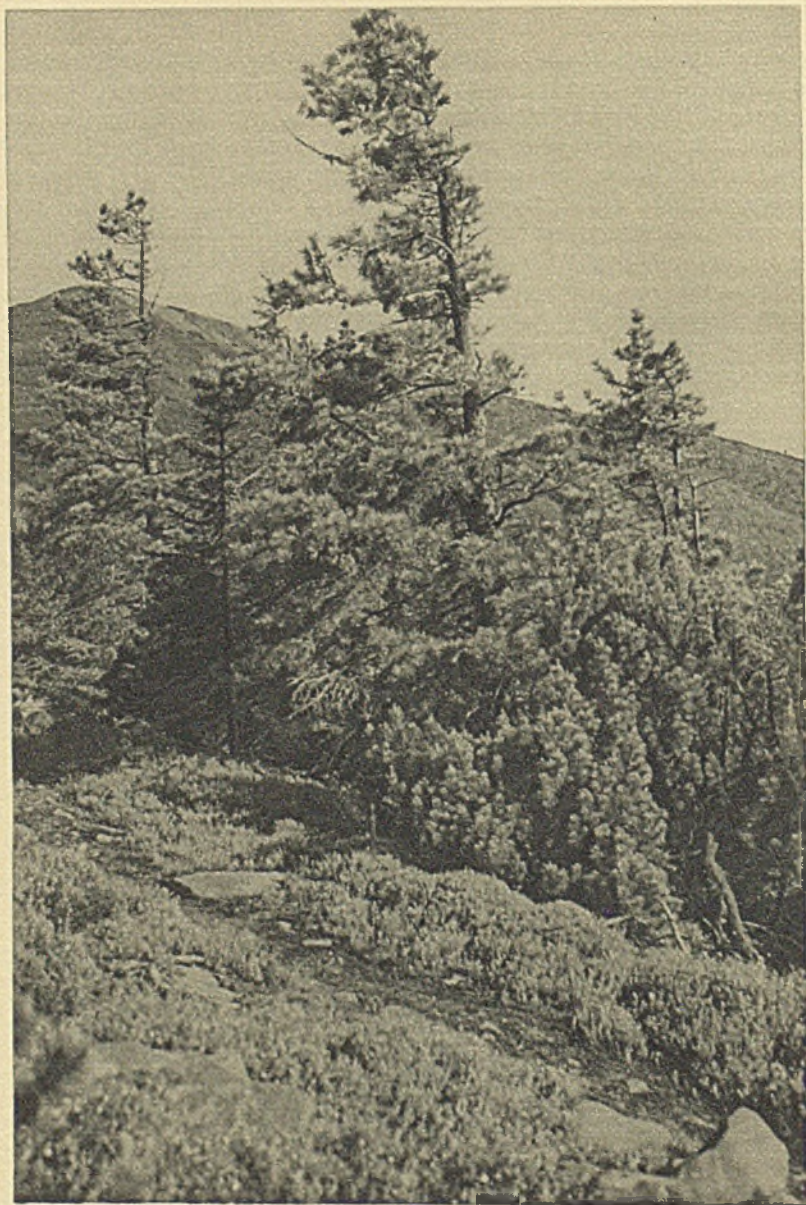
przewagę, tworząc puszcze świerkowe na siedliskach skalistych. W najwyższych ich zagonach pojawia się limba, a wszędzie w mroku leśnym panuje skłębiony haszcz podszytu, w którym ma schrony poszukiwana przez łowców zwierzyna. Jednak myśliwy rzadko tam dociera i to tylko do skraju puszczy, bo do jej mateczników, to chyba tylko góral — kłusownik wślizgnie się czasem, wypatrzy „czapasz” — perć niedźwiedzią i zastawi na władcę kniei pułapkę — przemyślny „slip”, a nie dlatego wszakże, żeby ubić kudłacza, ino, że mu potrzebaski kunie rujnuje i mięso na nęciskach wyżera. Niekiedy zajrzy tu watah wędrowny, szukający dla wołów i owiec pastwiska na polanach puszczańskich, czy wprost na złomiskach skalnych, opanowanych przez podszyt leśny, bo mało posiadają Gorgany połonin prawdziwych i to, być może, zmusiło Hucułów — pasterzy do porzucenia tej części Beskidu Wschodniego.

Malownicza prowadzi droga od serca Gorgan, Sywuli, od przełęczy Legjonów — dawnej Pantyrskiej — do wschodnich i północno-wschodnich uskoków grzbietu; biegnie ona dalej doliną Bystrzycy Nadwórniańskiej, począwszy od Rajajłowej. Ta duża wieś z cmen-

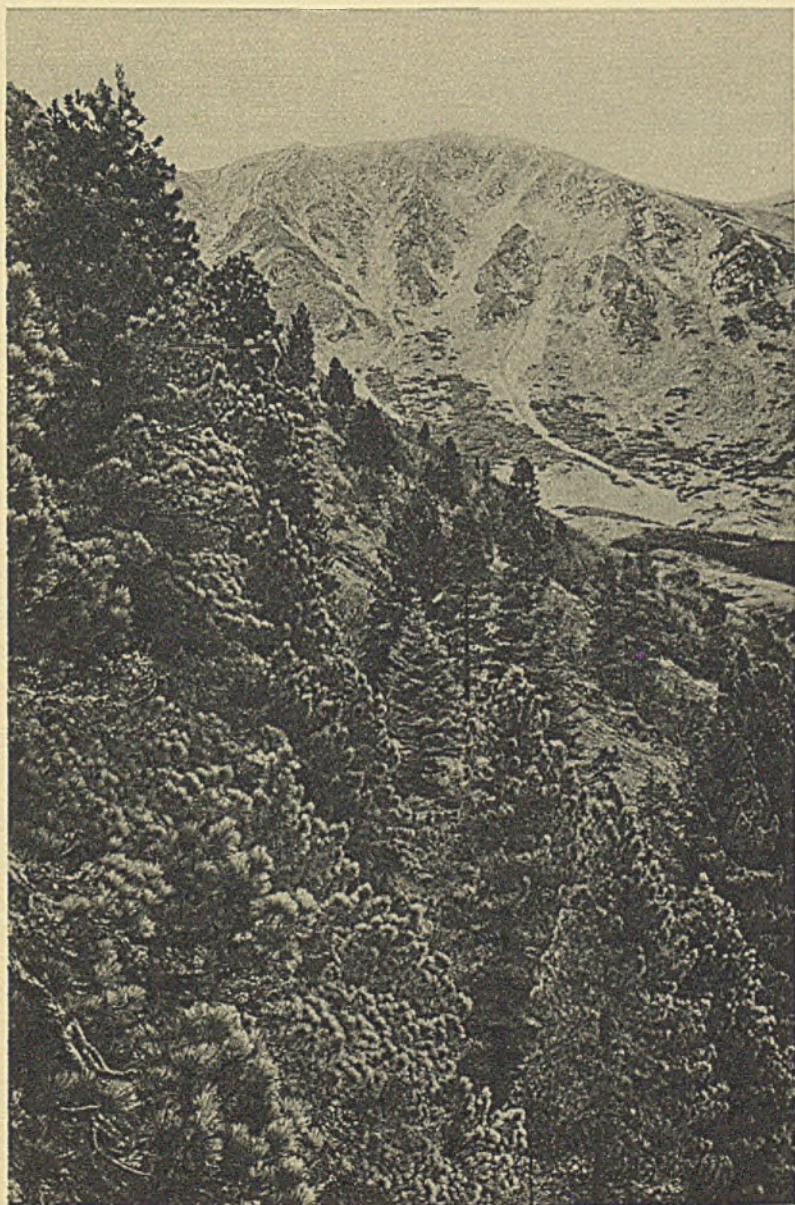
tarzem, gdzie złożono prochy czterdziestu poległych legionistów, z cerkwią i tak bardzo swojskim w tym kraju misternie rzeźbionym krzyżem limbowym, z kulturalną rezydencją nadleśnictwa, które rokrocznie podejmuje w swoich murach znakomitych gości, przybywających tu na rykowiska i toki głuszcowe, — leży w otoku ciemnych lasów świerkowych, w obliczu łańcucha szczytów gorgańskich, skąd spływa Bystrzyca, należąca do zlewiska dniestrowego, i Cisa — dopływ Dunaju. Nad samą wsią, tak ważną dla celów sportowych, wznosi się góra Maksymiec, która ścieśnia i przytłacza dolinę Bystrzycy. W dawne, niespokojne czasy na tym szczycie palono „watry“ ostrzegawcze, gdyż płomienie ich mogły dojrzeć strażę, pilnującą wałów i murów twierdzy Stanisławowskiej. Kolejka leśna, łącząca Nadwórnę i jej duży tartak z Rafajłową, wbiega wysoko ponad dolinę Doużyńca, wijącego się pomiędzy górami, aż doprowadza pod same szczyty, okryte borem. Na zboczach ich biją w oczy szeroko rozrzucone poręby, a przy gajówkach — ich plon — poukładane w potężne zwały belki najgrubsze i zwykły budulec. Blade, obdarte trupy, zebrane z pobojowisk... Na szczytach gór i w głębokich rozłogach zbczy do późnej wiosny bieleją plamy i pasma śniegu. Na ścieżce koło kolejki spotkać można kobiety, powracające z Grofy, gdzie zbierały „czarodziejski“ korzeń gorgańskiej mandragory — „dżundzur“. Rośnie tam też dziengiel, a obie te rośliny lecznicze — najsilniejsze i najskuteczniejsze — siedzibę swoją mają wyłącznie podobno na trawiastych zboczach Grofy, w pobliżu jej szczytu. Po porębach, polanach leśnych i łąkach nadbrzeżnych pasą się krowy — biało-płowe,



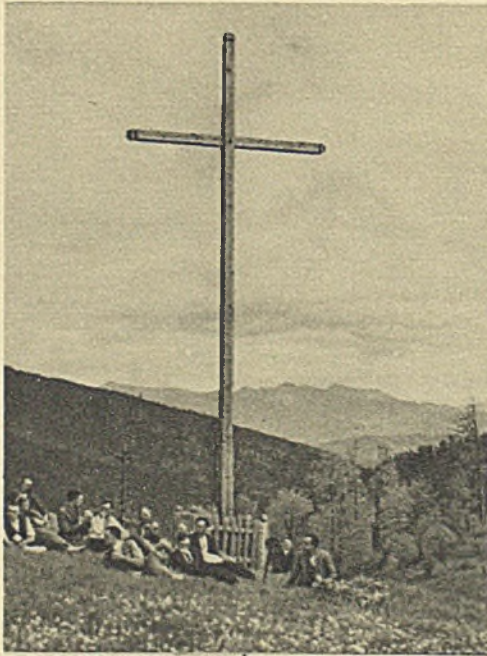
Pienisty wodospad Buchtowca



Limby na zboczu Matachowa w Gorganach...



...i na Kiedrowatym w czarnohorskich Kizich Ulohach



*„Młodzieży polska, patrz na ten krzyż,
Legjony polskie dźwignęły go wzwyż.
Przechodząc góry, doliny i wały,
Do Ciebie, Polsko, i dla Twojej chwały.“*

jedna z kilku na Huculszczyźnie wylęgarni pstrągów w dwu gatunkach. Dziesiątki tysięcy narybku wpuszcza się rokrocznie do Bystrzycy, Doużyńca i na Ozirnem. Do tego miejsca od ostatniego przystanku kolejki prowadzi ścieżka przez dziki, miejscami bagnisty las i wybiega na połoninę śródgórską, gdzie dla potrzeb spławu lasu zatamowano niegdyś rzeczkę i utworzono jeziorko. Jakieś nieznanne, przedziwne właściwości wody i dna tego basenu znęciły ku niemu tysiadcze stada pstrągów, które trzymają się tego matecznika i opuszczają go tylko w okresie tarła. Piękne, złociste i srebrzyste ryby, zdobne w czerwone plamy po bokach, śmigają w seledynowej głębi jeziora i, jak wściekle, rzucają się na przynętę rybaka... Ale rzadko tylko nadleśniczy rafajłowski pozwoli komuś przekonać się o obfitości pstrągów w małym, a głębokim jeziorku leśnem.

słynnej rasy simentalskiej, którą wprowadził tu ongiś na całej niemal przestrzeni Wschodnich Karpat marszałek Gołuchowski — choć rozlegają się już głosy, że rasa ta, wymagająca podkarmiania jęczmieniem i posiadająca zbyt delikatne i miękkie kopyta, łatwo podbijające się na kamienistych płajach, nie jest absolutnie idealną, gdy tymczasem inne bydlę wysokogórskie bardziej warunkom karpaczkim odpowiada, jak na przykład — pincgauery lub algauery, przystosowane znacznie lepiej do paszy połoninnej i dalekich przemarszów na trawiasty Piekun i pasmo Bratkowskiej.

W Rafajłowej, czynna jest przy nadleśnictwie

Dookoła Rafajłowej w lasach odbywają się słynne polowania reprezentacyjne, gdzie padają jelenie, niedźwiedzie, rysie i głuszce. Stąd prowadzą dostępne na wszystkie niemal szczyty, jak też na przełęcz Tatarską i do doliny Prutu. Wzruszający jest szlak na przełęcz Pantyrską i sąsiednią — Rogodze, gdzie pierwsze oddziały, przez wodza Józefa Piłsudskiego powołane do walki czynnej o wolność ojczyzny, przeszły swój sławny chrzest bojowy, wieńcząc go zwycięstwem. Pamiętny to okres w dziejach wojny światowej! Rosyjska armia zajęła na jesieni r. 1914-go Małopolskę Wschodnią i wdzierając się na równiny węgierskie, forsując przełęcze karpackie. Na odcinku Pantyru drogę jej przegrodziło młode wojsko polskie, z którego uformowano później drugą brygadę Legionów, noszącą nazwę „karpackiej“ lub „żelaznej“. Przez Pantyr i Rogodze drugi i trzeci pułk przerąbał sobie krwawą drogę, pełną wiech bohaterskich. W śniegach głębokich, podczas zawiei, wycia wichrów halnych, w zwojach mgieł niepowstrzymane szły te pułki naprzód przez nagie „kieczery“, głębokie jary — „jyzwory“, nie patrząc, że nad głowami żołnierzy zwisają, gotowe zerwać się „opady“, a pod nogami czyha na życie zuchwalców miejsce „nyrtienno“, gdzie pod skrzącą się naledzią czai się otchłań przepaści. Miały przeto prawo



*Pod Doboszanką zachowała się droga, którą z okraglaków budowała
Druga Brygada dla swych dział*



Dowódca

ofiarne legjony postawić na męczeńskiej przełęczy krzyż wysoki i wyrycić na nim wiersz nieznanego żołnierza poety, wiersz — testament, wiersz — dla młodych pokoleń hasło namiętne: Młodzieży polska, patrz na ten krzyż, Legjony Polskie dźwignęły go wżwyż, Przechodząc góry, doliny i wały, Do Ciebie, Polsko, i dla Twej chwały.

Ale, przeszedłszy przełęcz Legjonów, pułki polskie długo jeszcze dźwigały na swych barkach niewidzialny, a nader ludzko ciężki krzyż. Październikowe i styczniowe zwycięskie i krwawe boje o Rafajłową i niezliczone potyczki i bitwy w dolinie Czarnej Bystrzycy, pod Zieloną, Pasieczną, Pniowem, Na-

dwórnią i Mołotkowem, gdzie budzi rzewne i dumne wspomnienia skromny pomnik nad wspólną mogiłą legionistów, poległych na polach pniowskich... Sławne to były czasy bohaterstwa i braterstwa, bo w Huculach wybuchły z siłą tradycje polskie, zapędziły ich do szeregów legjonowych i zbrały po długiej rozłące z kwiatem narodu polskiego. Ochotnicza kompanja Huculów, dowodzona przez dzielnego kapitana Szerauca, chlubnie zapisała się na stronicach historii wojny w Karpatach, — świadczą o tem na piersiach górali „krzyże walecznych“. Zbratała Polaków z Huculami nie sama tylko robotą bojową, iluż to bowiem Huculów zginęło podczas czarnej mraki, gdy się odbywał daleki wywiad, iluż ich w pocie czoła, porzuciwszy swoje zagrody i rodziny, po lodem pokrytych



W ziemiance



W okopach

małygi, ani bryndzy i mleka, ani... serca, rozgorzałego szczerem oddaniem wielkiej sprawie odzyskania Polski niepodległej. Tego nie zapomni im nigdy druga brygada, nie zapomni też naród polski, ale nie przekreślą też tych dni w swej pamięci i gazdowie po obejściach zamożnych, biedacy w ubogich „burdejach“, siedzący w zimie bez roboty watahowie, „bowhary“ i zuchwali flisacy „kiermanycze“!

Doliną Bystrzycy sunęły drugi i trzeci pułki legjonowe, gdzie brzegiem rzeki wije się teraz droga z Rafajłowej, biegnąc przez rozrzucone po łagodnych zboczach gór wsie Zieloną, Pasieczną z jej kopalniami ropy i otoczony żyznymi polami Pniów aż do Nadwórnej. Zaśnieżone w zimie góry, gdzie biały ślad tną narciarze, w lecie zielenią się i rozkwiecają kobiercami łąk, gdzie widnieją stada dorodnego bydła i rozciekają się ruchliwe kierdele owiec, przepędzane przez juhasów z miejsca na miejsce, gdyż wiedzą oni, że dalekie „chody“ — najlepszy to sposób na tłuste mleko, z którego będzie bundz najlepszy i bryndza najprzodniejsza. Barwne tłumy Huculów i Hucułek gromadzą się tu przy cerkwiach, bo

„płaczkach“ i zaśnieżonych „kujewach“ prowadziło nasze oddziały; iluż to gazdów i gaździn z wdzięcznością wspominają żołnierze żelaznej brygady za to, że im naocież z wylewną gościnnością otwierali bramy swych „grażd“, gdy z gęstwiny, puszystą sadią oszronionej, wynurzały się zgnępane plutony i kompanje?! Nie skąpiłi im wtedy Huculi ani ma-



Ogień

lud tu dostatni, doniedawna pracy mający wbród, gdyż to i poręby pod ręką, i szyby naftowe wymagają rąk ludzkich, i Nadwórna żąda ludzi do różnych przedsiębiorstw. Przy parkanie cerkiewnym na ławce rozwalili się kolorowy jak kraska „legiń“ urodziwy, a roześmiany, płomiennooki, czarnowłosy, skory do żartów, bo jego figle — „mudriszki“ śmieszą dziewczuchy i młodocice, co Igną do niego niczem pszczoły do miodu. Przed domem Bożym gwarzą poważnie wāsaci, stateczni gazdowie, a rzesze kobiece na uboczcu rajcują, trajkoczą i plotkują, zerkając spod oka ku ojcom i mężom, bo wiadomo — nie wypada w świętem miejscu o „lubystkach“, leśnych dziewicach i różnych tam strachach trajlować i dotego, gdy chłopcy czoła chmurzą i, pykając fajki, spluwają gęstą ciecz „lutej“ tabaki, na okowicie nastojonej i w mrowiskach przerobionej na proch, na ogień, na „durman“ wściekły! Toteż milkną, obciągają na sobie pyszne „keptary“ i „zapaski“, złotym szychem przetykane, i patrzą roziskrzonym jeszcze wzrokiem na pienne skoki Bystrzycy.



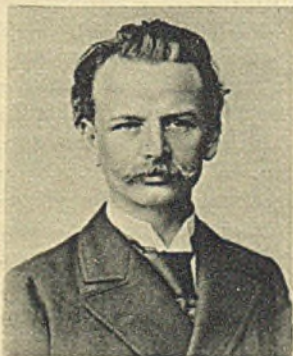
Pokotem legły świerki, strzaskane pociskami



Wiosna w bitkowskim zagłębiu naftowym

ROZDZIAŁ TRZECI

POD SKRZYDŁAMI TWIERDZY



Stanisław Szczepanowski

Bystrzyca Czarna dopada wkrótce Nadwórnej, co stoi bok o bok z Pniowem — dużą wsią, zamieszkałą przez Rusinów, przybyłych tu bądź z ziemi Halickiej, bądź spoza Oporu i z nad Osławy. Pniów łączy się w jeden organizm z coraz silniej rozrastającą się Nadworną. Znaczne to już miasteczko liczy około dwanaście tysięcy mieszkańców, jest rezydencją starosty, sądu i innych urzędów, posiada kościół katolicki i cerkiew, piękny szpital, ochronki dla dzieci i stadjon sportowy,

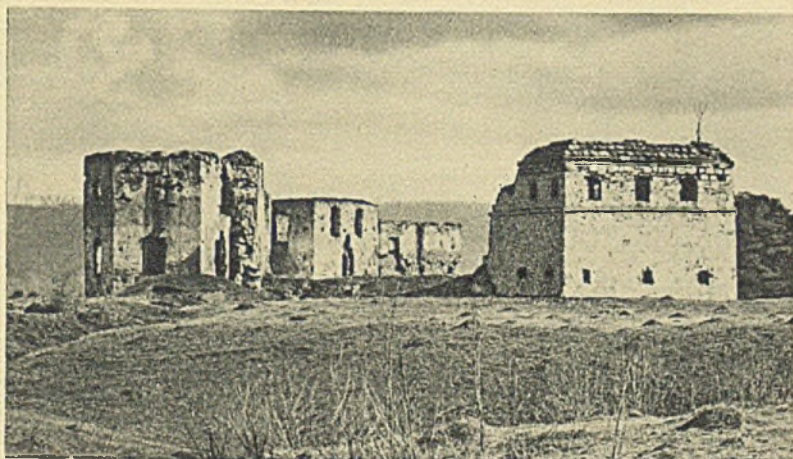
szeroko rozgałęziony handel i przemysł, oparty na ogromnym tartaku, rafinerji nafty, elektrowni i szeregu warsztatów, obsługujących ruch automobilowy, kolejkę leśną i potrzeby ludności. Całe Gorgany wschodnie i środkowe, a nawet część Beskidu poza Prutem ma naturalne ciężenie do Nadwórnej. Rozpoczęło się ono oddawna, a istniały poważne na to powody. Niedaleko od szosy, na wysokiem wzgórzu, widnieją tam okazałe ruiny zamku. Baszty, przyczółki przy zburzonej już bramie i mury, naogół znakomicie przechowane, resztki kaplicy, koszar dla załogi i lochy głębokie świadczą o roli, jaką odgrywała ta jedyna na wschodzie Gorgan twierdza, która skutecznie bronić mogła dróg, zbiegających z dalekich przełęczy, jak też tych, co wily się przez równinę nadniestrzańską. Istniały tam, co prawda, drobniejsze i słabsze zameczki Jabłonowskich — w Dolinie, Perehińsku, Strutyńniu i Roźniatowie, ale te zaledwie bandom opryszków i to nie zawsze mogły stawić czoło. Któż to i kiedy wznosił zamek



Pniowski i jakież były dzieje tej twierdzy potężnej, której nikt zdobyć nie mógł aż do godziny zdrady czarnej. Zamek ten istniał już w wieku XVI-ym i straż tu trzymała rodzina Kuropatów — można i rycerska. Z tego gniazda wyszedł starosta sandomirski, który to wraz z dworzaninem Olechnowiczem z nieszczęsnej bitwy pod Chojnicami przemocą wprowadził i od niechybnej śmierci wybaził króla Kazimierza Jagiellończyka. W połowie w. XVII-go Kuropatowie byli postrachem dla watażków z Pokucia, którzy jak np. szlachcic z Otyńji Semen Wysoczan i inny — Łeś z Berezowa, kilkakrotnie

Ustronny skit Maniawski

napadali na zamek, lecz łamali sobie kły o jego mury obronne. Nawet straszliwy Krzywonos, wierny towarzysz Chmielnickiego, nie zdobył tej twierdzy gorgańskiej. Zdobyła go jednak zdrada, bo niejaki Prokopeczek, pacholek dworski, wskazał opryszkom miejsce, gdzie podkop można było zrobić łatwo. Wataha, dowodzona przez chłopą Hrynia Kardasza i szlachetkę — Łesia Berezowskiego, dostała się w nocy do wnętrza kasztelu, poraniła właściciela zamku, dziedziczkę porąbała, majątność zagarnęła. Wiele mówi i budzi domysły proces, przez Kuropatwów wytoczony później Tęczyńskim. Błahym bowiem wydaje się powód, wskazany w aktach sądów grodzkich, że pan na



Zamek w Pniowie — ostoja Wierchowiny

zamku Pniowskim skarżył panów na Tęczynie dlatego jedynie, że w bandzie Łesia w opryszkach chadzali ich poddani — ludzie z Peczeniżyna i Słobody Rungurskiej. Wiemy jednak, że szlachta pokucka w swych sporach i najazdach nieraz, niestety, posługiwała się lotnymi oddziałami zbójników z naszej i wołoskiej strony. Po ostatnim napadzie sława zamku gaśnie, lecz, widocznie, odbudowano go i umocniono, gdyż opierał się on skutecznie czambułom tatarskim, w roku zaś 1676-ym silny turecko-tatarski oddział, wysłany na zdobycie go, zmuszony był zdjąć oblężenie, poczem Piotr Kuropatwa jeszcze potężniej miał go ufortyfikować i wspaniale ozdobić. Dowiadujemy się też, że po wygaśnięciu Kuropatwów władali ich zamkiem Cetnerowie,

Teľufusowie aż przeszedł on wkońcu w ręce Potockich, którzy jednak nie podtrzymywali go i stary, zasłuźony zamek w końcu XVIII w. został porzucony i pozostawiony na pastwę wszystko niszczącego czasu. Do stóp wzgórza zamkowego z jednej strony tuł się domki, należące do potomków zdrajcy Prokopeczka, z drugiej zaś — zaścianek szlachty, dawnej słuźby dworskiej i towarzyszy chorągwianych — Kolankowskich, Rogińskich, Bidzińskich, Skowrońskich i Bednarskich. Ludzie ci i ich



Chrystus błogosiawiający i...

domy głęboko wrosły w ziemię korzeniami swemi i nic stąd ich wyrugować nie zdołało, bo nawet pożar, który tuż-tuż przed wybuchem wojny światowej zniszczył całą Nadwórna, oszczędził tylko kościół i ten zaścianek szlachecki.

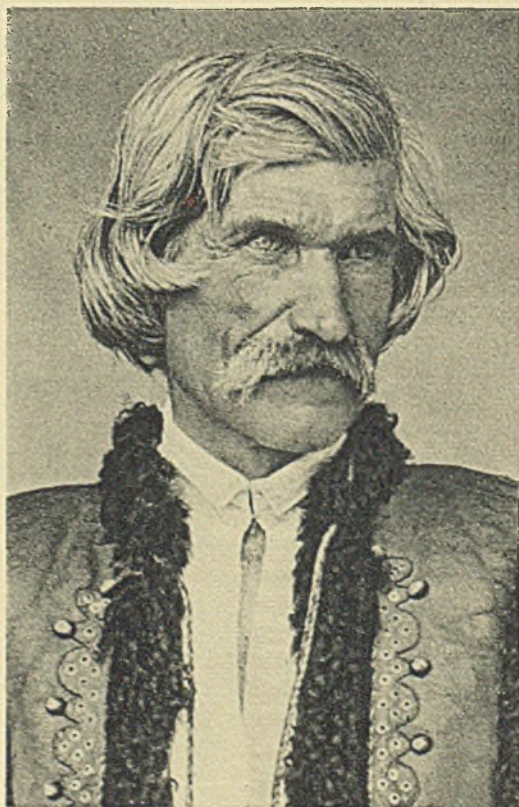
Równia Zadniestrzańska sięga po Nadwórna, lecz z trzech stron półkolem podchodzą już ku miasteczku przedgórze gormańskie. Pod opiekuńczemi skrzydłami zamku Kuropatwów rozrastały się spokojnie i szczęśliwie bogaty w ziemię żyzną Pniów, wślawiony bitwami żelaznej brygady, i Maniawa — duża wieś, uczęszczana przez turystów spowodu pięknych wodospadów na rzece i imponujących ruin skitu prawosławnego. Ciekawe to miejsce! Ortodoksyjny Athos,

ostoja prawosławia, rzucił tu najdalszą swoją placówkę dla walki z unją. Klasztor ten zbudowali Bazyljanie — dyzunicy na początku w. XVII-go i obsadzili go uczonymi mnichami — najznakomitszymi na Rusi. W głębokim wąwozie śród lasów czał się ten skit, ukryty od oczu ludzkich, otoczony grubemi murami, a przed zagonami Tatarów broniony przez silną twierdzę pniowską. Przechowały się tu mury wysokie, szare, pleśnią — tą patyną wieków poplamione, i baszta — być może dzwonnica, czy też wieża strażnicza

z pędzącym u jej stóp potokiem. Na bramach i baszcie widoczne są jeszcze freski, wyobrażające świętych greckich i kijowsko-pieczerskich — Jana, Teodora i Antoniego, oraz symbol Opatrzności Boskiej — oko w promieniującym trójkącie nad wjazdem. Skit maniawski oddziaływał zapewne silnie na wyobraźnię ludności i miał na nią nieprzeparty wpływ polityczny po pierwszym rozbiorze Polski, co dało powód cesarzowi Józefowi II do zamknięcia tej oazy chrześcijaństwa bizantyńskiego. Cenne i starożytne sprzęty kościelne zostały przeniesione do okolicznych parafij, ikonostas — słynne dzieło sztuki — do cerkwi w Bohorodczanach, skąd go zabrano do ruskiego muzeum we Lwowie, dzwon zaś zawieszono w cerkwi w Nadwórnej, gdzie podczas pożaru r. 1914-go stopił się w płomieniach. Z pagórka nad skitem, w głębi doliny potoku, pouczający przedstawia się obraz! Obronne to było miejsce, gdzie zaczął się ten klasztor prawosławny. Z trzech stron ukrywały go i broniły puszcza okryte góry, dla stepowych wierzchowców tatarskich prawie niedostępne. Jedyna to była tam droga — wązka dolina potoku, wylewającego swoje wody do rzeki. Zwykle zasieki, zalanie terenu za pomocą tamy i wreszcie wał, z poza którego rzygały ogniem strzelby obrońców, zamykały tę drogę do skitu. Wreszcie potężne jego bramy, mury i baszty przeciwstawić się mogły znacznej nawet hordzie, gdyby weszła klasztor słynny z bogactwa.



Historja, podobno, nie odnotowała napadów tatarskich na skit Maniawski. Z tego też miejsca spoglądając na ruiny porzuconej placówki prawosławia, mimowoli przed oczami wstają, jak żywe klasztory na południu Rosji, wzdłuż „szlaku tatarskiego“ budowane. Klasztory-



Rysy sarmackie cechują Huculę - Polaka

twierdze, silne środkami obrony i jeszcze silniejsze ekstazą wiary. Maniawski skit — to Kijowsko-Pieczerska Ławra w minjaturze. Podobny plan i nawet te same freski na bramach i ten sam emblemat Opatrzności. Zapewne można tu byłoby znaleźć największe osobliwości Ławry — miasto podziemne, miasto świętych i świętobliwych

mniszków, mroczne, ponure Campo Santo, z siecią wązkich, o niskich sklepieniach przejść i daleko nieraz biegnących potajemnych tuneli, pełnych niespodziewanych przeszkód i głębokich studni, otwierających się pod nogami niepożądanych i niebezpiecznych intruzów.

W ciszy, pewne o swój byt, bo broniła ich fortalicja Kuropatwów, pędziły swój żywot Solotwina, nad Bystrzycą Złotą leżąca wśród pól i bogatych łąk wypasowych; Zarzecze, gdzie miejscowi ludzie pokazują turystom dziwny wybryk natury — brzozę, co wyrosła na szczycie pnia wierzbowego, i Porohy — wieś, powstała na skraju Czarnego Lasu, co niedgdyś ciągnął się zwartym murem od gór aż do Stanisławowa, a teraz skurczył się do połowy i zgnedniał. Na horyzoncie sinieją poplamione śnieżnymi pasami Sywula i Wysoka, na które narciarze i turyści mają ze schroniska w Porohach przez Hutę i grzbiet Borewki dość wygodny dostęp na ich „grehity“ — wierchy złomiskowe.

W zasięgu wpływów nadwórniańskich leży Bitków — zasłużony polski ośrodek kulturalny i przemysłowy, — gdzie po okolicznych górach, okrytych pięknym lasem bukowym, wznoszą się liczne wiertnicze wieże naftowe. Do Bitkowa droga prowadzi z Nadwórnej po równinie — Pniewskiej. Nad Bystrzycą widnieją prostopadłe, silnie sfałdowane skały, gdzie na łupkach przechowały się odbitki ryb i małżów oligoceńskich; potoki i rzeczki, pluszcząc po „skokach“, wpadają do niej. Bitków umieścił się wysoko w szerokiej rozłodze wśród gór lesistych, a jego malownicze, kulturalne zabudowania, kościoł i szkoła odcinają się białą ścian od zielonego ekranu okolicy. Kolejka górską wspina się po zboczu grzbietu. Wszędzie, niby wyprężone, nabrzmiałe żyły, występują rurociągi na ropę i gazy ziemne, które płoną piekielnym ogniem w paleniskach kotłów parowych. Z głębokości 600—1000 metrów wydobywa się tu ropa naftowa — najbardziej lekka i posiadająca najwyższy procent benzyny i gazoliny — i płynie do Nadwórnej, gdzie w rafinerji przerabiają ją lub zlewają do wagonów — cystern i posyłają w świat. Obok czynnych szybów tkwią jeszcze porzucone już oddawna stare wieże — weteranki. W podziemnych zbiornikach natura zgromadziła tu znaczne jeszcze zapasy ropy i gazów, które oczekują warunków, sprzyjających pełnemu ich wykorzystaniu. Pasma utworów roponośnych ciągnie się tu od Drohobycza i Borysławia dalej na wschód — do Słobody Rungurskiej i do Kołomyi z odnogami, odbiegającemi ku południowi. Dotarli do nich swemi świdrami najlepsi, podobno, na świecie polscy wiertacze. Zapewne — najlepsi, bo w przeciwnym

razie nie ubieganoby się o nich na Jawie i Sumatrze, nie pracowali by oni w Kanadzie i Meksyku, a nawet w Japonji, gdzie cudzoziemiec liczyć może na dowolną ilość uprzejmych uśmiechów, ale ani na jeden marny grosz zarobku. Piękna jest okolica Bitkowa a jego lasy obfitują we wszelką zwierzynę. Szczególnie często spotkać tu można kozły, nieraz o pięknem porożu, a podobno nie boją się one ludzi, gdyż nikt tu nie poluje. Ropa i wydobywające się z ziemi gazy nie lubią ognia i silnych wstrząsów, więc inżynierowie starannie ochraniają bogactwo, które natura hojną ręką złożyła pod warstwami skał, ozdobionych wysokopiennym lasem bukowym — zielonym w lecie, złotym i szkarłatnym na jesieni i czarnym, gdy zamiecie nagromadzą tu zasp śnieżnych, otulą ziemię „ropyszcz“ i konary drzew białym, skrzącym się w słońcu płaszczem miękkim lub tak skrzepłym, że pod nartami aż zgrzyta i dzwoni jak szkło. Z pokładami Bitkowa związana jest Starunia, gdzie w podziemnych schowach wykryto wosk ziemny, a z niego wydobyto przechowane znakomicie cielska olbrzymich nosorożców włochatych i mamutów, co w dolinach śródgórkich pasły się tu spokojnie, gdy lodowiec panoszył się w północnej połowie Europy, to sunąc ku południowi, to cofając się ku dalekiej macierzy — krainie białej śmierci. Zapewne, wędrując w poszukiwaniu paszy, te wielkie ssaki natrafiły na torfowiska, okrywające „ropyszcz“, gdzie wonczas tworzyć się już zaczął miękki jeszcze wosk ziemny, i znalazły w nim śmierć, która dała im poniekąd nieśmiertelność; po niezmiernem bowiem pasmie wieków wynurzyły się one znowu na światło dzienne i stoją teraz w muzeach, jak żywe, mówą bez dźwięku opowiadając ludziom burzliwe dzieje starej ziemi naszej.

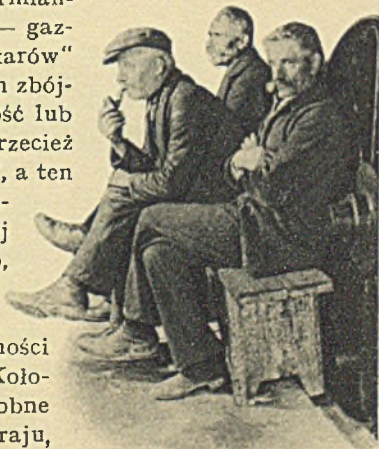
Dawny austriacki trakt rządowy, zwany szosą Krattera, przebiega góry, przecina dąbrowy i mija wioski, pola, kapliczki i krzyże przydrożne. Z wysokich odcinków tego traktu dojrzeć można w nocy świecące się woddali plamy — to miasto Bohorodczany, a dalej — prawie już na horyzoncie — potężna niegdyś twierdza Potockich — Stanisławów, dziś — stolica rozległego województwa, wchłaniającego w granice swoje cały łańcuch Karpat Wschodnich — od Dniestru aż po granice ościennej Rumunji i Czechosłowacji. Na trakcie Krattera znawcy tego kraju pokażą przybyszowi małe osiedle — Kalinniki. Nie bardzo dawno jeszcze stało tu jedno tylko gospodarstwo — chata i warsztat kowala Kamińskiego. W dzień naprawiał on wozy i sanie, wytywał zęby okolicznym chłopom, kuł konie, a w nocy innej, o wiele zyskowniejszej poświęcał się pracy.



W przemyśle pracują Polacy, ...

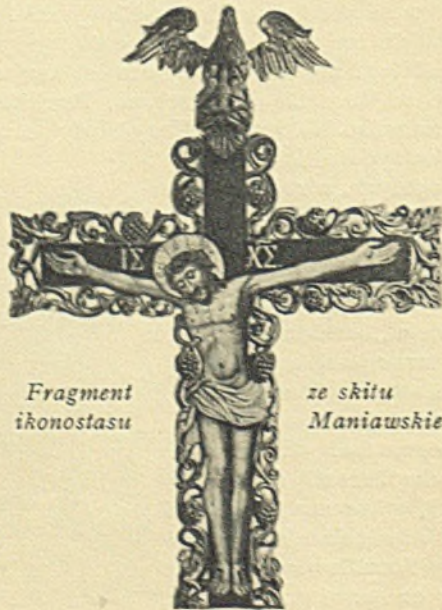
wszakże w ręce sprawiedliwości i, chociaż bronił się rozpaczliwie, został ujęty i zawieszony na stryczku. Mijając Kalinniki, chłopcy milkną nagle lub cicho, w skupieniu szepczą modlitwy za dusze ofiar zbrojnego Kamińskiego. Wiele innych też miejsc, zasługujących na podobną modlitwę, znaleźć tam można, boć to przecież kraj opryszków znamienitych, co to od Broszniowa, Strutyna, Perehińska i Doliny — po Śniatyń, Horodenkę, Kołomyję i Kuty blade postrach siali wśród szlachty, kupców żydowskich i ormiańskich, popów bogatych, a nawet — gazdów — zarówno zamożnych „dukarów” jak i najbiedniejszych, jeżeli ataman zbójnicki na oko ich brał za nieszczerotę lub możliwość zdrady. Karpaty żyły przecież długo pod znakiem „beskidników”, a ten i ów z górali i teraz jeszcze poskarży się w chwili szczeroty na swój los — tak odmienny od wolnego, bujnego życia opryszka. Przed zbójceckimi bandami broniły dwoje szlacheckich, mieszczan i ludności całej twierdzy Nadwórniańska i Kołomyjska, potężny Stanisławów i drobne zameczki, rozrzucone tam i sam po kraju,

Kamiński zasłynął i pozostał w pamięci ludzi tych stron, jako przebiegły i ponury zbój, nie mający nic z bądźco bądź rycerskich cech poniekąd historycznych opryszków. Czładował on na przejeżdżające w nocy powozy, pocztę, tabory kupieckie, mordował ludzi i grabił ich dobytek. Ponieważ nikt go o te sprawy straszne nie podejrzewał, więc kował - zbrodniarz uprawiał długo swój proceder krwawy, przez Żydów-faktorów zdobywając zrzęcznie w obieg puszczając... Wkońcu dostał się



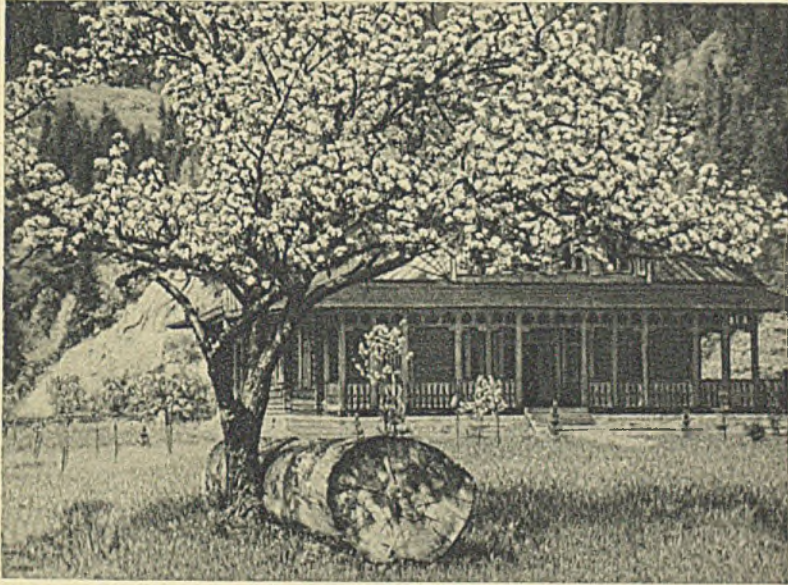
...oni też są tu wiertaczami

choć nieraz nie mogły się ostać przed przebiegłością i przemocą watażków zuchwałych, padały, szły z dymem i obracały się w perzynę. Tu na trakcie Krattera dawne dzieje zbójeckie inny mają posmak i inne budzą odruchy. Ani przed skałą Dobosza, ani na górze nad Kosowem, ani koło Kosmacza, Żabia, lub Peczeniżyna, gdzie życie swoje narażał sławny ataman — Dobosz i życia ludzkie gasił, jak świece, Huculi nie czynią znaku krzyża świętego i za dusze zamordowanych modłów nie zanoszą. W wyobraźni ich wyrasta, jak żywy, śmiały watah, kraśny Ołeks, odważnie napadający oko w oko, pierś do piersi. Wrzała tam bitwa i mocniejszy obalał słabszego. Dumne prawo natury, okrutne, lecz sprawiedliwe w pojęciu zbójnickiem. W Kalinnikach działo się inaczej. Był tam podstęp, zasadzka, tchórzliwe czyhanie... Obce to jest i wstrętne dla Hucuła. Bojownik przyrodzony, pogardza on morderstwem bez uczciwej bitwy. Dlatego tu żegna się pobożnie i wzdycha...



*Fragment
ikonostasu*

*ze skitu
Maniawskiego*



Willa w Tatarowie kwieciami okryta

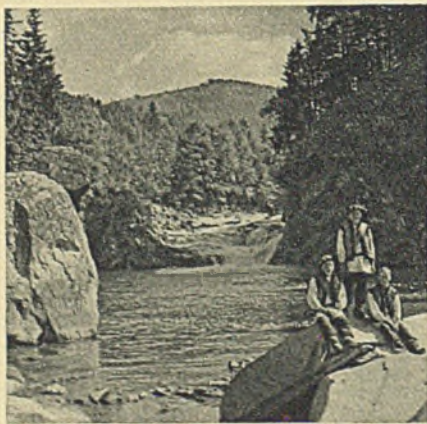
ROZDZIAŁ CZWARTY

Z BIEGIEM PRUTU



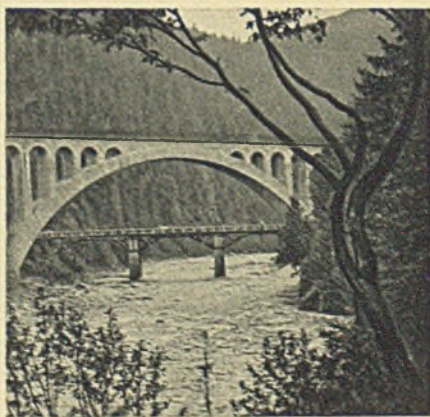
Rusałeczka

Z małych, choć wartkich źródlisk zrodzony na Howerli mknie pienny Prut w swych brzegach urwistych na północ, setki rzeczek i potoków przyjmując sprawa i zlewa, aż, przeciąwszy niby nożem stłoczone zbiegowisko domów Delatyna, skręca na wschód, by uradować swym widokiem Kołomyję i Śniatyn, bez wiz i przepustek wdrzeć się do Rumunji, popędzić przez nią, bo taka już mu wypadła droga ku morzu. Od jego groźnego przełomu w skałach twardych piaskowców pod Jaremczem pobiegły ścieżki ku



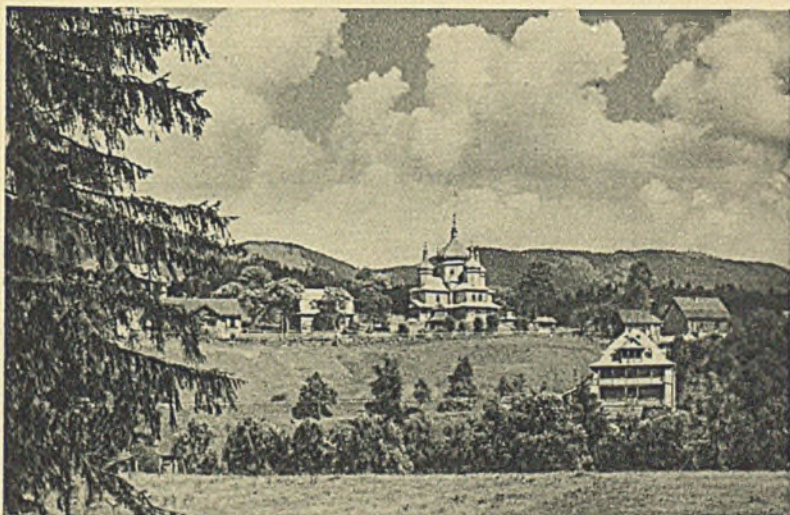
Wodospad Prutu...

nańcych na stromej zerwie Ostrej z olbrzymim spychem „Słoniem”, na najeżonej skałami zębatej grani Jawornika-Gorganu i na widniejącym pod nim Poharze. Narciarze omijają Jaremcze, gdyż mało tu dogodnych terenów, ale zato turyści znajdują tu pole do bliskich i łatwych lub dalekich i trudnych wycieczek, zaczynając od pięknego wiaduktu, co niby cięciwa wyprężył się na 65 metrów rozpiętym łuku kamiennym, pod którym mknie Prut, skacząc po głazach i skrząc się w migotliwej łusce „szypotów”; od wodospadu, gdzie w głębokim białozielonym wyboju, w kipieli, mętnej od piennych wirów, pstrągi walczą z syczącą zwarą, stale zasilaną nowym narybkiem z wzorowo urządzonej pstrągarni rządowej; od przelomu Prutu, gdzie jego wart zwyciężył skalną pierś gór, przebijając ją i zrzucając głazy, podmyte wściekłymi strugami; od Pogóru i Czarnohoricy — do bezdroży i złomisk na szczycie Makowicy, do połonin pod wierzchem Sinieczki i przez zarośla



...i wiadukt w Jaremczu

kosodrzewiny do ponurego Jawornika-Gorganu. Kto stąd dopiero zwiedza Gorgany, ten może z Jaremcza zdobyć szczyty Syniaka, Chomiaka, Doboszanki, a z wyżyny wierchów napatrzeć się dosyta na wesołe kaskady w łożyskach potoków, okiem ogarnąć groźne pola „arszyc” Gorgańskich i daleką, ciągnącą ku sobie panoramę Czarnohory i Świdowca, który poza naszą pozostał granicą. Romantycznie i tajemniczo wygląda koło Jaremcza olbrzymi głaz, co napewne stoczył się niegdyś z grani spychów pobliskich, — ten,



Worochta

co tkwi przy torze kolejowym i zwraca na siebie uwagę krzyżem, wieńczącym ciemną skałę. To — „kamień Dobosza”, herszta opryszków, przez legendę wyniesionego na szczyt bohaterstwa narodowego. Tam mają spoczywać jego kości, ale... inne też są gawędy o jego grobie, inne — mniej romantyczne niż ten prawie czarny kamień i ukryte w lesie „komory Dobosza” — głębokie szczeliny, ciemne wnęki wśród potwornych bloków skalnych. Tam mógł istotnie mieć bezpieczny schron dla siebie przesławny zbójnik huculski, — rycerski i tragiczny Ołeksza Doubuszczuk i tu gromadzić i ukrywać swoje skarby między złomami, spowitemi gęstym płaszczem borówek, czernic, paproci, orlicy i wrońca. Nad wartem Prutu pochylają się gałęzie

szarych olch i jesionów, a na zboczach górskich, w dolnym reglu panują buki, jodły i świerki, wyżej — same świerki, a w pasmie jawornickiem — sosny w znacznych skupieniach. Ludne to miejsce i rozbudowane — owe Jaremcze, wspaniałe letnisko wypoczynkowe,



Gorgany zimą

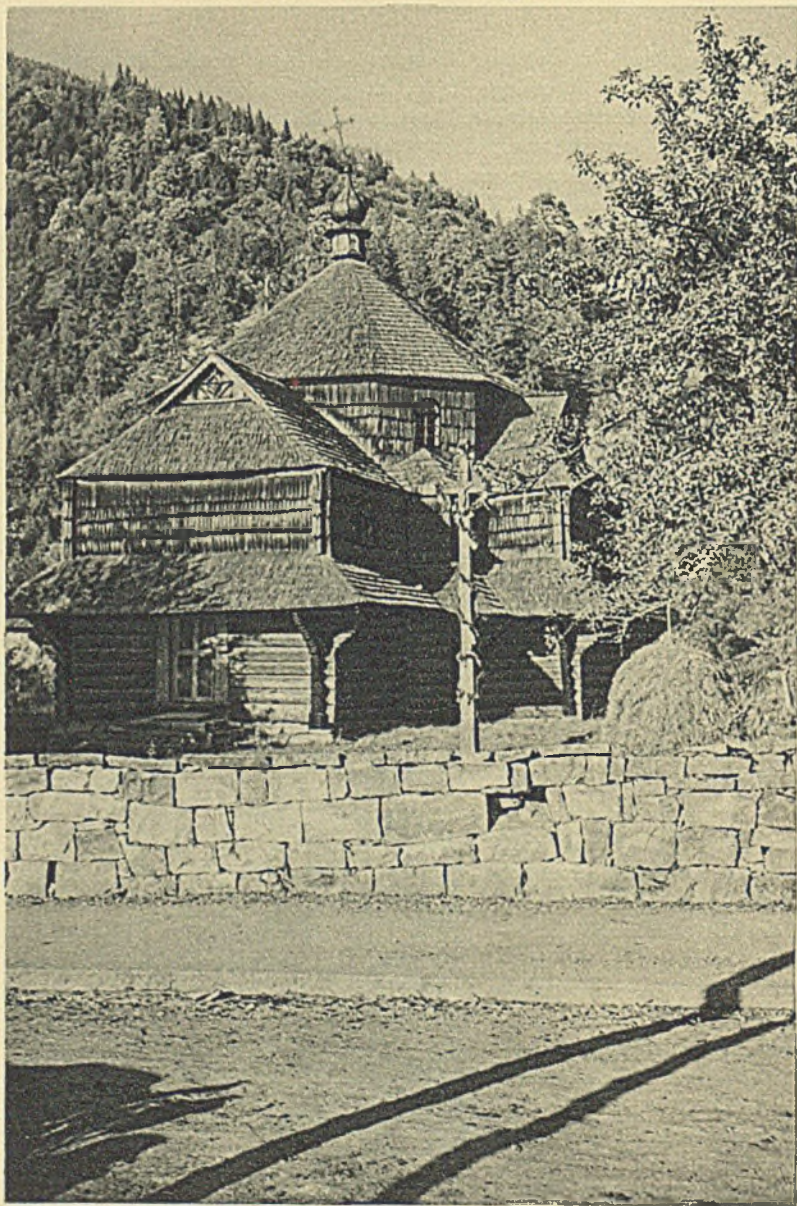
rozrastające się szybko i pomyślnie, bo wszystko temu sprzyja: klimat, okolica, opieka rządu i przedsiębiorczość Huculów. Jednak mimowoli westchnienie podnosi pierś, gdy przed oczami przepływa panorama tego malowniczego zakątka... Budynki, najczęściej brzydkie i tandetne, ani w treści, ani w formie swej nie mają nic wspólnego z charakterem pięknego krajobrazu, którego zszpecenie ostateczne równałoby się zbrodni. Szosa, wykuta w skałach przełomu Prutu, przebiega wieś Jamną, koło której, w czeluści doliny

małego potoku z wysokości 15 metrów spada cienka struga wody i niby srebrna nić babiego lata, to znów niby szklawie ruchome spływa na kamienne podnoże. Jest to wodospad Kapliwiec, w upalne dni mały, a w chmurne i dżdżyste — szumny i gniewny, w zimie znów zdobny w fantastyczne roziskrzzone stalaktyty i w zwisające ze skał zasłony lodowe. Dalej rozbiegła się po łąkach rozrzucona szeroko wieś Mikuliczyn, gdzie kwitnie przemysł, gdyż kolejka z lasów nad Prutcem Czemegeowskim dowozi świerki do tartaków i do fabryki wełny drzewnej. Na łagodnych zboczach Jaworowej i Neresnego, w chatkach huculskich spędzają lato zmęczeni i chorzy ludzie z miast; w słonecznym, zasłoniętym od wichrów Mikuliczynie powstały sanatoria szkolne i związków zawodowych, stacje turystyczne, zwabione tu nasłonecznionymi górami, gdzie już panuje swojska rdzenna Huculszczyzna architektura cerkwi, dzwonnicy i chat góralskich. Między Strymką, Jahodynką i Hreblą, w obramowaniu borów świerkowych, rozłożył się Tatarów, w czasie ostatniej wojny, jak niegdyś za najazdów tatarskich, niemal doszczętnie zniszczony, lecz odbudowujący się szybko, co zawdzięcza stałemu napływowi letników i istniejącym już tu sanatorjom. Nad Prutem stoją pionowo skały Nadpłytniej, niedaleko — w dzikim wąwozie spada wodospad Tatarowczyka...

Dalej, na drodze, pnącej się ku granicznej przełęczy Tatarskiej, leży wieś Jabłonica, rozrzucona po spychach, prawie już pozbawionych lasu, gdzie zieleńią się łąki, a tam i sam — pola orne, gdzie jęczmień się kłósi, złoci się żyto i dojrzewają ziemniaki. Za dawnych czasów osiedli tu Huculi z Mikuliczyna i znaleźli



Schron narciarski P.T.T. na Sototwince
pod Sywanią



Cerkiew w Tatarowie

dla siebie stały i niezły zarobek, jako przewoźnicy towarów do Węgier. Warunki klimatyczne tej zimowej stacji uzdrowskiej zależą od gór Doboszaneki, Syniaka, Chomiaka i Hrebli, zasłaniających ją od północy; istnieją tu też znakomite warunki dla sportu narciarskiego. Zachowało się tu kilka charakterystycznych starych grazd, gdzie panuje niemal całkowita samowystarczalność, oparta z jednej strony na hodowli owiec, dających wszystkie niezbędne produkty mleczne, jak bryndza i masło, oraz — wełnę, z której wyrabia się odzież. W kłeciach i ambarach tych gazdów można oglądać niemal cały huculski przemysł domowy. Za Jabłonicą, na przełęczy Tatarskiej zbudowano obszerne, dogodnie schronisko Polskiego T-wa Tatzańskiego dla turystów i narciarzy, a od niego tuż za strażnicami granicznymi — dobra droga serpentyną zbiega w dolinę Cisy po stronie czeskiej, skąd widnieją ciężkie masywy Pietrosa i Howerli.

Woronienka — dawny przysiółek Jabłownicy — zrosła się w jedną całość z Worochtą, bardzo znaną miejscowością uzdrowską, leżącą w kotlinie, przeciętej Prutem i wpadającymi do niego potokami. Kilka sanatorjów powstało tu i czynne są przez cały rok. Okoliczne szczyty — Magura, Rebrowacz, Ryza, Worochteński i Łysinka ze skoczną dla narciarzy osłaniają ją od północnego wschodu, woddali widać Kostrzycę, Kukul i Kiczere. Większość tych gór zalesiona jest aż po wierzchołki, inne mają trawiaste stoki lub połoniny po graniach. W okolicznych lasach spotkać można wysokie do 50 metrów świerki, w wieku lat 500, a silne i zdrowe; tamże w niższym reglu — sosnę, pomieszaną z bukiem i świerkiem, a w jednej miejscowości na torfowisku, leżącym na wysokości 800 metrów, — sosny o krótkiej strzale i płaskiej koronie. W Ardżeluży wykryto specjalny gatunek świerka wężowego, którego gałęzie, niby węże, zwisają z szaro-srebrzystego pionu. Na ciemnym tle borów świerkowych odcinają się białe gmachy sanatorjów, zbudowanych wśród gór i rozrzuconych po ich zboczach i po łąkach, duże, nieraz estetyczne wille i pensjonaty; w dolinie kreśli się półkole wiaduktu i śmiały wiraż toru kolejowego; widnieją kopułki i krzyże cerkiewek i dzwonnicy huculskich z kilkoma, jak pagody chińskie, kondygnacjami dachów i opuszczonemi nisko okapami; zasługują na zwiedzenie rygorystycznie huculska w każdym calu, „demonstracyjna“ chata Andrzeja Moczerniaka, białe, stare kapliczki o szernalych gontach wymyślnych strzech i stojące woddali jedna od drugiej zagrody Huculów, przygotowane na przyjęcie gości, przybywających tu po zdrowie i ciszę. Wesola, jak urocza „mołodycia“ i niby

uśmiechnięta w lecie Worochta nie traci swego powabu i w zimie, gdy góry okoliczne owina sobie głowice śnieżnemi „peremitkami“, a na ramiona narzuca białe, puszyste „gugle“ i „keptary“, zdobne w cienki, czarny haft konarów olch i buków i zielony, prawie szafirowy — świerków i jodeł. Z nisko opuszczonych okapów chat zwisają wtedy połyskliwe sople lodu, skrzy się i skrzypie pod nartami i pod płozami sanek śnieg, ciesząc sportowców i działwę huculską, do nart nawykłą, a jednocześnie sprawiając kłopoty gazdom, gdy to zasy przywalą płoty i „perelazy“ w nich a, zdobywszy wrota — „rozłohy“, wedrą się nawet na „pidgania“, zasypią stogi siana, sągi drzewa, zawałą „kosziery“ i „prytuły“, tak, że nie można z nich owiec i krów wypuścić na podwórze, aby odetchnęły świeżem i słonecznem powietrzem.

Rojno w Worochcie w lecie i w zimie. Ciągną tu „gazdynie“, wioząc z połonin berbenycie z bryndzą i masłem, niosą mleko, jajka i drób, pędzą cielaki i wieprzki na sprzedaż; gazdowie oczekują amatorów przejażdżki na dobrym koniku huculskim lub na sankach, grupy turystów, obładowanych plecakami, z laskami w rękę, dążą w góry wyciągniętym krokiem, w zimie — uwijają się wszędzie narciarze — ci, co się trenują na skoczni, i ci, co dalekie i trudne odbywają wycieczki w Gorgany, do Beskidu Huculskiego i aż pod Pop Iwana. W Worochcie wszystko już tchnie Huculszczyzną, bo świadczą o niej te swojskie dla kraju tego cerkiewki, kapliczki i krzyże przydrożne, architektura zagród góralskich, stroje nieraz dla efektu i przynęty przesadnie nawet... „prawdziwe“; wędrowni handlarze, bednarze i „prodajflojery“, zachwalający swoje fujarki i koszyki, „cybulennyki“, roznoszący po domach cebulę; wnętrza chat z olbrzymimi piecami z barwnych kafli wypalanych, pięknie rzeźbione i „pysane“ statki domowe, skrzynie, meble, półki, „namisnyki“ i „obraznyki“, ale, wobec krajobrazu, tak bardzo zmodernizowanego już współczesnemi budynkami i przez wszystkich tych „leńtiuchów“ i „zajdejów“, co to niewiedzieć skąd tu napływają z szerokiego świata, — bez obrazy dla uprzejmych i gościnnych górali worochteńskich — wyodrębnić ich można w osobną grupę „Huculów ze szlaków utartych“. Do tej grupy możnaby było, co prawda, dołączyć również mieszkańców innych wsi, a często już nawet takich, co w samym sercu Huculszczyzny leżą. Niestety! Postęp, zapotrzebowanie „ryнку“, „cywilizacja“ i „kultura“ piętno swoje wyciskają wszędzie, zmieniając przedewszystkiem cechy charakteru ludności, ale któż przekształcić potrafi wymogi i wpływy ducha czasu? To wdzieranie się



postępu ma jednak dla gór i dobre skutki, bo oto worochteńscy watahowie i juhasi niebawem już staną się wzorem dla innych pasterzy połoninnych. Zostali oni bowiem częściowo ujęci w karby przez Dyрекcję lasów państwowych, z całą stanowczością występującą w obronie najżywoźniejszycy potrzeb Huculów. Wielki istotnie był po temu czas! Huculi — właściciele połonin, z różnych powodów, przedewszystkiem jednak na skutek rozdrobnienia własności ziemskiej pomiędzy członkami rozradzających się rodzin i ogólnego zubożenia, potracili połoniny — to najważniejsze źródło swego dobrobytu. Połoniny przeszły do rąk kapitalistów, przeważnie żydowskich, i wtedy zaczął się niebywały wyzysk gazdów, posyłających swoje bydło na letni wypas w góry. Nowi właściciele nie dbali o stan połonin i te wkrótce niemal całkowicie utraciły znaczenie pastwisk, porośnięte szczywami alpejskim i kwaśnymi trawami, a tego wszystkiego tknąć nie chciały ani konie, ani krowy i owce. Z braku dobrej paszy marnieć zaczęła



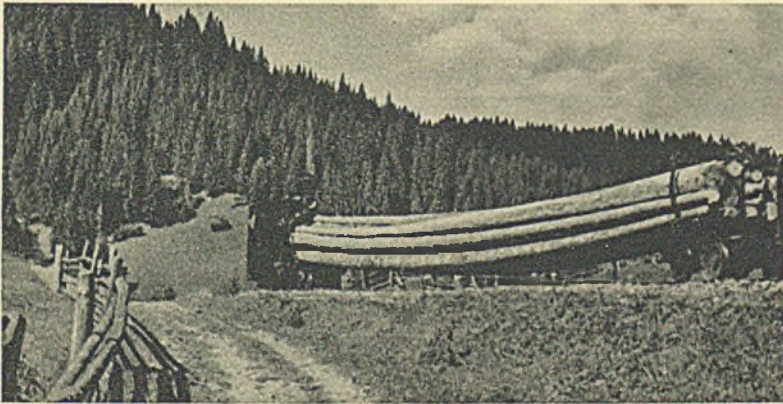
Koń i człowiek wywlekają...



...z puszczy zwalone drzewa, ...

rasa bydła, degenerować się i coraz częściej ulegać różnym chorobom. Ciężki był to cios dla pasterskiej Huculskiej Żyzny! Jednak obecnie znaczna część połonin worochteńskich przeszła już w ręce lub pod dozór rządu i powierzona została opiece poszczególnych nadleśnictw, odgrywających rolę tak zwanych „deputatów“, czyli właścicieli połonin, przyjmujących bydło na wypas. Nadleśniczkowie rozpoczęli energiczną walkę z „zakwaszeniem“ połonin, a w tym celu uczą juhasów przenoszenia koszar owczych codziennie na inne miejsca, aby gleba nie była nadmiernie użyźniona, zapędzania bydła rogatego na noc do obór z cementowymi gnojówkami, użyźniania jałowych części połonin i nieużytków i wreszcie zastosowania w gospodarce poło-

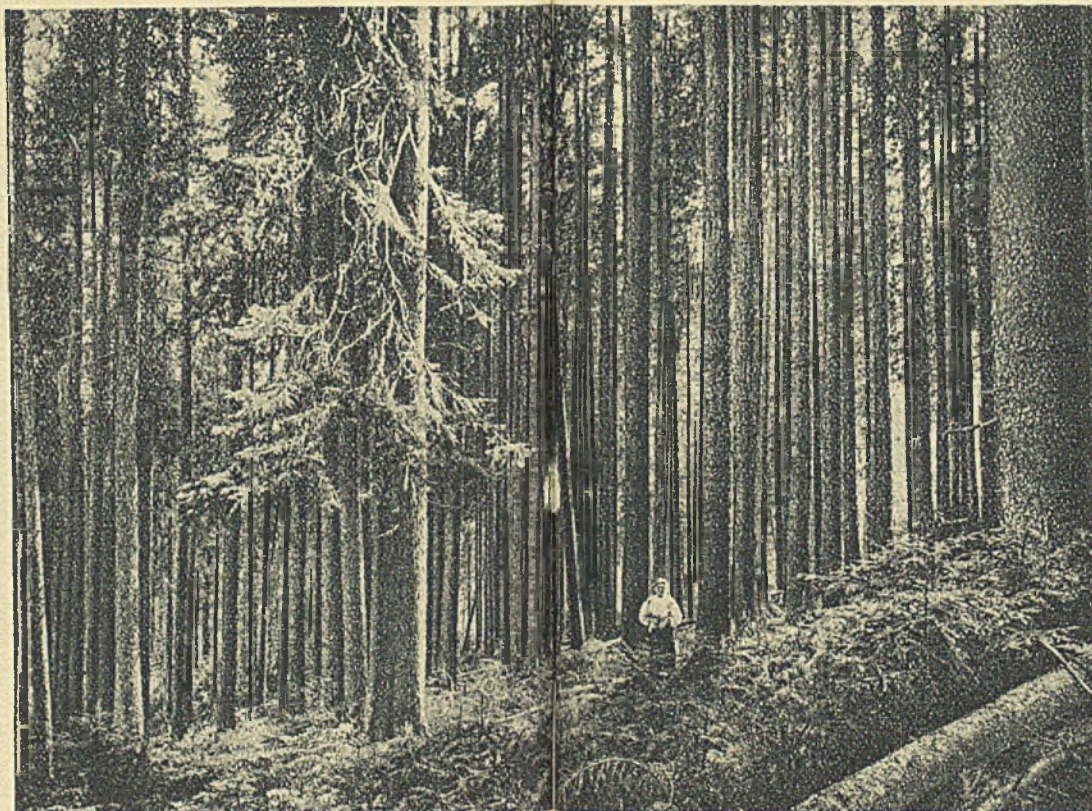
ninnej nowych sposobów produkcji różnych przetworów z mleka. W pierwszym rządzie wprowadzono czystość przy dojeniu i przygotowaniu sera w „stajach“, użycie dla procesu fermentacyjnego zamiast zwyczajnej podpuszczki, ulegającej gniciu i zanieczyszczeniu przez robactwo, — odpowiednio przygotowanych chemicznych preparatów. Wprowadzono wreszcie gospodarkę czteropolową, opartą na tem, że jeden płat połoniny przeznaczają się na wypas bydła, gdy tymczasem na drugim podrasta trawa, na trzecim — odbywa się nawożenie sposobem gnojenia lub systematycznego



...usłuszną kolejką doprowadza je do tartacznej pily

koszarowania owiec, na czwartym wreszcie — sianożęcie. Taki plan gospodarki dał odrazu dobre wyniki, a jednocześnie wzbudził zainteresowanie i zaufanie Hucułów, nie mniejsze od tego, jakie spostrzegać się daje w gospodarce leśnej. Tam również wyzysk drwali przez właścicieli wyrębu przechodził wszelkie granice, gdyż posyłano tam watahów leśnych — „kieronów“, którzy oszukiwali Hucułów, krzywdzili ich przy wypłatach zarobku i najbezpieczniej okradali przy rozrachunkach za prowiant, tytoń, narzędzia i wszelkie potrzebne drwalom w lesie towary, sprzedawane na miejscach zrębów po cenach wygórowanych. Śród tych „kieronów“, niestety, tych samych Hucułów zdarzał się spryciarz, który, jak kręcąc głowami bezradnie, mówili drwale, był „takij mudry, szczyoby okpyw desic żydów i dwoch wirmeniw (Ormian)“. Na takiego wygę, co to „borgowaniem“ mąki, soli i tytoniu wyciągał ze swoich ziomeków

ostatni ciężko zapracowany grosz, Huculi mieli tylko dwa sposoby, albo wbić mu ostrze toporka w głowę, albo, splunąwszy zamazyscie, zamruczeć: „A hyj na twoju holowu, bodajbys konaw, a nikoly nie skonaw!“ Pierwszy nader radykalny sposób powodował pojawienie się nagle nowego opryszka, grasującego po płajach, bo gdzież, jeżeli nie w górach i borach miał się ukryć zrozpaczony morderca? Drugi — bierny, chociaż również ponury w swej treści, — w niczem nie zmieniał losu biedaka — łęginia, który musiał pozostać nadal w swej ośmiogrannej „kołybie“, wyrąbywać świerki i w milczeniu znosić wyzysk. Trwa to jednak do chwili, aż djabeł włoży mu do ręki topirec-ciupagę lub sam biedaczysko ciśnie przed kieronem siekiere, hardo zsunie zrudziałą „kłępanię“ w tył głowy i, rzuciwszy przez zęby słowo „pohane“, pójdzie po zlodowaciałych urwiskach w niziny, otulając się w podarty „bajbarak“ i myśląc o tem, że, chociaż idzie na głód i chłód, ale jest już wolny, jak Hucul, a nie jakiś tam pokorny „hodowaniec“ żydowski. W tę dziedzinę wkroczyła również Dyrekcja lasów państwowych i położyła tamę odwiecznemu wyzyskowi Huculów — drwali, wprowadzając ścisłą rachunkowość i swoje własne składy aprowizacyjne, zaopatrzone w dobre i tanie towary — kukurydzę, mąkę pszenną i żytnią, sło- ninę, sprowadzaną z Warszawy, tabakę, sól, skórę na postoly, sukna, mydło, chleb i wszelkie narzędzia, przez drwali używane, jak — siekiery, „capiny“ do podciągania kłoców, „gryfy“ do ich podważania i cały szereg innych przedmiotów po cenach bezkonkurencyjnie niskich. Z tego zarządzenia administracji leśnej wpłynęło



Niby kolumny zielonej świątyni...

...świerki stanęły strzeliste

biając kosodrzewinę na olejki, wyniszczają te pożyteczne drzewo. Kampanję tę jednak zupełnie niespodziewanie zakończyła powódź, gdyż zniosła i zburzyła destylarnię. Wreszcie łowiectwo w rejonie Worochty, znacznie podczas wielkiej wojny podupadłe pod względem zwierzostanu, tak się polepszyło i rozwinęło pod kierownictwem państwowej administracji leśnej, że może współzawodniczyć z terenem łowieckim Rafajłowej. W nadleśnictwie worochteńskim właśnie zostały upolowane dwa rekordowe jelenie, o wieńcach rzadko spotykanej wagi, potężnego rozrzutu i wyjątkowej grubości. Zarządzenia, wydane w tej dziedzinie gospodarki miejscowej, do-

podniesienie poziomu niezwykle pierwotnych jeszcze zapotrzebowań życiowych Hucula, gdyż zaczyna on już przyzwyczajać się do cukru, zapalek, pszenicy i żyta, co znów zmniejszyło import kukurydzy z Rumunji. Dla ułatwienia zaopatrzenia ludzi, pracujących na zrębach, nadleśnictwa posyłają specjalne wagony kolejkami leśnymi, dowożącymi niezbędne materiały nieraz do miejsca robót.

Współcześnie urządzone tartaki przerabiają drewno huculskie na najbardziej poszukiwane rodzaje towaru leśnego i szybko podnoszą standarty polskiego drzewa na rynkach zagranicznych. Ogołocone połacie borów zostają zalesione, przyczem zwraca się uwagę na to, aby nie iść śladami niektórych firm prywatnych, które obniżały wartość lasów, zarażając je małowartościową i szkodliwą buczyną, bo drzewo to, nie mające w Karpatach zastosowania, szybko wypierało świerki, stanowiące towar eksportowy. Nadleśniczo- wie rozpoczęli też kampanję przeciwko przedsiębiorcom, co prera-

tyczyły wzmoczenia ochrony zwierzyny, przetrzebienia wilków — tych najstraszliwszych szkodników, podkarmiania jeleni i kozłów w zimie, jak też zakładania dla nich solanek-lizawisk, co ma niezawodny wpływ na rozwój kości, wybujałość poroży i ogólną zdrowotność. Łowy w nadleśnictwie worochteńskim należą do najprzyjemniejszych. Składa się na to kilka przyczyn. Niezwykłe malownicze okolice, stosunkowo nietrudne podejścia, obfitość ścieżek, kolejka leśna i doskonale wyszkolona straż. Nadleśnictwo zna tu każde drzewo, każdą „myśliwaczkę“, każdego niemal głuszca, godnego strzału, i każde zwierzę.

Okoliczni Huculi czerpią z Worochty nieraz znaczne dla siebie korzyści. Bogaci gazdowie sprzedają tu bryndzę, masło i bydło; „płajowi“ zaś, mieszkający w pobliżu dróg górskich, zarabiają na wędrujących turystach, biedniejsi wynajmują się na przewodników, na cieśli przy budowie nowych will, na roboty drogowe i wreszcie na drwali do lasu, gdzie nie zdiera już z nich ostatniej skóry zbyt gorliwy „kieron“, pragnący przypodobać się właścicielowi boru lub może chciwemu żydowi — wszechmożnemu dzierżawcy porębu.



Jutro Huculszczyżny...



*„Czornohora chlib ne rodyt, ne rodyt pszenycu,
Łysz hođuje wiwczyrykiw, syrok i żentycu.
Czornohora chlib ne rodyt, niczym ju oraty:
Pidem prodat naszu wiwciu, kupym sil do chaty“.*

ROZDZIAŁ PIĄTY

DO MIAST!



Koniec jesieni... Ściemniało i stwardniało igliwie świerków i jodeł, ostatnie złote i koralowe ronia liście buki, brzozy, osiki i olchy. Na zboczach wierchów snują się gęste pasma i kłębowiska mgieł, a, gdy je wiatr zmiecie, — widać po rozłogach coraz większe plamy śnieżne. Skończono już spławy; powrócili watahowie z połonin, z borów — sykmanycze, na jesien-

nych pracujący porębach; rybakom sieci lodową okrywają się powłoką, więc wymykają im się głowacice, pstrągi i lipienie; ku wsiom podciągają kłusownicy, idąc perciami tajnemi; ku miastom prze-



Stanisław Rewera Potocki

mytnicy skradają się po nocach — wszystko, co żyje jawnie i skrycie po wierchach huculskich, odbywa nową włóczęgę. Do miast najbliższych kieruje się ten „ciąg“ jesienny. Dolinami obu Bystrzyc, Prutu, Pistynki, Rybnicy i obu Czeremoszów pędzą gazdowie wypasione

na podziw woły, krowy, jałówki i owce, ten i ów prowadzi koniki o mocnych karkach okrągłych; troskają się gazdynie o juki z bryndzą, wełną, grzybami i suchemi jagodami; skórnicy wiozą „terkyły”, nabite keptarami, tabiwkami, postołami; bednarze, rzeźbiarze, siodlarze, tokarze, tkacze i garncarze wędrują ze swoim towarem. W dużych wsiach i miastach, tu — „chram”, tam — jarmark. Gazdowie z Hryniawy, Jawornika, Jabłonicy, Fereskuli i Uścieryk, gdzie spotykają się bracia — Czeremosze, dążą do Kut; z Beskidu Huculskiego — do Kosowa i Kołomyi, prutcy dolinianie — do Delatyna, Nadwórnej i samego Stanisławowa nawet. Jedni jadą i idą, aby użyć życia, inni znów — aby zdobyć coś na życie, gdy śnieg okryje dachy chat, a przy „woryniach” i „pidganiach” nagromadzi wysokie zaspy, kurzące się na wietrze.

Kuty — to prawdziwa stolica południowo-wschodniej Huculszczyzny, bo jeszcze wkońcu wieku XVIII-go stanowiły klucz starostwa niegrodzkiego, obejmującego puszcze i góry aż po Hryniawę. Panowała tu wówczas gospodarna Ludwika z Mniszchów Potocka, kasztelanowa lwowska, pomna nakazu wojewody kijowskiego, Józefa Potockiego, co troskał się o ów „uhłowy kraj, ciepły na wzór italskich ziem, a rodny, jak żaden inny na Rusi”. W pięknej, górzystej, łagodnej, słonecznej okolicy powstały w w. XV-ym Kuty i z biegiem czasu rozrosły się znakomicie, czemu sprzyjała bogata, przedsiębiorcza gmina kupców ormiańskich, którzy za Zygmunta III-go jeszcze pobudowali tu sobie malownicze dworki, otaczając je pięknymi ogrodami, słynnymi sadami owocowymi i drzewami orzechowymi. Miasteczko stało się wówczas głównym punktem handlowym z zagranicą i Koroną. Ormianie, mając swoje filje we Lwowie, Stanisławowie, Przemyślu i Śniatyniu, pędzili przez Kuty konie huculskie, bydło, wieźli sól, kiełbasy kozie, słynne pokuckie zioła lecznicze i czarowne do Węgier i na Bałkany, dostarczając stamtąd kukurydzy, wełny, ozdób wschodnich, kobierców, broni i win. „Ormiański płaj” był dobrze znany opryszkom-beskidnikom. Ormianie pozostali na Pokuciu, lecz nie grają już dawnej roli, wyparci przez nawałę żydowską. Będąc zawsze lojalnymi obywatelami polskimi, długo jednak przechowywali swoją odrębną obyczajowość i język, lecz od czasu, gdy zerwały się wszystkie więzy z ojczystą Armenją i pobratymcami, przebywającymi w Turcji i Rosji i z patriarchą w Eczmiadzinie, spolszczyli się zupełnie. Starcy tylko pamiętają coś-niecoś z historii Ormian, o ich wspaniałej literaturze i władają jeszcze mową ojczystą. W niewielu zaledwie ro-

dzinach przygotowują na Wielkanoc „kathę“ — obrzędową paschę pszenną z miodem i wielkopostny „machoch“, lecz niemal całkowicie zapomniano już o odpustach w dzień Kirkora Łusaworicza — św. Grzegorza Światłodawcy, apostoła ormiańskiego, i św. Kajetana, zato dzień św. Antoniego obchodzi się niezmiennie. „Phezak“ — dawny ślub tradycyjny i związane z nim uczty „thegin“, gdy to na rachunek gospodarza cyrulik golił brody gościom, i obiad, gdy podawano szczawiową zupę — „gandzabur“, z uszkami, „pilaw“ i „dołmę“, czyli mięso, zawijane w liście winne lub kapustę, — wszystko to uległo wielkim zniekształceniom. Mają więc słuszność sędziwi księża ormiańscy — „derderowie“, kiedy ze smutkiem patrzą na słabe już ślady odchodzącej bezpowrotnie tradycji, bo ze zdumieniem szczerem słucha młodzież, gdy, święcąc po domach paschę, pisanki, szynkę i kozinę, dawnym zwyczajem winszuje współwyznawcom siwowłosa „dender“: „Tok, tok, amen dari, parou hasnik paskan dun, machoch tus!“ Nie rozumieją już Ormianie, że po polsku tak brzmi to pobożne życzenie: „Kołataj do Boga co roku, a doczekasz szczęścia wnieść paschę w dom, pozostawiwszy placek postny na dworze.“ Gdzieniegdzie tylko stara babka, rzucając na strych wypadły ząbek wnuczka, zamrucze stare zaklęcie: „Mughy, mughy ar z budugy, dur indzi argythe jest khezi oskyre!“ — „Myszko, myszko, weź garnek, daj mi ząb żelazny, a sobie bierz kościany!“ Cóż na to poradzić?!

W Kutach nad Czeremoszem, niedaleko okazałego mostu — stoi dworzec kolejowy, dokoła brzmi mowa polska a oknami i drzwiami wdziera się cywilizacja autobusów, kinoteatrów, radja, dancinów, sportów... Kościoły katolicki, ormiański i cerkiew odcinają się malowniczo na zielonem tle okolicy; po wojnie powstało w mieście kilka okazałych gmachów współczesnych. W Kutach odbywają się zgiełkliwe i tłoczne jarmarki, gdzie można podziwiać barwną ceramikę, wyroby koszykarskie i skórzane, bogate keptary zabiowskie i bukowińskie, siodła, taszki, wory do juków i mnóstwo innych wyrobów rzemieślników kuckich i obcych. Uskoki grzbietu Chomeńskiego, szczyty Krzemienicy i góry Owidjusza, niby olbrzymi parawan kilimowo-barwny w lecie i czarno-biały w zimie, bronią. Kut przed zimnemi wiatrami, czyniąc z tego malowniczego, przystalnego miasteczka najcieplejszy obok Kosowa, jak wskazują tabele meteorologiczne, zakątek naszej ojczyzny.

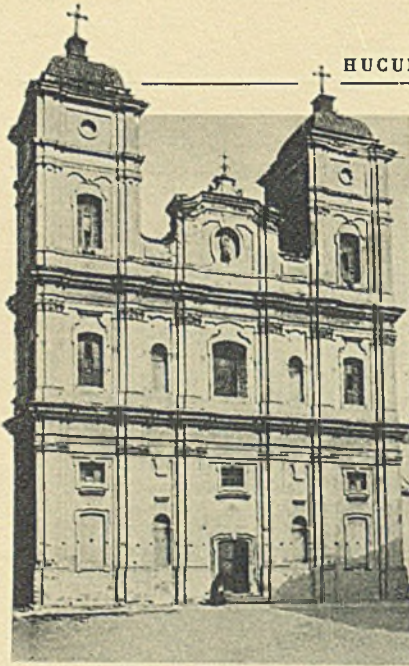
Dobra szosa biegnie z Kut do Kosowa. Coraz rozleglejsze ciągną się połacie ziemi ornej, gdzie rolnicy sieją pszenicę i kukurydzę.

a zagrody wieśniaków toną w sadach owocowych. Jednak nie widać już tam „posedków“ huculskich, gdyż zwyciężyła tu pospolita, mało pociągająca chata podolska. Pomiędzy Kutami a Kosowem



Katarzyna z Potockich Kossakowska

wyczuwa się już żyzną glebę Zadniestrza i osiadłe, jednostajne życie oraczy. W zieloności tonie Kosów — znaczne, liczące dwanaście tysięcy mieszkańców miasteczko, wyciągnięte po obu brzegach Rybnicy, z imponującym na wiosnę wodospadem — „hukiem“



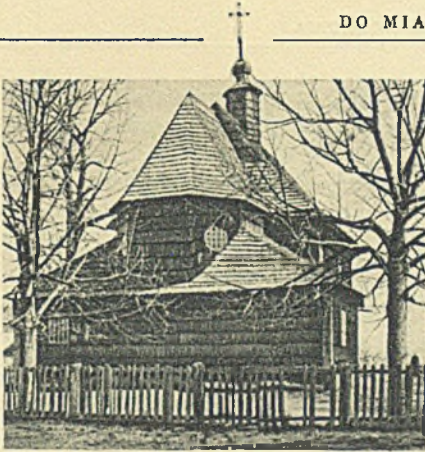
*Kościół jezuitski w Stanisławowie,
dziś katedra obrządku greckiego*

gdzie można ongiś szlachta — Kossakowscy — miała siedzibę obronną, nazywaną w aktach „fortalicją”. Stoi tam teraz krzyż żelazny, obok zaś — drewniany, wystawiony, ponoć, przez zbójnika Dobosza nad grobem zabitych towarzyszy-oprysków; widnieje stąd w mglistej dali skrawek Karpat na Bukwinie; niżej — rozrzucone zbiegowisko domów miasteczka i piękne nieraz wille po wzgórzach, wpółukryte za drzewami.

Szosa, prowadząca do Kolumy, przecina Pistryń, gdzie turysta z zainteresowaniem obejrzy sławną pracownię garncarską, w zdobieniu swych wyrobów posługującą się motywami wspólnymi całej Polsce, a może nawet — słowiańszczyźnie. Natomiast odrębna jest kompozycja rysunku na kaflach ceramicznych, gdzie występują sceny rodzajowe



Dzwonica w Kosowie

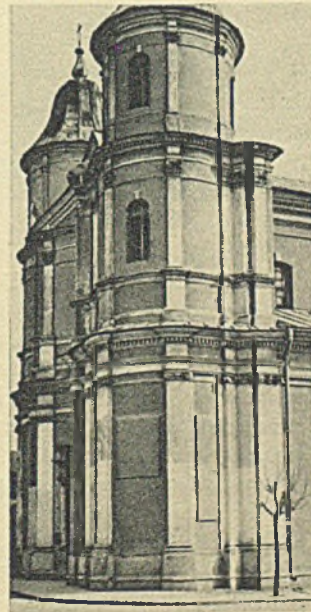


Kościół w Pistyniu

wnictwa huculskiego, posiada kilka Szkryblaków, „trijcie“, krzyże i — małe... qui pro quo. W prawym ołtarzu bowiem umieszczony został dobrego pędzla francuskiego portret pysznie ufryzowanej hetmano-wej Barbary Lanckorońskiej, w balowej sukni jedwabnej, o śmiałym dekolcie w. XVII. Stróż cerkiewny i wieśniacy żegnają się pobożnie przed tą „ikoną“... świętej Barbary. Cóż? Może istotnie pani wojewodzina ruska, późniejsza hetmanowa, była dobrodziejką Pistynia, a modlitwa do jej patronki raduje tę duszę w zaświatach... Z Pistynia niedaleko do polskiej wsi Szeszory, z malowniczym wodospadem w skalistym zwarze Pistynki. Potomkowie osiedlonej tu przez Jana III-go szlachty chodaczkowej pokazują tu „zamczysko“, raczej szczątki murów i głęboką piwnicę, lecz niewiadomo dokładnie, kto władał tym zamkiem i jakie losy zmienne miały nim? Błąkają się tu, coprawda, jakieś echa konfederacji halickiej i nagłej ucieczki mocno, ponoć, w czasach króla Poniatowskiego skompromitowanej pani

z życia wojska, szlachty, opryszczków — nieraz pełne humoru, a nawet nielada zjadliwości. Świeże tam podziśdzień stare tradycje polskich garncarzy Kowalskiego, Baranowskiego i Bachmińskiego, którzy wprowadzili do życia huculskiego garncarstwo ozdobne i wysoce artystyczne — rozwija się ono nieprzerwanie i podawnemu — w warsztatach polskich garncarzy. Stara cerkiew, zbudowana podług najsurowszych kanonów cerkiewnego budo-

misternych sprzętów roboty



*Kościół ormiański
w Stanisławowie*

Katarzyny z Potockich Kossakowskiej, która musiała szukać „kąta przepiecznego“ aż na Wołoszczyźnie, bo ziemia pokucka istotnie paliła wonczas stopy patriotom.

Paliła ona w różne doby i w Kołomyi też, w tem dużem mieście, co, mając się za stolicę całego Pokucia i Huculszczyzny, formułę prawną swawolnego i zgiekliwego wieku siedemnastego stosowało ostro do opryszków sławnych i zwykłych nicponiów, pomna, iż... „fur, latro, incendiarius, viarum depopulator et praedo ubique ca-



W zieleni sadów toną domki Kosowa, ...

piatur et deteneatur“. Toteż od Tatarów, którzy niemal corocznie zagony swoje spoza Dniestru zapuszczali, przejąwszy sposoby okrutne, władza grodzka rękami pacholków miejskich, owych „smolaków z sekwestru“, chwytała wszelkich „contemptores legum divinarum et humanarum“ i „w katowniach popytawszy, wieszala, ćwiartowała i na dybie łamała“. W lochach sądu grodzkiego upływały ostatnie, straszne dni „czarownic“, które jeszcze w w. XVIII-ym wyprowadzano niekiedy na stos i palono bez miłosierdzia, albowiem „życiu i duszy chrześcijańskiej szkodowały ciężko“.

Pyszniła się okrutnie Kołomyja, że ją podobno rzymscy kronikarze uwiecznili, a w każdym już razie starodawny książę halicki — Kolanan często tu i chętnie przebywał. Niech tam myśli Kołomyja,

co chce o swym rodo-
wodzie, wiadomo za-
to, że Jagiełło oddał
tę kasztelanę wraz z
całym Pokuciem wo-
jewodzie moldawskie-
mu Aleksandrowi —
w zastaw a, wykupi-
wszy, klasztor Domi-
nikanów założył. Mia-
sto podniosła, ozdobi-
ła i wzbogaciła Marja,
ciotka Kazimierza IV,
po śmierci małżonka



...rozjaśniają je słoneczniki złote...

hospodara Eljasza, wdowie tu pędząc życie. Jej afektu do Ko-
łomyi nie podzielał wcale gospodar Piotr, bo miasto docna spalił.
Podniosła się jednak Kołomyja, wysiliła się na zamek obronny
z wałami, basztami i bramami mocnymi, nad Prutem nawet pobu-
dowawszy „tyny trzyczędowe“. Po wojnie 1914—18 r. stanęły tu nowe
gmachy; życie, mimo wszystko, wre tu od rana do nocy; obroty,
banki, tranzakcje, jarmarki, wystawy i zgiełk uliczny świadczą o tem
wymownie. Kołomyja wystawiła pomniki dwum „poetom rzeczy-
wistości“ — Franciszkowi Karpińskiemu i Józefowi Piłsudskiemu,
który w natchnieniu wolności porwał za sobą Hucułów na czyn
zbrojny i sławny. Dokoła Kołomyi — rozpiera się płaszczyna, łąki
bogate i pola złote, gdzie wieśniak i ziemianin tną ziemię żyzną sta-



...i różowe maków kwiecie

lowym lemieszem.
Aż hen po Dniestr
biegną te łany, ro-
dzące obficie psze-
nicę, żyto i kukuryd-
zę. Wzorowe to
gospodarstwa i na
wysokim stoją po-
ziomie. Należą one
do Polaków i Or-
mian. Stare siedzi-
by szlachty mocno
ucierpiały w czasie
wojny, nowe dwory



Piękna jest okolica kosowskiej lecznicy

nie rażą zbytnim przepychem. Wyczuwa się, że zamieszkała w nich ciężka, uporczywa, systematyczna praca i troska o przyszłość, której nikt i nic już nie zabezpieczy — tylko własny wysiłek i myśl, przewidująca szybko zachodzące zmiany na świecie, do dna wzburzonym wicherą wojny światowej. Ormianie, wzbogaceni na handlu, w w. XVIII-ym zaczęli osiadać na roli. Pracowici i zabiegliwi doprowadzili swoje posiadłości do kwitnącego stanu. Wraz z ziemianami — Polakami stworzyli na równinie przedniestrzańskiej spichrz dla Pokucia i Huculszczyzny, a każde niepowodzenie i klęska ziemiaństwa odbija się dotkliwie na życiu wierzchowiny.

Niedaleko od Kołomyi, w Książdworze przechował się największy w Europie rezerwat cisu, tego wymierającego już gatunku drzew, i wieś „św. Józef“, zamieszkała przez Mazurów, którzy wykarczowali tu lasy i pobudowali osiedla na wzór wiosek, zwykłych dla Mazowsza. Z Kołomyi odgałęzia się od głównego toru kolejowego bocznicą — „lokalka“, biegnąc przez Peczeniżyn, przechowujący w nazwie swej ponure wspomnienie o Pieczyngach, ogniem i mieczem nawiedzających w w. XI-ym tę



Wjazd do zakładu

część dawnej Rusi Czerwonej. Dochodzi ta staroświecka kolej do kopalni ropy w Słobodzie Rungurskiej. Przemysł naftowy zapoczątkował tu w ostatniej kadrze wieku XIX-go patryjota gorący i myśliciel — Stanisław Szczepanowski. W łagodnej miejscowości, wśród zielonych gór widnieją tam rozrzucone chaty, domki, przytulne wille i kaplica patronki górników, św. Barbary, należąca do wsi i osady fabrycznej. Najświetniejsze czasy tego „ropyszczka” minęły już, ale praca tu nie ustała wszakże... Nieprzerwanie pracują „trójki”, pompami wyciągając ropę z żył ziemi i napełniając nią wagony-cysterny. Nad kotliną, przeciętą małą rzeczką, panuje najwyższa tu góra Ostapiuk; po stokach bezleśnych rozparły się wspaniałe łąki o trawach bujnych, żyznych i kobiercach z dzwoneczkami, wonnych „świeczek”, koniczyny olbrzymiej, niezapominajek i bratków polnych.



*Twórca lecznicy
Dr. A. Tarnawski*



Fragment pawilonu wodoleczniczego

Słoboda Rungurska wieczy święcie, że nie zagasła jeszcze gwiazda kopalni rungurskiej i pielęgnuje ideę Szczepanowskiego. Żyją tu spadkobiercy jego idei, zrosli z tą piękną i bogatą ziemią, a w ich domu można zrozumieć wszystko, co zdumiewa turystę i dręczy go niepokojącą tajemnicą w chatkach gazdowskich, przy wiatrce w połoninie i w kolibie „sykmanyczów”... Wczuli się oni w duszę Hucułów, słyszą każdą zmianę w rytmie ich krwi gorącej, troskają się i cieszą razem z nimi. Turysta, który zabrnął tu, powinien podążyć na przełęcz na Kniaźlu, leszczyną i bukami porośłą, i rzucić stąd okiem na długą i sze-



Figury w kościele...

wsi i miasteczek, przeszedł do Bełzeckich. Przez długie lata czterej bracia z tej rodziny prawowali się o Delatyn, gdzie w owe czasy stał zameczek dość dobrze obwarowany...

Spór rodzinny powodował najazdy, chwilkami wojny niemal i to demoralizowało okoliczną ludność, tembardziej, że Bełzeccy potajemnie posiłkowali się opryszczkami i w pewnych wypadkach uzbrajali swoich poddanych, zachęcając ich do grabieży po dworach przeciwników. Takie wypadki stawały się coraz częstsze i zuchwalsze. Był to gorzący obraz bezprawia, społecznej i duchowej nędzy pewnej części szlachty na ziemiach kresowych. I nic nie mógł poradzić na te plagi ówczesnego życia na owych rubieżach sło-

roka dolinę od Jabłonowa aż po Delatyn, na wieś Berezów Niżny — siedlisko zbójnickie, skąd królowie polscy wyrugowali wkońcu „beskidników“, polską tu szlachtę osadziwszy, i przyjrzeć się dalekim górcom nad Kosmaczem, Riczką i Jaworowem i majaczącemu we mgle grzbietowi Ihrca.

Z Kniaźla i Ostapiuka, panujących nad Słobodą Rungurską, w dzień pogodny widać Delatyn. Znaczna to osada nad Prutem, — gdzie powstał zakład leczniczy z kąpielami solankowymi i pracuje kilka pił. W XV-tym wieku założyła tu sobie gniazdo szlachta ruska Delatyńskich, od których w w. XVI klucz ten, obejmujący bodaj z pięćdziesiąt



...ormiańskim...



...w Stanisławowie

necznych potężny nawet Stanisławów, groźny pod wywierającym wielki urok znakiem Szreniawy. W r. 1661 założył go Jędrzej Potocki i zbudował wspaniałą farę z relikwiami świętego Wincentego. Podziśdzeń przechowały się w podziemiach tego kościoła groby Potockich, a w nawie — posągi mężów i niewiast tego możnego rodu i tablica ku czci poległego pod Wiedniem pułkownika husarzy skrzydlatych — Stanisława Potockiego, którego imię nadano temu miastu, gdyż przedtem nazywano je Zabłociem. — W w. XVIII-ym stanęły tu świątynie Niepokalanego Poczęcia N. Panny Marji, katedra unicka, ślicznej architektury kościół ormiański z cudownym obrazem Bogarodzicy i freskami Jana Soleckiego; klasztor ks. trynitarzy, który istniał do r. 1830. Szerzyło tu oświatę kolegium jezuitów, gdzie nauki pobierali poeci polscy: — Franciszek Karpiński i Mieczysław Romanowski oraz ruski — Antoni Mogilnicki. Potężną warownią był ów gród kresowy. Budował ją znakomity inżynier awinjoński — François Carassini, a potem dzielny i biegły w sztuce fortyfikacyjnej — Józef Potocki, hetman wielki koronny, który wydawszy na ten cel kilkanaście milionów złotych polskich z własnej szkatuły, niedostępną z niego twierdzę uczynił. Na wyniosłym ratuszu jeszcze w wieku ubiegłym stał żyd z blachy srebrzonej, trzymający wielki bochen chleba za... 1 grosz. Wymowna reklama taniości życia i dobrobytu ogólnego! Było na co tu spojrzeć! Sekretarz królowej Marji Kazimiery, bywały kawaler D'Alleyrac, mówi o Stanisławowie: „Cette ville avec un beau palais de pierre, magnifiquement bâti et orné...” Wielu ludzi znakomitych widział w swoich murach zamek Potockich i wiele przeżył złych i dobrych lat. Włości, bronione przez fortecę, plądrowały czambuły tatarskie, wojska Rakoczego i Moskale po elekcji Leszczyńskiego; długo pamiętano tu napad Adama Sieniawskiego, stronnika Sasów; srożyły się tu dżuma, i niszczące pożary. Zato pamiętano tu długo, że Stanisławów w r. 1676 dopomógł królowi Janowi III w jego zwycięstwie pod Żurawnem, gdy tu gród Potockich zatrzymał pod swoimi murami wyborowy korpus Szejtana-Baszy i dał możność Sobieskiemu pomścić haniebną pokój buczacki, przyłączyć dwie trzecie Ukrainy do Polski, zmusić Turków i Tatarów do dostarczenia posiłków na pierwsze zawołanie Rzeczypospolitej i wyprowadzić z niewoli tatarsko-tureckiej wszystkich jeńców polskich. W Stanisławowie obchodzono hucznie koligację z Burbonami; odpowiadano wybuchem szczerego patriotyzmu narodowego w dobie konfederacji halickiej i barskiej i radoowano się każdemu, bodaj, najkrótszemu okresowi, gdy zdawało się

że dla Rzeczypospolitej „jam aurea saecula redibunt“ — a jej „złoty“ wiek ogarnie całe Pokucie i Wierchowię, o której „kasztelanja Stanisławowska“ nic nie wiedziała, lub niezmiernie mało. Rok 1801-szy był rokiem tragicznym dla Stanisławowa. Ostatni jego dziedzic — Prot Potocki zbankrutował beznadziejnie. Austriacy objęli miasto pod swoje rządy. Odeszły w otchłań wieków niszczące niegdyś kraj najazdy tatarskie, ciągłe obawy spowodu chciwości wschodniego i zachodniego sąsiadów, wyprawy wojenne obu, konfederacje, ścigania, sądy i egzekucje... Jak chmura, brzemienne ulewą, przylotczyła całe życie ponura cisza cmentarzyska. W Stanisławowie, w tem najbliższej ku góróm wysuniętem mieście, nie zamarała jednak bujna i śmiała dusza, co to w dziejach naszych śmiała stąd rzucała słowa i hasła. Zrozumiano tu, że nie czas na jakieś zbrojne zmagania z najeźdźcą, tembardziej, że austriaccy urzędnicy — podstępni i przebiegli — umiejętnie siali śród Rusinów ziarna nienawiści do Polaków i w każdej chwili mogli w perzynę obrócić nasze odwieczne placówki kresowe. Zabrano się wonczas do pracy organizacyjnej, która miała przynieść uświadomienie polityczne i dobrobyt. Ludzie dobrej woli i rozległego, głębokiego rozumu poczęli szkoły zakładać i wyższe kursy rolnicze, techniczne i handlowe, gospodarstwa, stacje i warsztaty doświadczalne, szerzyć zamiłowanie do nauki, literatury, teatru i sztuki. Dawne „królewęża“ demokratyzowały się w najlepszem tego słowa znaczeniu. Rolnictwo i hodowla bydła, posługując się najlepszymi wzorami zachodnio-europejskimi szybko doszło do rozkwitu, rozwijać się począł energicznie przemysł, rzemiosło i handel; a wraz z podniesieniem dobrobytu układać się poczęły stosunki polsko-rusińskie i w Stanisławowie i Lwowie szczerze i przyjaźnie naradzały się o wspólnych losach pewne koła polskie i ukraińskie, widząc w monarchji Habsburgów wspólnego wroga i ciemiężcę. Z Stanisławowa, jak niegdyś, w czasach zawieruch tatarskich, sunęły setki ludzi do wszystkich powstań naszych, bo tu na kresach były zawsze gorące, wierne serca Polaków — serca odważne, dzielnie zaprawione do roboty bitewnej i do ofiary z krwi i życia, aż doszły te cnoty obywatelskie do najwyższego i najpromienniejszego szczytu w krwawe dni lwowskie, gdy powstająca z gruzów Polska piersią własną broniła zachodu przed hordami wschodnich barbarzyńców, którzy fałszywemi obietnicami rzucili na nas Ukraińców. Po Austrii oddziedziczyła Stanisławów Polska odrodzona. Zapłaciła za to ojczyzna nasza sownie krwią wiernych synów swoich. Któż zapomni zasługi pułku ułanów krechowieckich pod dowództwem



Stanisławowska kolegiata...

bohaterskiego pułkownika Bolesława Mościckiego w lipcu 1917 r. Stanisławów się palił, a rozbestwione tłumy rosyjskiej dziczy żołdackiej niszczyły miasto, zabijały i grabiły mieszkańców. Do tego to piekła w porządku wzorowym wszedł pułk naszych ułanów. Po otrzymaniu rozkazu od swego dowódcy ułani rzucili straszny siew śmierci za mor-

derstwo, gwałt, grabież i podpalenie, a potem zajęli się lokalizowaniem i gaszeniem pożaru, zagrażającego całemu miastu. Stąd tu, przed odejściem pułk wysłał gorąco i uczciwie zredagowane pismo do Rady Stanu. A potem nastąpiły skwarne i krwawe dni bitew z Niemcami i Austriakami pod Stanisławowem, między innymi pod Krechowcami, gdzie stoczono zwycięski bój, gdy to ułani wykonali sześć szarż raz po raz i rozwiązali trudne i niezbędne zadanie strategiczne. Pamięć o tym bohaterskim czynie przekazuje wiersz Pusłowskiego:

„Mówcie, jak było w szarży na Krechowce?

pytał wachmistrza młody ułan-zuch. —

Idź, policz naszych poległych grobowce!..“

Polska w najnowszych czasach rozbudowała, ożywiła i uczyniła Stanisławów stolicą jednego z ważniejszych województw. Władze polskie gospodarują tu energicznie. Dość przyjrzeć się nowym gmachom, ożywionemu niebywale ruchowi w mieście, gdzie powstały duże warsztaty kolejowe, rafinerja nafty, fabryka smarów, zakłady koszykarskie, tkalnia mechaniczna, fabryki waty, watominy, pracownie, gdzie wyrabiają na zamówienia wielkich miast i firm kołdry,



...i jej Męka Pańska

ubrania gotowe, obuwie, dywany perskie, kilimy. Elektrownia, młyny, suszarnie owoców i jarzyn rozwijają się z każdym rokiem. Stanisławów jest siedzibą grecko-katolickiego episkopatu i ośrodkiem turystycznym dla całych Karpat wschodnich. Miasto ożywione, zaopatrzone w znaczną ilość szkół różnego typu, posiada teatr, muzea i biblioteki. Jest to miasto wrażliwe na wszelkie powiewy ideowe i polityczne, gorące i jarne, jakgdyby w żyłach swoich obywateli przechowywając dawien ogień, co gnał Potockich, Jabłonowskich, Kossakowskich i innych — możnych i maluczkich daleko, daleko, ba — aż pod mury Wiednia i na daleki Sybir. Teraz w nowoczesnej „kasztelanji“ wiedzą o wszystkim, co się dzieje na Huculszczyźnie — od Gorganów do Śniatynia i od przedgórza aż po dalekie rozłogi południa i groźny mur Czarnohory, rozumieją nawet marzenia i porywy górali beskidskich, a ich przejawy w wytworach sztuki ludowej przemawiają z gablot muzeum stanisławowskiego, pomyślanego i ochranianego z pietyzmem prawdziwym i wnikliwością głęboką.



Fr. Karpiński



Juljusz Kossak: Na łożoniny!

CZĘŚĆ DRUGA
W BESKIDZIE HUCULSKIM

ROZDZIAŁ PIERWSZY
ZAGADKI BEZ ROZWIĄZANIA



Album Lewickiego: Huculy

Na wschód od Prutu rozpostarli się łańcuchy górskie Huculskiej „zechłej” — tej najprawdziwszej, „wykochanej” przez gazdów, watahów, juhasów, kiermanyczów, „sykmanów”, spuszcających świerki po ryzach, i tych wszystkich, których od dziada pradziada pociąga ku sobie, karmi, poi i raduje ta ziemia urocza i piękna nawet wtedy, gdy groźna jest i gniewna. Zupełnie odrębny szczepek za-

ludnia Beskid Huculski, Czarnohorę, Beskid Hryniawski i grzbiet Czywczyński, północno-zachodnie bukowińskie pogranicze i skrawek Karpat w granicach Czechosłowacji. Dziwny ten i malowniczy kraj, jakgdyby świeżo spod warstwic pyłu dziejowego, niby ów mamut staruński z pokładu wosku ziemnego, wyłonił się za czasów polskich i ukazał oczom ludzkim swój urok i piękno, zasłute przytem mgiełką nierozwiązanej dotychczas zagadki, którą rząd austriacki nie przejmował się wcale. Historia przechowała o tej szafirowo-zielonej wierzchowinie niewiele wspomnień. Prehistorja też poskąpiła wskazówek co do ludności tych gór; toteż uczeni nie wyrobili sobie o niej zgodnego zdania. Jedni domyślają się, że Egipt przez Bałkany posyłał już tu miedź i przeto metal ten stał się wkońcu ulubioną ozdobą Huculów; drudzy dopatrują się wpływów Kimmerów, którzy z wyżyny irańskiej zabrnęli na step czarnomorski i do końca w. VIII-go koczowali nad morzem Azowskiem, gdy ich luźne, rozległe państwo sięgało dorzecza Dniestru; inni wreszcie odnajdują tu znamiona Gotów, a w krzyżach i koljach — owych „zgardach“ — naśladownictwo ozdób z okresu Atylli — wodza wielkiej wędrówki ludów... Tymczasem na kolumnie Trajana w Rzymie — tem muzeum postaci historycznych, podobno, z całą pewnością odróżnić można charakterystyczne sylwetki naszych Huculów, zmuszonych siłą oręża do wzięcia udziału w pochodzie wielkiego triumfatora i cesarza sprzed dziewiętnaście prawie wieków. Historycy wiedzą, że Rzy-



Władysław Jarecki:

W cerkiewce

spaliwszy to miasto, z świerkowych i limbowych kłoców zbudowane, założył na jego gruzach fortecę — Apulum, do Dacji zaś rzucił falę wojskowych osadników rzymskich, jako do nowej, zdobyczej prowincji, obfitującej w piękny budulec i złoto w górach Transylwanji. Zdawało się, że karta dziejów tego ludu została zapisana do końca, ale tak się jednak nie stało. Za rzeką „Hierasus“ — naszym huculskim Prutem — utrzymali się niezależni Dakowie i oni to podawnemu szczyrzyli kły i, jak lawina, wpadali do zagarniętej przez najeźdźców ojczyzny, rzucając łuny pożarów i zwarliwy zgiełk

bitew, a potem znikając bez śladu w swoich górach niedostępnych. Gdy w III-cim wieku Rzymianie wycofali się z Dacji i otworzyli drogę najazdowi Gotów, — w górach poza Prutem pozostali nieznanący obcego jarzma i hańby niewoli niezależni i waleczni górale.

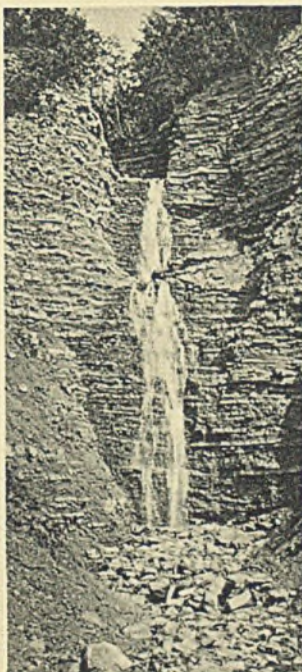


Wartkie rzeki pod spychami gór...

Czy Huculi są ich potomkami i spadkobiercami? Nikt nie daje na to pytanie przekonującej odpowiedzi, tembardziej, że po panowaniu Trajana nic szczególnie wybitnego w skali historycznego wypadku nie działo się pomiędzy Prutem a Czeremoszem. Coś-niecoś zaledwie mówi o tej sprawie i mapa dawnej Europy. Oto wał Trajana dochodzi do ujścia Dunaju, a więc i Prutu; do tego też miejsca podciągają obozy Madjarów w końcu w. IX-go, a w następnym już — czołowe zasięgi Pieczyngów, których imię przecho-wało się w nazwie huculskiego Peczeniżyna, a również w owym

„Silva Pieczyngarum“, jak pisarze z w. XVI-ego nazywali Czarny Las, co to rozpiął się pomiędzy Bystrzycą a Łukwią; w górnym biegu Prutu to rozpowszechniają swoją władzę kneziowie grodów czerwieńskich, to znów cofają się, nie wychodząc poza Gorgany.

W XII-ym wieku dwie fale uderzają jednocześnie o karpackie podgórze — Torki-Berendeje i Połowcy, czyli Kuman; w w. XIV — od zachodu wdzierają się tam Madjary, od południa — Bułgaro-Wołosi, aż nadciągnie horda tatarska, która odrzuci Ruś Czerwoną i strąca przelęczę, połoniny i doliny karpackie. Wkrótce po tym krwawym okresie, za Kaźmierza Wielkiego, Polska odziedzicza całe Pokucie i Huculszczyznę teraźniejszą i włada niemi przez cztery wieki, aby



...witają strugi wodospadu

aczkolwiek częstkroć niezmiernie burzliwym, a niezmiernie barwnym, romantycznym i namiętym. Już te pomruki dawnych wieków, przemawiających z map historycznych, pozwalają domyślać się, że szczerp huculski jest niezwykle pstrym zlepkim różnych ras i ludów i tem się tłumaczy odrębność jego, zarówno fizyczna, jak i duchowa. Huculi, niby te stare płyty na grobowcach, papyruse zbutwiałe i pergaminy spleśniałe, przechowali w sobie wierzenia, zamiłowania, zwyczaje i żywe jeszcze echa tych ludów, po których w pamięci ludzkiej nazwy nawet nie pozostało. Trwają i żyją — sędziwi, lecz mocni i zdrowi, jak ta samotna „mudryna“ — jasno

utracić te ziemie w r. 1772 i odzyskać je wraz ze swą wolnością w Wielkiej Wojnie. Na przestrzeni tych 400 lat Huculszczyzna nie stała się areną jakichś bardziej wybitnych wypadków dziejowych. Może nieco głośniej przemówiła ona, gdy Wołosi złożyli tu w r. 1415 hołd Jagielle, a potem podczas nieudanej wojny wołoskiej za Olbrachta, wojny kozackiej i wreszcie konfederacji barskiej; zresztą Pokucie z Huculszczyzną, leżące na skraju Polski, żyło własnym życiem,



Huculi mikulczyński w drugiej połowie wieku XIX

zielony modrzew, stojący tam, gdzie teraz bezleśna rozparła się halizna. To też J. Karłowicz robi słuszną uwagę:

„Siedzące na górnym Prucie, na Pokuciu, wielce charakterystyczne, odmienne plemię Huculów, jeśli nie jest gałązką wołoską, zruszczoną tylko, to napewno odłamkiem Rusi, mocno przesiąkniętym krwią wołoską. Niema też powodu odrzucać stanowczo możliwości jakiegoś dopływu wśród Huculów krwi połowieckiej i turskiej wogóle; tembardziej, gdy się przypomni, że całe późniejsze mołdawskie Zadniestrze, dla nas — „Huculszczyzna“, była wieki całe zajmowana przez Pieczyngów, a następnie przez Połowców. Mniejsza już, czy i sama nazwa „Hucul“ nie jest przetworzeniem tylko nazwy „uz“, jaką nadawano niektórym plemionom koczowym (Torkom).“

Stare też są nazwy różnych miasteczek i wsi pokuckich i huculskich, bo niektóre z nich, jak Kutry i Rybno należały do synów niejakiego Zygimonta, nadane im przywilejem Jagiełły; Dragosynowiczowie władali Żabiem i Kosowem z daru Świdrygiełły, rządzącego z ramienia Jagiełły niektórymi ziemiami halickimi; Peczeniżyn był włością kasztelana Iwana Koli już w r. 1440; w tym samym czasie Berezów pozostawał w rękach drobnej szlachty ruskiej; akta z r. 1579 wspominają już o Rungurze i Kosmaczu. Wewnętrzne życie tych wstarych osiedli porywało za sobą bezimiennie wtedy gniazda górskie i to tak burzliwie, że echa tych wypadków nawet w ważnym w naszych dziejach i zgiekliwym wieku XV-ym obijały się o królewskie mury Krakowa. Wielkie bowiem powstało larum, gdy prosty chłop Mucha, „do zbroi i do boju zawzięty“, na czele 9000 ludzi, poczęści zaciągniętych za mołdawską rubieżą, poczęści zwerbowanych spośród drobnej szlachty ruskiej z Podkarpacia, ni to płomień niszczący, przebiegł od Śniatynia aż po Halicz i Rohatyn. Król zmuszony był wówczas zwołać pospolite ruszenie, a dowodzący niem wojewoda rozbił watahę Muchy nad Dniestrem, jego samego zaś, zdradzonego przez kobietę, schwytał i przywiózł do Krakowa, gdzie w lochu więziennym urwała się nieć życia tego niepospolitego buntownika. W rok później na arenę dziejową wypłynął zuchwały samozwaniec — Andrzej Baruł z Mołdawji. Ten znów pretendował do tronu Rusi Czerwonej z Polską związanej przez króla Kazimierza Wielkiego, lecz grasował krótko, bo, pojmany przez kasztelana halickiego, stracony został w Krakowie. Niektóre badania doprowadzają do wniosku, że Huculszczyzna nie jest ani archaiczna ani też niesłowiańska, gdyż więk szość osad huculskich nie sięgnie poza wiek XVII-ty. Być może,

ale wiemy, że karpackie granice nasze długo były płynne, a pasterski ten lud, być może, nie zakładał osad stałych, zanim nie zniewoliło go do tego życie. Mówiąc o pochodzeniu tego ludu, myślimy zawsze nie o Huculach współczesnych, lecz o ich dalekich przodkach spoza rzeki Hierasus, o wojowniczym ludzie Decebala, panującego w Sarmizetuzie. Czyż samo życie ludzi Wierchowiny nie przechowało tych prastarych ech? W najnowszym okresie Huculszczyzna rozślawiła się najbardziej, gdyż stała się areną zbrojnych czynów „żelaznej” brygady i ochotników huculskich. Temi czynami historia rozpoczęła dalsze dzieje współżycia Karpat Wschodnich z Polską, — współżycia, które nie było nigdy ciężarem dla mieszkańców tego kraju.

Wielcy i możni panowie polscy od piastowskich czasów mieli tu swe włości — rozległe, niby udzielne księstwa. Ossolińscy, Krasiccy, Kuropatowowie, Potoccy, Tęczyńscy, Jabłonowscy, Kossakowscy, Jazłowieccy, Koniecpolscy, Drohojowscy, Stadniccy, Barabaszowie, Błudniccy, Strutyńscy, Bełzeczcy, Skarbkowie i wielu innych. Jedni z nich i to najmożniejsi uważali za zadanie swoje stać na straży kraju i w tym celu wznosili twierdze lub zameczki obronne; drudzy — w ten lub inny sposób wykorzystywali ziemię i lud tej dzielnicy; inni znów przyczynili się do wykrycia w niej naturalnych bogactw, jak sól, ruda żelazna, węgiel, srebro, saletra i ropa, chociaż kroniki wspominają, iż szlachta miejscowa, a nawet dygnitarze, jak kasztelan Bałaban, częstokroć wielce szkodzili państwu, prowadząc pomiędzy sobą krwawe nieraz porachunki i do ich załatwienia powołując zbrojne bandy Huculów polskich i zakordonowych, skutkiem czego szcześnie rozwinięto się na Pokuciu tak bardzo tu rozpowszechnione niegdyś zbrojństwo.

Rzecz znamienna — że poza Stanisławowem i Kołomyją, szlachta polska nie wysilała się tu, jak to widzimy na innych kresach naszych, na wznoszenie okazałych siedzib, świątyń i klasztorów dla zakonników, prowadzących pracę cywilizacyjną.

Czem się to tłumaczy? Niezwykłą tolerancją względem ludności prawosławnej lub grecko-katolickiej? Instynktownie wyczuwaną niepewnością bytowania w tych okolicach, wstrząsanych tak często zawieruchą wojenną? A może właśnie zrozumieniem rasowej, szczepowej i psychicznej odrębności Huculów, o czym tak wymownie świadczyły wtedy i świadczą dziś jeszcze te niebywale charakterystyczne typy ludu pokuckiego, bijące w oczy swoją różnorodnością? Przy pierwszym już bowiem wejrzeniu na tłum podczas jarmarku lub święta w cerkwi odróżnić można wśród Huculów



Biegnie łąka pomiędzy woryniami

typy sarmackie, jakgdyby wyjęte z portretów staropolskich, wołoskie, węgierskie, tureckie, tatarskie, cygańskie, ormiańskie, ba, nawet murzyńskie! Gdy się patrzy na tę dziwną mozaikę typów, w pamięci powstają dawne obrazy, z dziejami tego kraju ściśle i nierozzerwalnie związane. Huculi przecież pędzali swoje bydło i konie



Rzeki górskie są nie tylko piękne,...

przez Węgry i Wołoszę do Turcji, więc łatwo mogli „umknąć” sobie stamtąd jakąś krasawicę turecką lub z rodziny poturczeńców, i ona to dała początek odmiennemu od ościennej Rusi typowi tak samo, jak przyprowadzone spod Adrjanopola i z Macedonji konie tureckie stały się protoplastami znakomitej rasy mądrych i krzepkich koników huculskich. Tatarzy jeszcze dawniej i to nie jeden raz dolewali swej krwi do żył Beskidskich, boć przecież Batuchanowe czambuły ciągnęły przez Jaremcze, Mikuliczyn, Tatarów i Jabłonicę ku przełęczu, przechowującej

do naszych czasów nazwę tego ludu mongolskiego. Cyganie przybywali tu z Węgier i, jak się skarżyli starostowie śniatyńscy i kołomyjscy królowi Stefanowi Batoremu, koczowali tu długo, a wyzbyć się ich władze nie mogły, gdyż Huculi ukrywali tabory koczowe. Ognięści tancerze i tancerki, natchnieni śpiewacy, weseli lub smętni i namiętni grajkowie, wprawni kowale, znachorzy, czarownicy i wróżki, tułacze odwieczni, bogaci w opowieści tajemne i porywające, przypadli do serca góralom, którzy noszą w niem i tęsknotę,



...dają też radość rybakowi, sportowcowi...

niesznaną ludziom nizinnym, i namiętności płomienne, ni to żar, zacząjony pod szarym popiołem watry. Nikt więc nie dziwił się, gdy do „grazdy“ huculskiej wszedł i pozostał rozkochany w dziewczynie górskiej, pełnej uśmiechów słonecznych, a hożej i śmiałej, włóczęga nizinny — cygan czar-

nooki, wiotki i zdrowy, jak „kydryna“ rozrosła, co każdą przetrzyma nawałnicę. Nieraz, zapewne, zdarzało się, że w młodej cygance, zwinnej jak wąż i jak wąż zakradającej się do serca i krwi, niby urzeczony lub miłosnym „trikiem“ napojony, zadurzył się łęgińwatah i z połoniny wysokiej, gdzie w obliczu słońca, nieba i milczących wierchów wykochał ją sobie do śmierci, na jesieni do chaty ojcowskiej przywiódł ją, kraśną, jak maki łąkowe, i, pokłoniwszy się ojcu i matce do ziemi, nieugiętym głosem, niby przysięgę rzuciwszy, powiedział, iż bez tej cyganichy żyć już nie potrafi. I żydowska też — też niestety niearyjska — domieszkała się tu krew.

Z tej to domieszki krwi semickiej powstało zapewne, trudne inaczej do zrozumienia, bo na niczem nie oparte zaufanie Huculów do Żydów, choć każdy góral na palcach przeliczyć może, ilu widział ich nędzaczami, gdy jeszcze jako „torbeje“ chadzali, a teraz na ufności i prostoduszności górali do kapitałów wielkich doszli i całą niemal wierchowinę zagarnęli.

Przy takiej mieszaninie i odrębności ludzi miejscowych dawnej szlachcie naszej istotnie mogła odpaść



...i tym, co nocą wychodzą na łowy



Osobliwym jest przystroj...

osiadłych i zupełnie już spolszczonych. Mimo, że Huculi posiadają w swych żyłach sporo polskiej, przechowali oni jednak wyraźne tradycje swego pochodzenia lechickiego wyłącznie w dwóch tylko miejscach — w Berezowie Niżnym i Szeszorach. Gdyby można było znaleźć jakieś odczynniki chemiczne na każdą poszczególną krew, wykryć tu udałoby się niezawodnie domieszkę rzymską, niemiecką i południowo-francuską, gdyż sporo cudzoziemców w dawnych i nowych czasach „zhuculało“ kompletnie, bo taki już to urok mają te góry i ludzie, mieszkający w kurnych chatkach samotnych, rozrzuconych po spychach lesistych, po „rozczolynach“ i łąkach wśród borów świerkowych. „Zhuculało“ zaś tak doszczętnie, jak ci Tobjasze, Juhasy i Szerclce, co to przekradali się do wojska Kosutha, zaciągając się do węgierskiej husarji, a, gdy na Pantyrze popadały im konie, ugrzęzli w Rafajłowej i stali się teraz lo-



...główn niewieścich

jalnymi obywatelami polskimi, do rdzenia kości jednak nasiąkłymi „hucul-szczyzną“ — tą najprawdziwszą — leśną, połoninną i nadrzeczną.

Hucul — to chociaż pasterz osiadły, lecz w mniejszym lub większym stopniu — koczownik. Świadczy o tem najwymowniej brak w nim instynktu gromadności. Nie lubi on zbyt bliskiego sąsiedztwa i nie znosi tłoku. Zagrody swoje buduje zdala od dróg, w środku swojej ziemi, aby być dalej od sąsiada, i w tym celu wybiera na chatę miejsce „szczęśliwe“, jednak takie, gdzie coś zasłonić je



Dziwnie bogata...

może od oczu ludzkich — pasmo boru, cypelek skalny lub zbocze grani górskiej. Toteż trudno dotrzeć do społeczeństwa huculskiego, bo społeczeństwem jest tu każda osobna rodzina. — Stanowi to przeszkodę dla prowadzenia jakiegokolwiek — pozytywnej czy też



...mozaika typów...

szkodliwej agitacji, któ-

i wielkich dróg, gdzie łatwiej o zarobek, wreszcie do — rolnictwa, które najbardziej stanowczo wymaga życia zbiorowego. Podobne zmiany są najpoważniejszą bodaj groźbą dla zachowania barwnych, nigdzie niespotykanych form życia górali Beskidu Huculskiego i Czarnohory.

Pozostaje pozatem niewyjaśnioną, nadana temu szczepowi nazwa — Hucul. Rozlegają się tu z tego powodu głosy, że nazwa ta przeszła na ludzi... od koni — „huculów“. Stało się to w każdym

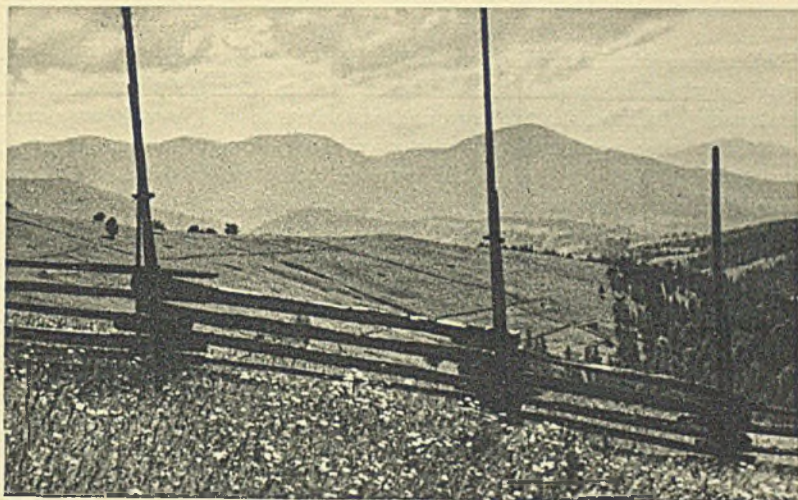


...wśród Huculów

jednak razie niedawno, bo jeszcze wkońcu w. XVIII-go nazwa ta nie była wcale znana. Sami zaś górale nazywali siebie „wierchowinnykami“ i „kreskienami“, co znaczy — ludźmi wierchów i chrześcijanami. Kwestja więc nazwy „Hucu!“ zostaje niewyjaśniona i okryta tajemnicą. Co do mowy huculskiej, to jest ona osobnem narzeczem, spokrewnionem z ruskimi gwarami pokuckiemi, lecz wzbogaconem słowami pochodzenia polskiego, starosłowiańskiego, wołoskiego, cygańskiego, tatarskiego, ormiańskiego, serbskiego, węgierskiego, niemieckiego nawet — i włoskiego. Dzieje tego zagadkowego dotychczas szczepu, niby z niezgłębionej otchłani wieków, wyzieraają z przygastych już oczu starych Huculów, z ostrych, szlachetnych ich rysów, z głębokich brózd, wyźłobionych na ogorzałych obliczach niemiłosiernym lemieszem wojen, walk, zmagañ z naturą i namiętnością potężnych, które spaliłyby i na miał przetarły ludzi nizin, gdzie wszystko wszędzie jest drobne, zwykłe, szare i codzienne.



Wi. Jarocki: W niedzielę



Widok z Kozłowicy

ROZDZIAŁ DRUGI

W STOLICY HUCULSKIEJ



Krzyż w Żabiu

Tam, gdzie niby drobny szczegół potężnego krajobrazu tkwi Klewka, stożkowatym wierzchołkiem swoim zewsząd widzialna na tle zielonego wachlarza Magóry, gdzie wznosi się lesisty grzbiet Żabiowski, a jeszcze dalej — wspaniały łańcuch Czarnohory z strzelającymi ponad wężowy jej grzbiet wierzchami Munczela i Brebieneskulu, gdzie w widnokrąg się wtlacza pasmo Kozłowicy wyrazistą piramidą Hedji, — tam w kotlinie rozległej i wesołej, przeciętej Czarnym Czeremoszem i Ilcią, rozbiegła się na wszystkie strony, niby garść ciśniętych na ziemię kamyków, wieś Żabie.

Stolica Huculów! Prawdziwa stolica! Ponad sześć tysięcy mieszkańców i około 1500 domów! Sąd, poczta i szpitale, nadleśnictwo, hotele, restauracje, schroniska turystyczne, cerkwie i kościół, pensjonaty, muzeum i szkoły; posterunek straży granicznej, firmy drzewne, sklepy, autobusy, dyliżanse i dorożki; turyści, sportowcy i letnicy, którzy piją tu słońce, powietrze niczem nieskalane i „żentycię” — serwatkę — eliksir niemal nieśmiertelności podług recepty medycyny huculskiej. Wieś Żabie... pojęcie to nieścisle, a przekonać się o tem można, gdy ktoś zaprosi niewtajemniczonego przybysza... na herbatę do siebie. Nieraz zdarza się, że do gościnnego domu trzeba masze-



Kosodrzewina

rować, dobre dwie godziny. Bo Żabie, to przecież wieś huculska, a więc rozrzucona w nieładzie po okolicznych, łagodnych wzgórzach z przebiegającą pomiędzy nimi szosą z Kosowa do Worochty... Jednak jest to stolica, bo dzieje Huculszczyny przynajmniej od 200 lat przeplatały się z losami Żabia, gdzie sporo starych rodów osiadło. Bohater tego kraju — Ołeksza Dobosz zaglądał tu, jeżeli nie do samej, zbyt ludnej i widzialnej zewsząd wsi, to w każdym razie w okolicznych górach, tajemne, a nieraz i krwawe załatwiał sprawy.

Można tu podpatrzeć prawdziwe życie Huculów — takie, jakim było wtedy, gdy ani szos tu nie budowano, ani kolej nie przebiegała wpobliżu, ani też władze austriackie nie zaglądały tu, bo, gdy

spokój i cisza panowały w górach, ani o Żabiu, ani wogóle o Huculszczyźnie nie myślały, uważając kraj ten i jego lud za coś z nieprawdziwego zdarzenia, za jakiś cudaczny zabytek przeszłości zamierzchłej, która w urzędnikach cesarsko-królewskich żadnych wspomnień i wzruszeń nie budziła, chyba uśmiech pobłaźliwy. Przypominali sobie o Huculszczyźnie austriacy politycy dopiero wtedy, gdy nadchodził z Wiednia rozkaz poruszenia górali i skierowania nagromadzonych w nich sił przeciwko Polakom, aby nie czuli się zbyt „u siebie“ w Galicji Wschodniej.

Tak, można tu zajrzeć w treść życia Huculów, a komu się spieszy, ten ma znakomitą okazję uczynić to bardzo szybko. Dość pójść do teatru... w Żabiu — w stolicy bowiem istnieje teatr huculski. Wszyscy wykonawcy — to gazdowie, gazdynie, łeginie z dobrych rodzin i gazdowskie córki — jednakie tu nazwiska aktorów i postaci scenicznych: Janiuk i Korżuk, Łaskoryjczuk i Samokiszczuk, Mańczuk i Chrapczuk, a na scenie pojawia się cały ten dziwny świat huculski: górale, zbójnicy, ich „lubaski“, djabły, wiedźmy i „niawki“.

Roku nie starczy na odbycie wszystkich możliwych z Żabia wyćieczek i na przeżycie wszystkich wrażeń! Któż nie zwiedzi pełnej tajemnic Synyci, gdzie na szczycie, wśród olbrzymich odłamów skalnych widnieją mroczne przejścia do komór Dobosza? Straszne to komory i o ponurych przypominają wypadkach. Koło Żabia, po jakimś zuchwałym napadzie ukrywał się pewnego razu Ołeksa Dobosz, a wtedy to zamożny i odważny gazda, Mykoła Diduszko, przyobiecał pełną czapkę „czerwonych“ za głowę opryszka a i sam przygotował pistolety dla zgładzenia wroga bogaczy. Dobosz przyjął wyzwanie i, nie zwlekając długo, napadł na graźdę Diduszki, a, schwytawszy go przy wiatrce, gdzie gazda strzygł owce, zamordował wroga. Odciętą głowę jego, okutą żelazną obręczą, aby się nie rozpadła, Dobosz powiesił w pierwszej komorze na Synyci i umieścił w niej duży djament, który oświetlał tę mroczną kryjówkę. W innych złożył Ołeksa swe skarby, a na straży ich postawił „żertwę“ — smoka ognistego. W dalszych komorach w korytach limbowych, zalanych oliwą, ukrył ataman drogą broń zdobyczną, w kadziach zaś — srebrne talary i dukaty złote — w beczkach dębowych. Dziwna rzecz! Chociaż stało się to prawie 200 lat temu, Huculi twierdzą, że jeden z towarzyszy Oleksy — zgrzybiały starzec, niewidomy już i, ni to dąb zbutwiały, mchem porośły, — niczem legendarny zbój Madej, żył jeszcze niedawno i, kto wie — być może — żyje i teraz, kryjąc się w miejscach ustronnych, prawdo-

podobnie, na tej samej Synyci lub w innych uroczyskach, gdzie wycisnął swoje ślady Dobosz. Ślady te rozpoznać potrafi każdy Hucuł, bo Dobosz, gdy mu nogę bartką pokaleczył jego brat rodzony — Iwan, według pieśni

„...na niżku nalahaje
topircem sia podpiraje...“

Nietrudno zatem odnaleźć ślad chromonogiego atamana, tembardziej, że pod jego mocarnymi stopami pękały i kruszyły się piaskowce najtwardsze, jak na przykład, dziwne, okryte wydrążonemi, okrągłemi zagłębieniami i szczerbami skały Pisanego Kamienia, gdzie pozostały znaki widome potężnego skoku Dobosza; tak silnie odbił się on z rozbiegu, by poprzez góry ujrzeć jawor w Czarnohorze, pod którym urodził się niegdyś — co zresztą nie zgadza się z... aktami sądowemi i z metrykami cerkwi w rodzinnym Doubuszczukowym Peczeniżynie.

Ale nietylko z powodu legendy warto tu zajrzeć. Jak okiem sięgnąć, rzeźbi się na horyzoncie zębaty łańcuch Czarnohory, tam znów, w dali, w przemgleniu zielenią się „łuhu“ ponad lesistem pasmem za Watonarką. Płajami, granią i łąkami, od potoku Żabiowskiego snują się ścieżki na szczyt Krętej, skąd bliskim wydają się Smotrec Czarnohorski, kanciaste Rebra i iglice Szypcy, wdole — czarne, głębokie doliny Bystrzca i Dzembroni, a w mgiełce niebieskiej i złocistej — wesołe, słoneczne połoniny Hryniawskie — daleki, inny świat.

Z Żabia wyraźnie odróżnić można w głównym trzonie Czarnohory potężny garb Dzembroni, a nazwa ta ma swoją legendę — zapewne z w. XVII-go. W borach na zboczach tej góry miał swoją kolibę gajowy kasztelana stanisławowskiego — młody, udały Hucuł. Polował tu, mięso i skóry przywożąc do pańskiej siedziby letniej w Krasnoile. Celem łowów jego miały być żubry, skąd i powstała sama nazwa góry. Pewnego razu przywiózł on kilka wspaniałych skór żubrowych, czem się tak zachwycała pani kasztelanowa, że z gajowym przez cały ponoć rok polowała w puszczy na Dzembroni.

W różne strony rozpieczęły się z Żabia, z jego części, zwanej Ilcia górna, płaje, płacizki, trapasze — różne ścieżyny na Kityłówkę, Białą Kobylę, Rotyło, Hordje i Grahit poprzez bory, rozłogi, połoniny i zwaliska, gdzie pasą się kozy, ledwie widzialne wśród złomów skalnych. Ze wsi Dzembroni wiodą one na Popa Iwana, ostatni szczyt w łańcuchu Czarnohory, skąd granią jej poprzez cały grzbiet wije się szlak znaczony aż do Howerli, gdzie na strudzonego wędrowca czeka odpoczynek w malowniczym schronisku T-wa Tatrzańkiego na Zaroślaku, do którego można też dotrzeć z Worochty przez Ardżelużę.



11*

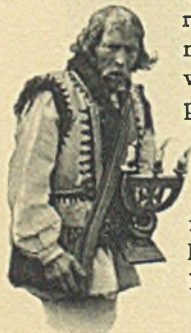
Okolice Kosowa: Widok z Michałkowa

» 97 «



Obrzęd święcenia ziół i owoców

Z Żabia trudno wyjechać, z każdym dniem bowiem pociąga ono ku sobie coraz bardziej. — Co to? Słychać muzykę i śpiewy, częstotliwy tupot koni, wesołe okrzyki. Rzępółą piskliwie skrzypce, brzęczą i huczą cymbały, czasem po dawnemu rozlegnie się chrapliwy głos trembity... To wesele huculskie powraca z cerkwi! Przed orszakiem młodych idzie „bereza“ z drzewkiem, przystrojonym barwinkiem, pękami owsa i koralowemi kiściami kaliny, za młodą parą — długi orszak: ojciec i matka weselni, druźbowie, goście i tłum gapiów. Na pierwszym koniu jedzie „kniahinia“ — panna młoda — już teraz po ślubie — „mołodycia“, przystrojona pysznie, bo aż w dwie koszule, długą jubkę granatową z galonami na podole, w nowy haftowany keptar, biały płaszcz-„gugłę“ z kapturem i narzuconą na nią czerwoną chustą, pod którą dzwonią kolje z krzyżyków mosiężnych i paciorków; na głowie wieniec z kwiatów, a na czerwonej chuście bieleje zawój, peremitka, oznaka męzatki. Wysokie buty, — dar „kniezia“, zdobią małe stopy góralki. Jedzie milcząca i jak-gdyby zasmucona, dotykając talizmanu — kołacza z sera — i myśląc o tem, czy udało jej się przed ołtarzem nadepnąć nogę przyszłemu mężowi, bo przecież od tego zależy będzie jej władza w domu. Myśli też o tem wszystkim, co zaszło od chwili, gdy wypatrzonemu przez siebie



Z „trijcją“ przy
święceniu

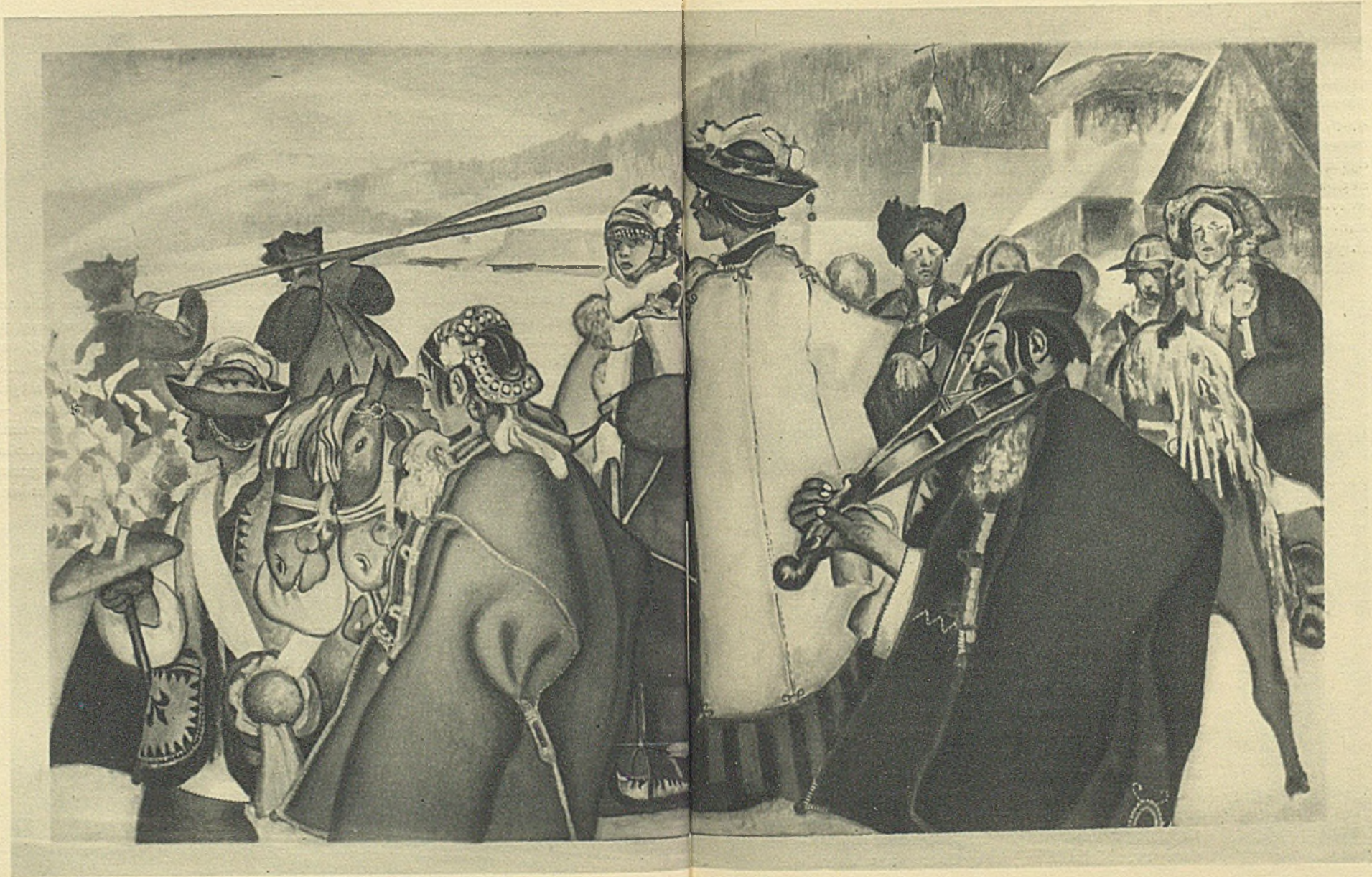
„łeginiowi“ zadała „lubystka“ z ziela czarownego, a więc — czy pocześnie się odbyły „obzoryny“, swaty, zaręczyny, gdy matka — „nienia“ obsypywała ją i chłopaka pszenicą i białą wełną, poczem oboje maczali palce w puharze z miodem; czy po Bożemu uczyniono błogosławieństwo i ostatnie przeprosiny, gdy „matka weselna“ zaczynała nucić pieśń, kończącą się prośbą, wygłoszoną w imieniu pana młodego: „Prosył usich, abyste prostyli i w daleku dorohu błohoslawyli“ Wzdycha młodycia, uświadomiwszy sobie, że wkrótce wejdzie do obcej zagrody, a nie wie przecież: po szczęście, czy po „czornu dolu“? Ale myśli jej mkną dalej; bo ma wątpliwości, czy dobrze i obyczajnie przeszły „zaprosyny“ na „zaczinanie“, na „zawodyny z pownycią“ — nie wiedząc o tem, że tak samo myślała o tych tradycjach odwiecznych i obrzędach daleka jej pra - prababka — owa gazdynia, która chłopca swego na wojnę z Rzymem, Połowcami, Gotami i, Bóg jeden wie, z jakimi jeszcze wrogami, odprowadzała, płacząc i mrużąc zaklęcia w nieznaną teraz mowię, co w gwara huculską przekształciła się z biegiem wieków. Sztywna i zadumana



Pod cerkwią



Ślub huculski



K. Sichulski:

Wesele

sunie tuż za muzykantami młodocia a w jej ozdobionej wieńcem i „uplitem“ warkoczy główce wszystko jakoś dziwnie się powikłało, i urywki pieśni: „A w nedilu rano, rano dzwony zadzwonyły, a sze rańsze przed schodem u cim domi zaśwityły. U cim domi mamka wstaje, mamka dytie ubyracje...“, i — jakaś obawa czy wstyd, nadewszystko jednak troska, aby nie zapomnieć wszystkich wymogów górskiej, starej, jak popękane skały, etykiety podczas wesela, „propija“ i wykupnego, gdzie będą tańce, strzelanina z pistoletów, i „sumne“ pieśni, gdy to obyczaj każe



Spojrzenie w przyszłość przez otwór kołacza



Orszak weselny



Młodzi dzielą się kołaczem weselnym

mołodyci płakać... a potem — pierwsze kroki w chacie świekrów, nowy „propij“ i znów obrzędy i zabawy aż do białego dnia, kiedy to wreszcie podochocony, roześmiany i żartobliwy drużba odprowadzi młodą parę do komory, zdejmie knieziowi i kniahini buty i da znak grajkom, aby muzyka ustała... Urwie więc skrzypek i dłonią spoconą zagłuszy drgania strun towarzysza — pijany cymbalista... Zapadnie cisza... Rozejdą się goście, pożegnawszy gospodarza... Niebawem już byłoby myćżeć zacznie

i konie poczną parskać... Za godzinę młodycia zabierze się do sprzątanía zaśmieconej izby... Będzie to czyniła przez całe już życie. We łzach i nigdy nieutulonej tęsknocie za nieosiągniętem szczęściem, czy też radosna, pełna uśmiechów — jaśniejszych od promieni słonecznych? Czy będzie się czuła w tym domu żoną, czy potwierdzi swym losem huculską nazwę kobiety-„czeljedź“? O tem to myśli w drodze powrotnej z cerkwi młodycia i serce jej źre trwo-ga, ale spotęgować ją lub rozproszyć może samo życie jedynie. Teraz szuka ratunku w talizmanie — w obrzędowym kołaczku, tym pradawnym symbolu słońca, zaniesionym tu wraz z jakąś krwią mieszkających nieznanej północnej krainy, tęskniącej namiętnie za cudnym, złotym, szczodrym i wesołym „bogiem“ o tysiącu imion i miljonie potężnych ramion promienistych.

Strwożony i zatroskany wzrok młodyci ożywia się jednak nagle, oczy błyszczą poczynają, rozchylają się lekko świeże wargi, ukazując ostre, białe zęby, a pod gułką i keptarem łomoce nagle młode, gorące serce. Wspomnienie to uczyniło! Wspomnienie o przyszłym mężu. Czarniawy, o orlim nosie i ognistym spojrzeniu, z włosami, spadającymi na ramiona, wysmukły, śmiały i silny — prawdziwy „knieź“ i jak ten knieź — wojownik! Bo czyż nie jest wojownikiem młodzian tak przybrany i do bitwy przysposobiony? Wstaje przed nią, jak żywy, z ciężkim toporkiem o złocistej rękojeści, w czerwonych spodniach-„kraszencyach“, ściągniętych szerokim pasem z grubej skóry — półpancerzem gladjatora rzymskiego, nabijanym mosiężnymi guzikami i blachami, zdobnym w łańcuszki i różne



Młoda para w ślubnym stroju

przedmioty, z zatkniętymi pistoletami o rzeźbionych główkach i nożem w pięknej pochwie; luby ma i pierś opancerzoną, bo na haftowanym keptarze krzyżują mu się szerokie rzemienie, całe w mosiądzu, podtrzymujące nabijaną miedzią taszkę-torbę i artystycznie cyzelowaną prochownicę z metalu lub rogu, a na „hriduszkach“ — tuż pod szyją — na grubym łańcuchu wisi duży ciężki krzyż



„Osiedok“ gazdowski

mosiężny — ryngraf huculski. Narzucona na ramiona „manta“ powiewa, niby skrzydła drapieżnego ptaka. Ozdoba huzarów węgierskich — dolman stąd zapewne został zapożyczony, jako istotnie piękny i okazały, prawdziwie męski strój! Nawet hełm lekki ma na głowie urodziwy, udały „knieź“! Ludzie nazywają ten ubiór „kresanią“, ale szeroka wstęga metalowa na niej chroni przed bocznym ciosem, barwna zaś, świecąca się kita — „trisunka“, u każdego Hucula inna — to niby godło wojownika.

Radośnie już bije serce młodyci, a troska odlatuje, jak ptak chyży, gość chwilowy. Śmiało wejdzie do chaty męża. Już polubiła ją, tę starą „grazdę“ — mały zameczek obronny, z kłoców świerkowych i belek limbowych ongiś postawiony nad głębokim, stromym „jyżworem“—wawozem, przegradzającym dostęp do góralskiej siedziby, osłoniętej opiekuńczą ścianą boru. Zna już ten „osiedok“, zna jego ogrodzenie — „worynię“ ze świeżych drągów świerkowych,



Sień domu huculskiego i...

Groźnie i poważnie wyziera ten dach i przydaszki budowówek gospodarczych spoza drewnianego krytego gontami płotu z szeroką bramą, nabijaną łbami dużych gwoździ żelaznych. Wewnątrz w chacie, w obydwu izbach wszędzie widnieją snycerskie rzezania, nawet w sieni i w komorze, gdzie wiszą kozuchy, koszule, o bogato haftowanych rękawach, zapaski, keptary, gugle, sieraki, kraszanyce i leżą na półkach kądziel i przędza, kłębki wełny barwionej, „bajorki“-sznury różnokolorowe do owijania kapeluszy, kapcie, onucze, kapczury-pończochy, postoły, zimowe czapy futrzane — „kłępanie“ i szłyki, a po kątach stoją toporki z „bartkami“ mosiężnymi, laski-„kełefy“ i stare strzelby, w pisanych zaś skrzyniach — pistolety i inne dobro męskie, bo kobiece — świekra starym zwyczajem przechowuje w beczkach...

Wszystko tu „pisane“ — nadproża, belki pułapu, framugi drzwi i okien, „namisnyki“ każdy statek domowy — bodnie, berbenycie, paskary, bariwoczki i bokłahy, błyżniuki i czerpaki, dijnecie, talerze i łyżki, wycinane i wypalane



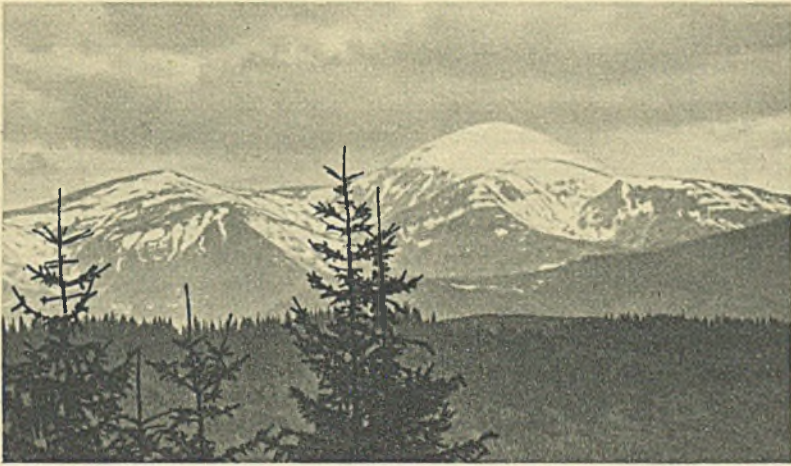
...wnętrze chaty

tak, jak to niegdyś robił Hrymaluk z Riczki i sławny „tokaryk“ — Jur Szkryblak z Jaworowa, ten największy artysta na Wierchowinie. Obraznyk świekra pozawieszała starami obrazami a na półce przechowuje trijcie-świeczniki i krzyże, otrzymane przez dziada ojca w darze od Andreja Diaczuka-Derejuka, bo byli pobratymcami i na roboty razem chadzali. Wie o tem wszystkim młodycia, bo starostowie o bogactwie świekra półroku bezmała przekonywali ją samą i rodziców, do uszu im wciąż kładąc, aby wiano córce dali „fajne“ i „dukarów“ godne. O wiano, — to nie jej sprawa — ojcowie-swaty się umawiali, a starosta im ręce chlebem przedzielał,



Z Żabia widać wspaniałe łańcuch Czarnohory

umowę tem przypieczętowując! Nie o wianie myśli w tej chwili „kniahinia“ i uśmiecha się nawet pokryjomu. Marzy o tem, jak zadziwi męża, a jeszcze bardziej świekrę, gdy pokaże, co i jak umie warzyć, a umie wszystko, co znane jest w ich stronach; „rosiwnycię“ z kapusty na mleku makowem z kukurydzianką umie przyrządzać jak żadna inna „czeljedź“; też kapuściane „hołubci“ z kaszą, czosnkiem i słoniną, „banusz“-mamałygę na śmietanie z okrasą, smaženinę wszelaką, „studenec“, kiełbasy, nie wspominając już o kułszy codziennej, pierogach przeróżnych, knyszach, kaszach, dzióbawkach i jajecznicach... A jakie z jej pieca wychodzą chrupiące chleby! Potrafi też wypiekać smakowite „łehkodusznyki“ i „kukuce“... A czyż nawet wymagająca matka-nienia — nie powierzała jej piec świątecznej „paski“ i kołaczy



Howerla w śniegu

pszennych? Wszystko umie młodycia — prząć, tkać, szyć, haftować, przy grzędach chodzić, domowej „marżyny“ krów i owiec doglądać i wieprzki tak wykarmiać, że ledwie ruszać się i dychać mogą. Tak myśląc i uginając się pod ciężarem zabobonów, zwątpień i nadziei, strojów i ozdób, dojeżdża młodycia do chaty ojcowskiej na przedostatni akt tradycyjnego weseliska huculskiego, bo ostatni odbędzie się już w „grazdzie“ mężowskiej, za drewnianą ścianą ogrodzenia, gdzie tkwią kule, niegdyś w niej ugrzęzłe. Teraz, gdy zubożały gazdowskie familje i nie mogą już wysilać się na okazałe wystąpienia, cała ceremonia weselna zabiera jedną tylko dobę, a wszakże — niedawne to jeszcze czasy — kiedy w ucztach i niekończących się obrzędach weselnych upływał cały tydzień nieraz. Czasy te minęły bezpowrotnie i wraz z nimi zanikać poczęły prawdziwe, dawne obyczaje tak dalece, że drużki, śpiewając stare, jeszcze pogańskie zapewne pieśni, przytupują w takt melodji wysokimi obcasami pantofelków lakowych. Ale jak tu pogodzić tę wdzierającą się „kulturę“ z tem,



Biały ślad

że do wieńca panny młodej wkładają cztery zębki czosnku i owoce czarownej kłokuczki, że dotykają kołaczami pleców narzeczonych, przywiązują kołacze do ich rąk, wrzucają pieniądz do obuwia, w którym się bierze ślub, że młodzi patrzą wdał poprzez kołacze, przed odjazdem do cerkwi wróżąc sobie z tego o oczekującej ich doli? O tej doli, o każdym dniu i godzinie życia mówią do Hucuła i Hucułki zwały chmur, obłoki dziwnych kształtów, drzewa pokraczne, sędziwe głązy, mchem utulone, wartki pęd rzek na ostrych zakosach, skały, zaczażone w toni zwarliwej, i głosy — głosy tajemne, dziwne i trwożę rodzące, które dobiegają od puszczy, połonin, grehitów i głębokich wąwozów. Aby „złe“ odpędzić i od „czarnych“ zabezpieczyć się mocy — ileż to znać trzeba zaklęć, odczynów i formuł magicznych! Wiele, wiele innych obyczajów, opartych na prawnym kulcie słońca i ziemi, jak „umykanie“ i wykup dziewczyny, nawołuje do siwej, mocnej przeszłości, tak bardzo obcej dla taniej, tandetnej jednak współczesności... Smutek zakrada się do serca...



Grażda w Żabiu



Chata w Bukowielu

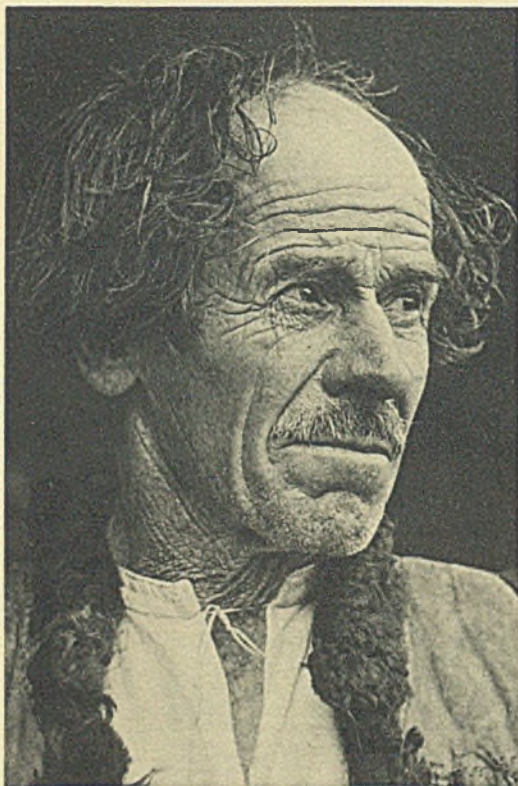
ROZDZIAŁ TRZECI

ŚMIERĆ GAZDY



K. Sichulski: Sieroty

Upalny dzień czerwcowy. Snadź zdaleka sunie przez Żabie smutny korowód. Na czele pop na koniu, a za nim... na saniach, zaprzężonych w woły, — trumna z sześciu desek — „nowa chata“, owinięta ciemnym „liżnykiem“-kocem. Stary Hucuł niesie miskę z „koływem“ — kaszą pszenną ze śliwkami i miodem. Na misce pali się dwanaście świeczek woskowych. Pogrzeb... Ostatnia to włóczęga człowieka wierchowin, ostatnia. Wczoraj



Stary gazda

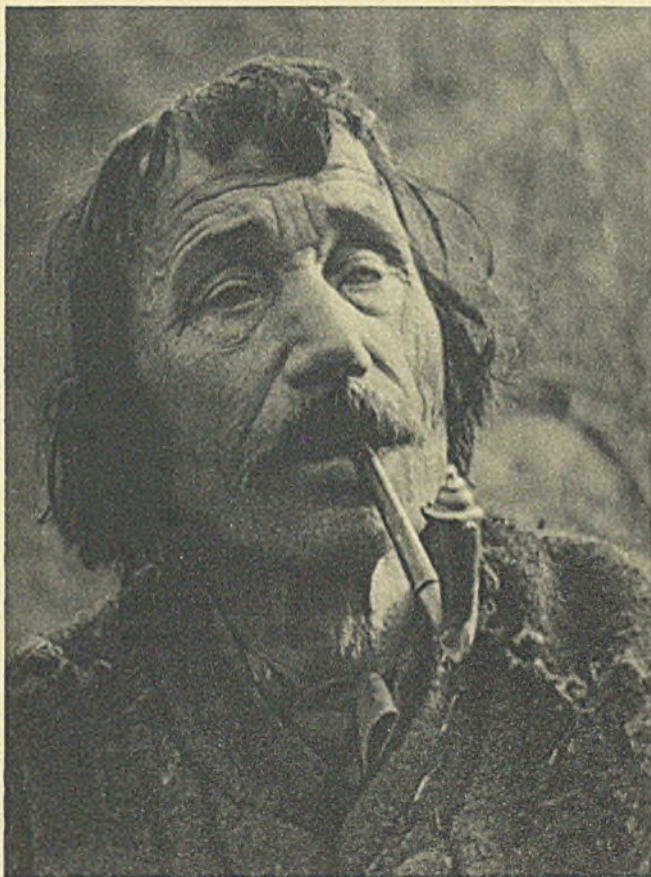
jeszcze rano, powzdychawszy ciężko, stary gazda przez zaciśnięte zęby zamruczał coś niegłośno, a, gdy zaniepokojona gazdynia pochyliła się nad nim, nachmurzył brwi krzaczaste i twardym choć słabym już głosem powiedział:

— Śmierć stoi przy mnie. Czas oporządzić mnie. Posłuchajcie, jaką należy po śmierci mojej i komu rozdać „pomanę“...

Nie zdążył jednak skończyć, bo zasnął nagle i oczy przymknął ciężkimi powiekami, gdyż kleił je począł sen, który niema już końca. Przeżona gazdynia skrzyknęła synów, synowe, wnuki i wnuczki i tych wnuków dzieci. Dziedzia „pokazuje na śmierć“

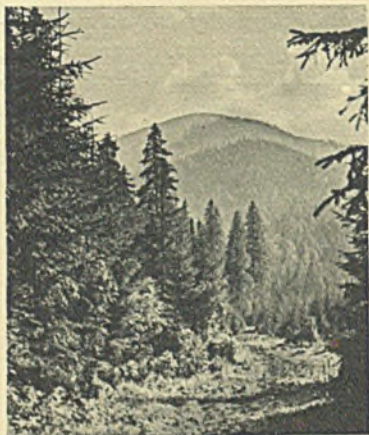
— szepcą strwożone usta po wszystkich zakątkach zagrody — i w obu izbach — „prawacze“ i „liwacze“, i w sieni, i w komorze, gdzie jeszcze przed chwilą kręciło się wrzeciono, w oborze i w koczszarze z owcami; nawet stary „żerwa“ — zły łaciasty pies przestał dzwonić łańcuchem i stanął, nad słuchując i węsząc niespokojnie. Synowie i wnuki podnieśli starca z pościeli, ubrali w nową bieliznę, obmyli mu ręce i nogi i, złożony na ławie koło okna — najbliższego do „obraznyka“, — ogolili. Tuż przy nim postawili świecę woskową i zapalki, aby... wszystko było na czas gotowe. Gazda mocno zawarł powieki, lecz nie śpi jednak. Zapewne słyszałby wszystko i widział, ale w tej ostatniej życia godzinie opadły go nagle

wspomnienia, tak dziwnie żywe i świeże, jakgdyby to, co przepływało przed jego oczami, działo się wczoraj dopiero. Wczoraj? O, nie! Przeżywał to dawno, bardzo dawno... Wszystko widział, wszy-



Cały w przeszłości i wspomnieniach

stkiego spróbował gazda i dotknął własnymi palcami, powyginanemi niby stare korzenie jałowca... Imał się zamłodu różnych zawodów... Ze „skotarami“ latował na połoninach, po borach drzewo spuszczał z urwisk i spychów, a potem w Wiedniu w grenadjerskim



Popadja w Gorganach

„kurbałów“! Począł tratwy-„talby“ klecić, a z nich już daraby — cały spław, bodaj najdłuższy, wiązać... Szybko to robił i dobrze. Jego daraby nie rozbijały się na kamieniach i woda, co najwyższa nawet, nie ciskała ich na ździary i nie rozrywała na zakrętach łozyska. Potem pływał długo, stojąc przy trzecim sterze, aż wreszcie został sam kiermanyczem. Wtedy to zarabiał, ile chciał!... Drogo brał za przepędzenie spławu z Żabia lub Jałowiczory do Kut! Ale też i warto było sypanąć mu zato grosza! Iluż to on Żydów i „Wirmeniów“ wzbogacił przez ten czas?! Szukali go kupcy, gdy daraby stały już na płosach gotowe, nieruchome na płytkiej wodzie. Oglądał wtedy każdą „talbę“, co była niby dzwono płaskiego łańcucha, każdy „łańc“ podciosania huzierów i „rozkrucie“ wiązań. Stery-„kiermy“ stawiał za wsze sam — po trzy na spławie. Każda ich część pewna była i posłuszna — mocna a lekka rękojeść — „drugar“ i „opaczyna“ — łopata długiego wio-

paradował mundurze, prochu na wojence nawąchał się dosyta i, powróciwszy do ojcowskiej chaty, ożenił się raz, drugi i trzeci, bo „czeljeź“ jakoś nie trzymała się watry w jego chacie. Dzieci miał pełną zagrodę — Bóg dał, no, to i trzeba było na nie robić. Nie mógł przecież powiedzieć: „Dity, dity, de was podity? Na picz zapchaty ta jisty ne daty?“ — i czekać aż kułesza sama im do ust wpadnie? Robił więc całą parą szerokich bar i mocnych rąk. Znalazł wreszcie swoje umiłowanie, — Czeremosze oba z ich rwącym wartem, skokami pieniami, podwodnemi skałami i głębią



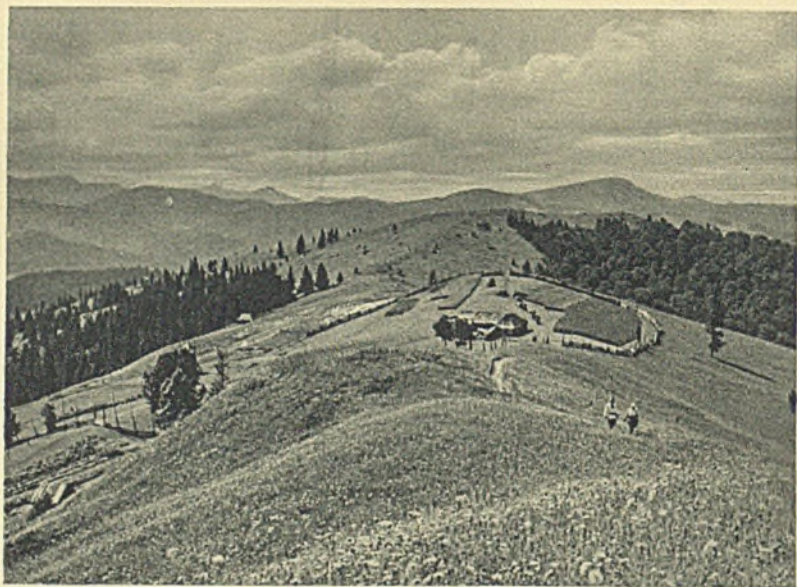
Dolina Prutu

śla, którem oryle huculscy walczą z szałem rzeki, wezbranej gwałtownie. Powiesiwszy na sękatym „socharze“-słupku swoje torby z jedzeniem, bielizną i zapasowemi postołami, wkraczał kiermanycz na pierwszą talbę i siekierą czynił znak krzyża nad spławem, błogosławiąc każde bierwiono i mrucząc modlitwę — zaklęcie, aby bez straty w drzewie i ludziach doprowadzić mógł darabę szczęśliwie. Wiedział on dobrze, że w modlitwie tej nie wolno wspominać Matki Bożej, gdyż jest ona opiekunką dusz topielców, toteż nie wymawiał Jej imienia, o pomoc prosząc najgoręcej św. Mikołaja — patrona ludzi wód. Znał on prócz tej modlitwy jeszcze zaklęcia stare, taliz-



Polonina na stoku Smotrycza

many i zioła, przynoszące szczęście. Skończywszy z modłami i czarami, podnosił rękę i drugar prawej kiermy ujmował w mocne dłonie. Wtedy pomocnicy kiermanycza spuszczały darabę z uwięzi i wypływali na strąd, gdzie pędziła wysoka fala rwącej z kłauzy wody. W pianie mknęły daraby, w bryzgach zimnych, nurzały się w szczyjących, białych strugach wody, przelewającej się pod nogami ludzi, przewalały się po „skokach“, głucho łomotały o niewidzialne w zwarze kamienne zwaliska i ni to wąż wiły się wśród stromych skał. Przed oczami kiermanycza uciekały gdzieś zielone „kujawy“, bory, wioski, cerkiewki i zagrody. Ludzie przyglądali mu się, bo „fajno“ wyglądał ten kiermanycz na darabie, jak nigdy żaden inny

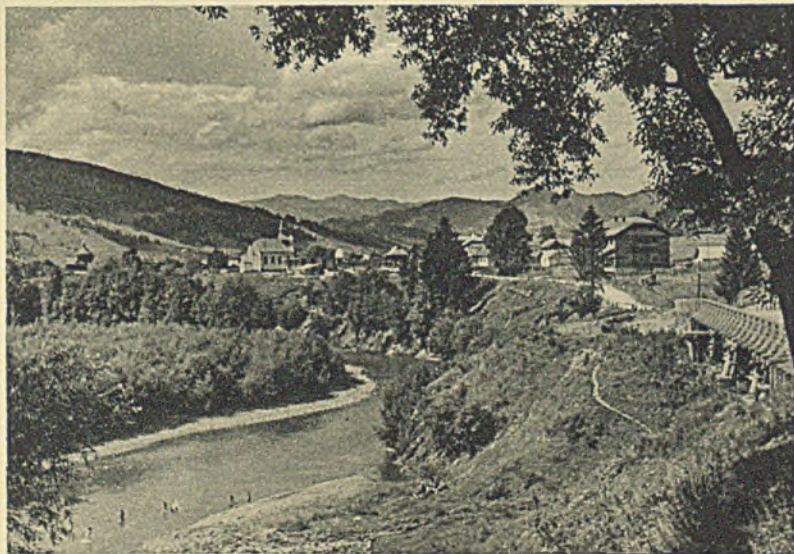


Widok z Makowicy na Beskiły Huculskie

wystrojony, — cały w czerwonej odzieży — od „kraszanic“ i „kapczurów“ do „kraszanieka“-serdaka, kraśny, jak djabeł, w kresani z barwnymi sznurami i piórem — hej, byłoż to życie! Na nic nie baczył wtedy i — ufny w swe siły i zręczność — nie bał się niczego — ani burzliwej „hodyny“, gdy pioruny strącały kamienie z wierzchołów i ścinały wierzchołki drzew, ani gęstej „mraki“, ani zdradliwej „koredy“ — skamieniałego świerka, zawleczonego na głębinię, ani nawet czarta samego! Wszystko wypatrzył, rozumem ogarnął i... ominął każdą przeszkodę, zator lub zawałę. Taki to już był z niego kiermanycz, śmiały i pewny! A potem — bogaty już i poważany — gazdować począł, ba, wójtowską laską się podpierał bodaj przez siedem lat! Dobra w komorze miał po wszystkich skrzyniach, beczkach i skrytkach, „marżynę“ na własnych połoninach wypasał, synom od trzeciej żony do szkoły chodzić nakazał, słowem — żył po-Bożemu i w dostatku... Spodziewał się, że tak do śmierci przetrwa, duży spadek po sobie familji zostawi i dla popa dobrą, godną siebie „pomane“ przekaże. Inaczej jednak rozsądził Bóg, może gniewny zato, że raz w sprzeczcze — druhowi głowę rozplątał?

— Och! — chce westchnąć gazda. — Grzechy nasze, grzechy!... Tak, pogniewał się na mnie Bóg, że aż wojnę zesłał i gdzieś tam w górach italskich Fedka mego i Hryńka zabrał mi... Nie powrócili synkowie!...

Niby „dujawica“ wściekła przemknęła ta wojna po wierchowinie, zniszczyła wszystko, porujnowała ludzi i mienie. Musiał sprzedać stary gazda połoniny i bydło, opróżnić skrzynie, a nawet do habskich dobrać się schowków, gdzie miały dawniejsze „zgardy“ ze złotych monet i wisiorki złote... Jęknął boleśnie i oczy z rozpaczliwym wysiłkiem rozwarł szeroko. Posłyszała to gazdynia i pochyliła się nad nim, coś szepcząc do ucha umierającemu mężowi. Z trudem sunie po piersi pomarszczona, czarna, spracowana ręka gazdy i wolno, mozolnie czyni trzykrotny znak krzyża. Ostatni to był wysiłek na tej ziemi człowieka wysokich połonin, borów ciemnych i piennych kipieli rzecznych. Nagle płaszczyć się zaczyna i wyciągać strudzone jego ciało... Żąda wypoczynku... Starszy syn zapala świecę i zaciska ją między palcami konającego. Zaostrzyły się dziwnie rysy, mocno zwarły się powieki i wargi gazdy. Powoli usypia na zawsze... Nikt nie śmie płakać, bo starzec miałby ciężkie konanie. Cicho szemrzą słowa modlitwy: „Ojcze nasz, któryś jest



Żabie Stupejka

w niebiosach“... Kobiety w pośpiechu wynoszą z izby nasiona i pszczoły, aby wraz z nieboszczykiem nie zamarły. Płomieniem jarzysię świeca, bo dusza lubi światło jak gazda kocha słońce, na które patrzył z grani górskich i w pianie wirów, gdy pędził spław po Czeremoszu. Aniołowie wlatują przez okna i drzwi, bo na oścież już rozwarła je „czeljedź“. Ciało opada coraz więcej, tchnie od niego chłodem i powagą śmierci. Życie nigdy już nie powróci, bo dusza opuściła to ciało, znękanie pracą i długim życiem sterane. Świeca dopaliła się. Koło zmarłego krzątają się mężczyźni, obmywając i ubiera-

jąc go w najlepszą odzież, poczem układają wygodnie na ławie i przykrywają sztuką płótna. W głowach nieboszczyka kobiety stawiają garnuszki z wodą dla obmycia go przed pogrzebem; mężczyźni zapalają przy zwłokach gazdy świece i kładą jego czapkę zimową. Ktoś wywiesił nad oknem ręcznik, na drodze przed wrotami zagrody chłopcy rozkładają ognisko — „welyku watru“ — na znak, że w „posedku“ leży nieboszczyk.

Wkrótce dzwony cerkiewne „oddzwonią“ zgasłe życie górala, a smutne te dźwięki zawrócą duszę jego z tułaczki po znanych jej płajach i bezdrożach i wleci ona do chaty; rozgłośnie i przeciągle



Fryderyk Pautsch:



Pogrzeb huculski

się przed domem, rozmawiają o zmarłym, jego chorobie, sprawach, bydłe, dzielą się wspomnieniami o tem, który był „zechłym“ — prawdziwym Huculem. Przez całą noc trwają te rozmowy, zwykle podczas takiego „posizinja“, które ma na celu rozzerwać stroskaną rodzinę, wyrazić jej współczucie i być przy niej tej nocy, gdy straszy coś w chacie. Na takim zebraniu nocnem młodzież rozpoczyna zabawy w „zajaca“, „szukało — sosokało“, „persteneć“, „oharczyk — skipka“, „młyn“ i inne gry, aby rozweselić towarzystwo i zatrzymać je do przybycia popa. Gdy młodzież zabawia się, starsi spożywają późną kolację, żałobną „komaszną“ w izbie, gdzie leży zmarły.

zawiją trembity, bliskim i dalekim przyjaciółom i krewnym posyłając na wierchy i w niziny smutną wieść. Z połonin, z porębów, z sianokosów i ze ździorów rzecznych, gdzie się klecą tratwy dla spławu, pociągną teraz ludzkie, żeby gazdę do ostatniej odprowadzić „kołyby“, w której spocznie w trumnie o dwóch okienkach, aby mógł patrzeć ze swej „chaty“, jak patrzył za życia. Schodzą się ludziska, modlą przy zmarłym i stawiają przy nim świecę, ten i ów kładzie na pierś nieboszczyka pieniądze. Zdaleka przybywają gazdowie oddać ostatnią sąsiadowi posługę, a po modlitwie gromadzą

Jutro przybędzie pop i, nałożywszy kapę żałobną, wejdzie do chaty, gdzie u każdego węgla leży kołacz z palącą się na nim świeczką — odczyn na czarcią moc Aridnyka, bo zły duch działa najczęściej tam, gdzie leży martwe ciało, a przy niem miota się dusza, w lęku oczekująca wyroku. Następuje krótkie nabożeństwo nad prochami chrześcijanina, który ma za pazuchą... mały kołaczek — dar dla cieniów przodków gazdowskich i pieniądz — zapłatę huculskiemu Charonowi za przewóz na drugi brzeg bytu. Skończone modły, ciało — pokropione, kapłan odchodzi na posiłek, więc zmarłemu gazdzie



W pianie mkną daraby i w bryzgach, ...

właczają czapkę na głowę i wkładają go do trumny, gdzie kobiety wrzuciły już odrobinę cukru, wełny i ziół. Opuszcza się wreszcie wieko domowiny a derewyszczę, poprzedzane przez popa, na barkach synów sunie ku drzwiom. Na chwilę jedną zatrzymuje się, obniża i uderza o próg, prosząc o przebaczenie, że ciężkimi stopami deptał go gazda, rąbał na nim drzewo, wiedząc, że utrudzony jest stary próg, dźwigając na sobie zrąb chaty. Na dworze — nowe modły i pochód rusza na cmentarz. Huczą i drgają tony trembit, zawodzi gaździna, a z nią inne kobiety, głośno sapią Huculi, idący przy trumnie... Przechodząc przez potoki lub rzekę, kondukt się zatrzy-

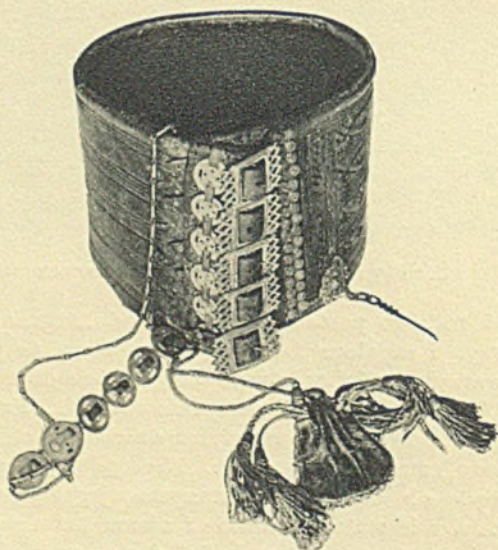
muje, pop odmawia modlitwy, rodzina wrzuca monetę do wody, bo to zmniejsza ilość grzechów i ułatwia przewóz na tamten świat. W cerkwi po nabożeństwie przyłączają się do pogrzebu ludzie z krzyżem i chorągwiemi i niosą gazdę na cmentarz, gdzie nad otwartą raz jeszcze trumną trembitarz odegra ostatnie pożegnanie, a potem ludzie zabiją wieko, opuszczają prochy do dołu, wrzucają tam po trzy monety i trzy grudki rodzimej ziemi kamienistej. Urośnie mały, szary kopiec... Jeszcze kilka starodawnych obrzędów, spożycia „kolywa“ i — cisza zapadnie na cmentarzu. W domu odbędzie się stypa,



...złotą łuską jarzy się wart Czeremoszu

w nocy zaś rodzina postawi na stole pod „obraznykiem“ garnek z wodą, krzyż i zapaloną świecę, parapet okna posypie mąką, aby dusza i towarzyszący jej aniołowie po powrocie do chaty mieli światło, picie i jadło... Gazda odszedł na zawsze... Krewni i znajomi przypomną sobie o nim po czterdziestu dniach na obiedzie tradycyjnym za duszę zmarłego, a potem... Niewiadomo, czy często myślą powracać będą do starego kiermanycza jego gaździna, synowie i wnuki?... Życie stało się ciężkie i niema już czasu ani na długą tęsknotę, ani na częste wspomnienia, chyba podczas „oprowadów“ w przewodnią niedzielę, gdy kobiety rozdadzą żebrakom na cmen-

tarzu chleby, bryndzę i śliwki suszone i poproszą ich o modlitwę za zmarłych... Słońce praży. Jakgdyby promienieją szmaragdowe i granatowe szczyty gór. Złotą łuską jarzy się i lśni warkotliwy zawsze wąż Czeremoszu. Jęczą dzwony... Dobiegają głosy Huculów... Rozmawiają już o wołach i koniach, co ponoć wychudły na „kisłych“ połoninach... O gaździe — ani słowa... Odszedł przecież, przeminął, jak ulewna „płowa“ nad górami, jak mknąca „daraba“ na ostrych załomach wartu... Może za tydzień albo za miesiąc gdzieś dogorywający na wierchowinie stary, ślepy, w kabłąk zgięty Hucul, dawny towarzysz zmarłego kiermanycza, posłyszysz o jego zgonie i, żując coś bezzębnymi szczękami, mrużyć pocznie o „kraśnym watahu“, o tem, jak w przełomie za Jałowiczorą wabiły ich ku sobie „lisne“ dziewczki — ponętne djablice, jak zajrzał im w oczy „didko“ z głębokiego oddechu, a w pianie pod „opaczynami“ sterów wiły się i pluskały blade topielice... Po chwili zapomni o czem mówił i znowu żuć zacznie stary, niewidomy dziad...



Pas-półpancerz huculski



Cerkiew w Żabiu

ROZDZIAŁ CZWARTY

LEGENDA O OŁEKSIE DOBOSZU



Kajel z pieca huculskiego

Coraz trudniej wyjechać z Żabia — Słupejki i Ilci! Wszystko pociąga do tej dawnej siedziby huculskiej, bo na każdym kroku tchnie ona tajemniczą przeszłością. Cerkwie, zbudowane w kształcie krzyża, wewnątrz zaś przechowujące skarby sztuki góralskiej; każdy szczegół budowli — od zrębu i wiązań belek świerkowych na zamek z długimi, wystającymi węglami, od kilkurzędowych dachów, kopuł i krzyży na nich, do nadproży rzeźbionych, i „swoloków“,



Kapliczka

o kien, szczytów, ikonostasów, obrazów, świeczników i każdego sprzętu, z drzewa, żelaza i miedzi sporządzonego, — wszystko to zająć może poczesne miejsce w muzeach najwybredniejszych i tu istotnie powstaje już muzeum huculskie. Osobno stojące dzwonnice przy cerkwiach o półkolistych framugach i spadzistych dachach gontowych; kapliczki, uwieńczone rzeźbioną „Męką Pańską“, krzyże przydrożne i stojące przy cerkwiach z umęczoną bezmiernie figurą Ukrzyżowanego, posążkami Bogarodzicy, apostołów, świętych Pańskich i aniołów; worynie, ciągnące się dokoła „posedków“, koszer i „carynek“, czyli łąk, pozostawionych na sianozęćcie, zielone, łagodne zbocza gór, przecięte ciemnymi pasmami młodego lasu, w zimie — miękkie, faliste kopuły i płaszczyzny śnieżne, nad którymi na widnokręgu wyrasta potężny grzbiet Czarnohory — to zaśnieżony i bijący w oczy blaskiem, co zmusza oczy mrużyć, to granatowy, fioletowy i czarny od borów, na spychy jego wbiegających — takie jest Żabie, stolica huculska!

Stąd to, niby sieć pajęczna, rozpostarły się na wszystkie strony, niezliczone, krzyżujące się ze sobą szlaki turystyczne i te, gdzie narciarze po ponowie tną pierwszy ślad biały! Tam też z tej „kotliny pomiędzy siedmiu górami“ ciągną się płaje starodawne, „płaczki“ i „traspasze“ — wąskie, karkołomne percie owcze. Przez góry, gdzie bory ciemne do samych szczytów, niby fale zielone, doplusnęły zwycięsko, przez lasy bukowe po reglach, przez polany i nawet pomiędzy drobnymi kwadratami pól i ogrodów warzywnych, gdzie kłosi się żyto, jęczmień i zielenią się ziemniaki, — dotrzeć można wszędzie — do pół-



W cerkwi w Krzyworówni



Męka Pańska

nocnych przedgórzy, do połonin południowych i do mniejszych, choć również starych osiedli huculskich, ukrytych w rozłogach i zwojach gór Beskidu. Od wieków postoly Huculów i twarde, jak stal, kopyta ich koni wybiły ścieżki i drogi do Kosmacza, Jaworowa i Riczki, — tych gniazd huculskich, których nic zmienić i zniekształcić nie zdołało, — ani wykryte pokłady ropy naftowej, ani złożyska soli i bijące z gór źródła lecznicze, ani coraz bardziej rozwijający się po chatkach przemysł ludowy, ani zawleczona przez wojska, przewalające się tu na

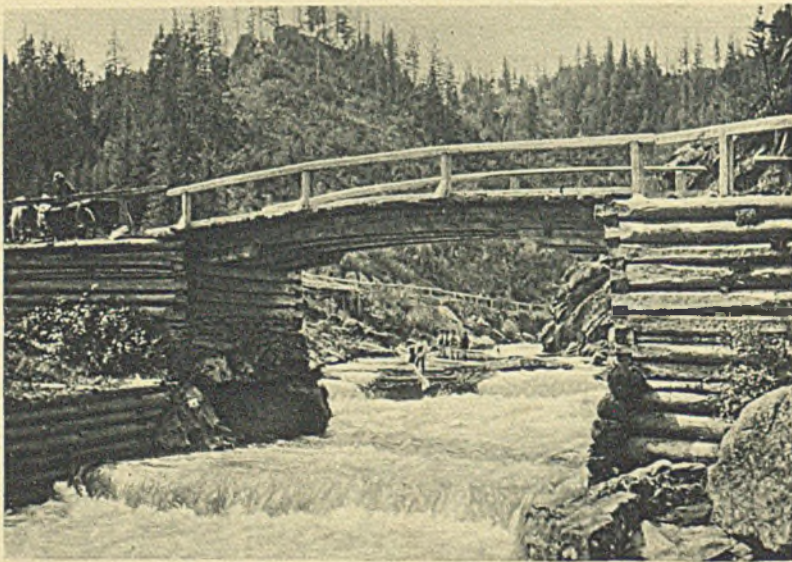
początku ubiegłego wieku, choroba straszna i niszcząca, ani wojna światowa, pozostawiająca po sobie mogiły i krwawy ślad na ziemi tej i w sercu jej ludu, ani nawet... letnicy.

Żabie — gwarne i zatłoczone obcymi przybyszami — w duszy swojej przechowuje zachwyty dla bujnego bohatera gór — Dobosza, bo pamięć o nim żyje na Synyci, w komorach jego imienia i na jego skale, co wystrzeliła ponad bór, jak baszta strażnicza, a, może, jak tron tego władcy marzeń i dum góralskich. Tam minęły najlepsze lata huculskiego Rinaldniego. W Kosmaczu, leżącym w kotlinie, osłoniętej zboczami Łysiny, Bukowca, Grunia i Syhłenego, żyje nieśmiertelna legenda Beskidów i Czarnohory — a raczej ostatni jej rozdział — epilog tragicznego żywota Ołeksy Dobosza. Posłyszano o nim w górach w r. 1740-ym, gdy kogoś tam machnął toporkiem, trzos zabrał i dał nura w ciemne morze puszczy, w one czasy po górach ciągnącej się nieprzerwanem pasmem. Głośno było o nim, a to, co mówiono, budziło niepokój, nie-



Malowidło cerkiewne

jasną tęsknotę za minioną przeszłością wielkiej, złotej wolności gazdów i łeginiów, gdy to wyprawy zuchwałe czynili, spadając jak orły na wsie wołoskie i węgierskie, Turczynowi łuną w oczy świecąc, a nawet i dawniej — gdy wojowali z nieznanymi ludami, a ostrzami toporków dzwoniłi, być może, o hełmy i pancerze, zakonnych kawalerów krzyżackich, którzy w XIII-ym wieku, z rozkazu papieża, pomiędzy Cisą i Maruszą po-swojemu — ogniem i mieczem szerzyli naukę „miłości“ bliźniego. Dobosz, niby czarownik, ożywił te wspomnienia, toteż każde słowo jego rozkazem było dla synów gór, a jego poświst zbójceki — niby wić, wołająca do broni... W Kosmaczu tylko nie miał Ołeksza posłuchu, i to, zda się, dlatego, że nie brał miejscowych łeginiów do swojej watahy zbójcekiej, szydził z nich i pogardliwe rzuczał słowa o... „tritanach“, bo wiadomo przecież, że górale z tej wsi truli swoich wrogów „solą kosmacką“, potajemnie w górach kopaną a zabijającą jadem... arszeniku. Nie lubił Kosmaczan i nie ufał im Ołeksza udały, a wszakże przyszedł do nich. Przyszedł, chociaż niebezpieczna dlań prowadziła tu droga z boru na Klewie. Ludno tu było zawsze, tłoczno, dokoła — wsie i zagrody a nadewszystko — pogwarki i plotki. Jednak przychodził Dobosz do Kosmacza, na niedolę swoją i zgubę przychodził często...



Most drewniany na Prucie



Wiszący most na Czeremoszu

Nie mógł nie przychodzić, bo ciągnęło go tu serce...! Oddawna już krążyły po wsi słuchy, że Paraska, najmłodsza córka skąpego gazdy Dźwińczuka nosi „zgardy“ z prawdziwych dukatów, złote pierścienie z kamieniami, lśniącymi jak gwiazdy, i żółte buty z najlepszego safjanu kuckiego. Zazdrościły jej dziewczuchy bogactwa i nie lubiły jej, gdyż dumna była i na łeginiów kosmackich, choćby najurodzawszych i najbogatszych, zwysoka patrzyła. Jakaś młodycia, pewnego wieczora szukając zbłąkanej owcy, podpatrzyła Paraskę. Krasawica siedziała na żerdziach „woryni“, a gdy od lasu nadleciał świst, pobiegła na łąkę, gdzie rósł stary jawor i szeleściły krzaki hordowiny i bzuwin, białych od kiści jak durman pachnącego kwiecica. Ciekawa młodycia zaczęła się i doczekała, aż przyszedł ktoś bardzo piękny, wysoki i mocny, jak młody świerk rozłożysty. Miał na sobie wysoką czapę w blachach i piórach i czarny sierak, po szwach czerwienią znaczony szeroko. Wieść ta migiem błyskawicy rozbiegła się po wsi i doszła do łeginiów, którzy próżno swatów do hardej Dźwińczuczanki zasyłali. Dwóch z nich zmówiło się „odpędzić wilka, by do cudzego nie zakradał się stada, gdyż własne wilczury ostrzą na nie kły“. Rzucili

się leginie z zasadzki na przechodzącego w pobliżu „wilka” i już toporki nad nim furknęły — gdy on, jak ten wilk, błysnął kłami i uśmiechnąwszy się pogardliwie zapytał:

— Hou! Cóż to durnyje, Ołeksy nie poznaliście?

I więcej ani słowa

nie powiedział, a oni, jak psy przed wilkiem, rozbiegli się, bo wszak z Doboszem ciężka byłaby rozprawa. Długo jeszcze potem na ową „carynkę” kwietną chodził zbójnik rozkochany, bo jak ta „lisna”, co wysysa serce męskie, zaczarowała go, w niewolę wzięła kapryśna, dumna Dźwińczuczanka; przychodził aż do przymrozków, gdy w złocie i szkarłacie stanęły buki i jarzębiny na Klewie, a trawy na łące szcerniały. Pewnego wieczoru Ołeksy nie znalazł Paraski pod jaworem, chociaż obiecał przynieść jej kolczyki zdobyczne i sztukę jedwabiu. Nie wiedział ataman, że od ostatniego pocałunku, którym żegnała go dziewczucha na skraju lasu, zaszyły wypadki, stanowiące o jego losie. Rano, bowiem, gdy krasawica szła do źródła, biegnącego srebrną strugą po „ciurkale,” zastąpił jej drogę jeden z leginiów i, uśmiechając się zjadliwie, szepnął:

— Lepsze są od ciebie dziewczki na wierchowinie, bo twój „lubas” pokochał, słysz, Tymczuczkę spod Jarszycy i Ołenczkę Jakowiczankę z Zielenicy... Nie będziesz teraz taka harda, ty... Rzucił obelżywe słowo, zaśmiał się głośno i poszedł pogwizdując.

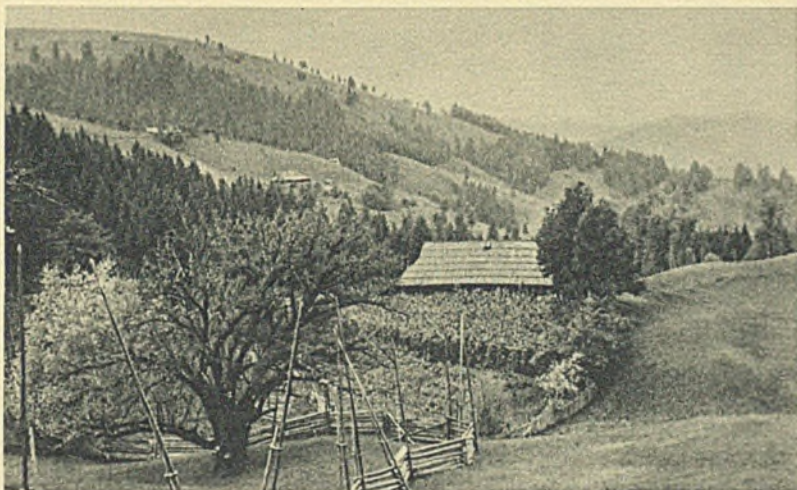
Dziewczyna tegoż dnia tajemnie pojechała do babki, bo powierzyła jej była swoją tajemnicę. Musiała teraz naradzić się z nią i zemstę obmyślić, płazem bowiem zdrady i hańby gazdowska córka puścić nie mogła. Starucha była matką drugiej żony starego Stepana Dźwińczuka, który zrodził z córką jej Paraskę, i nie lubiła Stepana, bo, ożeniwszy się poraz trzeci, nie zwrócił jej wiana. Długo szeptały



Podwórzec grażdý



Worynie



Chata, w której Dobosz miał zabić Diduszkę

do siebie kobiety rzeczy straszne i tajemne, gdy to, niby syk żmij, głośniej padały słowa ponure: „sól kosmacka... pistolet... nóż“... aż wkońcu coś uradziły i — Paraska odjechała, płonąca zemstą, skupiona i skamieniała w nienawiści. Tegoż dnia do obozu Ołeksy w uroczysku na Makowicy przybył jakiś malec — obdarty i niespełna rozumu. Seplenił coś, bryzgał śliną i śmiał się. Z trudem zrozumiał Dobosz, że wzywa go do siebie Paraska i że oczekiwać go będzie w Krzyworówni, u babki Anny... Ołekska długo namyślał się i wahał, gdyż coś szeptało mu: „Nie chodź! nie chodź!“ Po północy dopiero kazał opryszkom przenieść watrę do wąwozu, gdzie biegnie Waratyn wśród puszczy ciemnej, sam zaś poszedł do chaty staruchy. Anna spotkała go przed zagrodą i z płaczem opowiedziała, że Stepan Dźwińczuk bił córkę i groził, że wraz z porbatymem swoim — Moczerniukiem schwytają opryszka i oddadzą go w ręce kata. Widząc, że Dobosz spłonął cały gniewem i rozpaczą, szepnęła jak żmija:

— Pomścij na Stepanie krzywdę swoją, Paraski i moją!

Odnalazł watażka towarzyszy nad Waratynem i, usiadłszy przy ich watrze, długo milczał i przyglądał się każdemu z osobna. Strwożeni wielce stali dokoła Pawło Orfeniuk z Jamnej, Stepan Rabczyk z Zelenej, Iwan Kwieczuk z Porohów, Wasyl Bajurak z Dory, krzywo-

i ojcem, jego wyrzuty, że syn nie łgnie do pracy ciężkiej i jak wreszcie pierwszego dokonał „hołownictwa“, zabiwszy żupnika. Jął wspominać Ołeksę pierwsze rozboje w Małych Łuczkach i Łanczynie, swoje schroniska na wierchowinie, zabitych lub straconych towarzyszy, wroga swego Diduszkę, popadję Orynę z Sapohowa, która zdobyła jego przechowywała i wskazywała mu miejsce dla najpewniejszego napadu, i inną jeszcze popadję — urodziwą i zuchwałą Marusię. O niej sam ataman piosneczkę ułożył: „Zakuwała zazułeńka ta na perełeci, prysiahała diwczynońka ta na pistoleci“... Długo opowiadał Ołeksę, porwany potokiem wspomnień i tak wzruszony, że aż zdziwiło to i zatrwożyło opryszków. Umilki wreszcie i skulony przy wiatrce coś mrucał do siebie, zapewne żalił się komuś, do kogo dążyła w tę noc dusza zbójnicka, która nagle miotać się w nim poczęła, tęsknicą ciemną objęta. O świcie nałożył Ołeksę czarną, łojem i smołą napojoną koszulę, stary keptar i czerwony sierak i, skinąwszy na Orfeniuka i Wasylka Bajuraka, poszedł do Jasienia, gdzie mieszkała żona atamana. Watażka pożegnał ją wkrótce i ruszył przez góry do Jamnej, do siostry i tu zanocewał. Nazajutrz przedostali się do Mikuliczyna a Dobosz wpadł zniemacka do chaty Moczerniuka i ciężkim tasakiem odrąbał mu głowę. Zabrawszy, co pod rękę się na winęło, i podpaliwszy zagrodę poszli w góry. W nocy, gdy wszystko już spało, Dobosz z towarzy-



szami wchodził do Kosmacza. Sierpniowe niebo powlokło się chmurami. Mrok, niby czarna lawina, spełzał ze zboczy gór do kotliny. Odnaleźli jednak ścieżkę, biegnącą do zagrody Dźwińczuka i, podszedłszy pod drzwi chaty, zapukali. Stary Stepan nie odezwał się wcale, baby zaś wpuścić późnych gości nie chciały. Ujadał pies, a jemu odpowiadały inne „kotiuchy“ z sąsiednich chat. Dobosz wyrwał żerdź z worynia i zaczął podważać drzwi.

Wtedy to Dźwińczuk przez szparę strzeilił do niego z pistoletu, nabitego srebrną kulą, bo taka tylko — jak lubasce wyjawiał był Oleksa — mogła go zabić. Nie zabiła jednak, ale zastrzęgła pod łopatką tak gęęboko, że aż mu ramię zwiśło bezwładnie. Wtedy odeszli i, wyszedłszy za wrota, pobiegli do lasu, ale na skraju jego ataman padł i



Opryszek Dobosz
malowidło na desce z w. XVIII-go

kęse stary Dźwińczuk z sąsiadami, a gdy przyjechała z Kołomyi milicja pana Kołędowskiego, który woncez urząd gubernatorski sprawował, konającego już zbójnika odstawiono na sąd. Tam Oleksa, zlany wodą czy też przypieczony, oprzytomniał na krótko i mowę nawet odzyskał, bo powiedział, że nie chce spowiedzi, a na pytanie, gdzie ukrył swoje skarby, uśmiechnął się i syknął przez zęby:

— Na poloninach i w grehitach na Czarnohorze! Bóg wie i ja wiem... Ziemia z tego będzie miała korzyść, — nie ludzie!

Mówiąc to, wargami łapał sznurki od kołnierza koszuli, a, schwytawszy, pozuł truciznę, zaszytą w nich, i — skonał. Co uczyniono z nim na sądzie? Milczą o tem kroniki i archiwa. Zapewne po

podnieść się już nie mógł. Gdy opryszki pochylili się nad leżącym, Dobosz powiedział do nich: — Weźcie pieniądze, pistolety i rusznicę, by moderunki moje we wraźych nie zostały rękach. Spełnili rozkaz druhowie watażki, a potem zaciągnęli go do krzaków i przykryli chróstem. Ledwie jednak odeszli, zwęszył to miejsce pies Stepanowy, jął biegać dokoła, wyć i szczekać. Tu znalazł Oleksa.

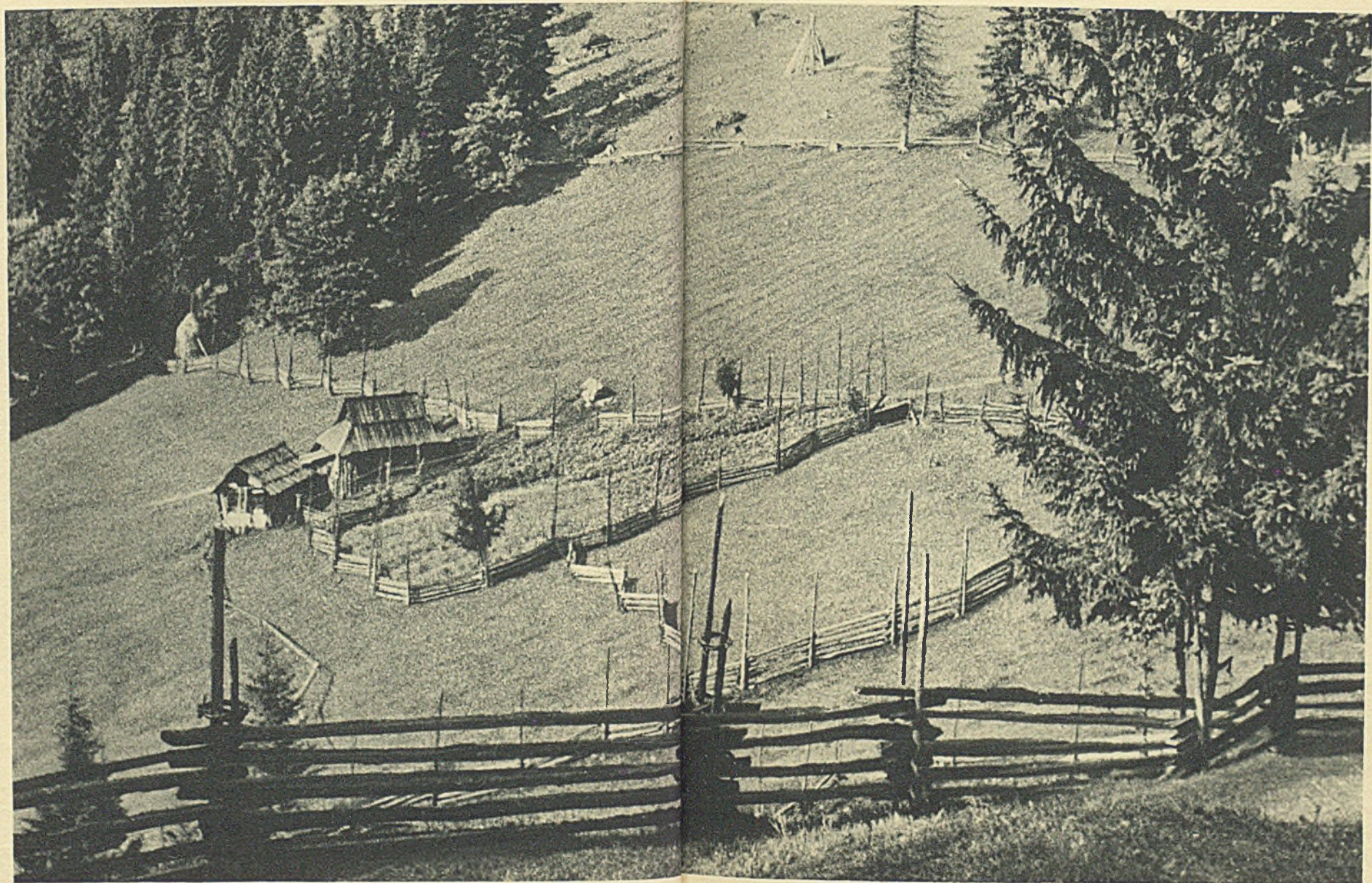
śmierci już, ćwiartowano go i części jego ciała rozesłano po osobliwie zbójeckich wsiach — do Peczeniżyna, Berezowa, Jamnej, Jasienia i Porohów, ludziom złej woli na strach i pouczenie, głowę zaś przywieziono do Żelonej i tam przy drodze wbito na pal. Takie krążyły domysły i, kto wie, może prawdziwe, bo przecież w Żelonej w chacie gazdów Ostaszuków długo, podobno, przechowywano czaszkę Dobosza. Teraz i ona

znikła i pozostały po Doboszu jedynie skały i komory z jego imieniem — i legenda. Pozatem jeszcze podziśdzień przetrwała pycha kosmackich Dźwińczuków, że to dziewucha z ich rodu — harda i władna — nie zechciała z innymi „lubaskami“ dzielić się miłością przesiawnego Ołeksy Dobosza, „pyszego“ atamana zbójeckiego.

Jakie są powody tego uwielbienia Dobosza? Boć przecie przed nim i po nim siali trwogę inni zbójnicy, o ręce bardziej krwawej i dalej sięgających zamiarach? Istotnie byli — i to bardziej groźni a znacznie szczęśliwsi od tragicznego Doubuszczyka. Taki Ihnat Wysoczan — ten, co to miał pod sobą 15 000 zbójów, a w tem sporo Krechowickich, Jażwińskich, Tatomirów, Rokickich, Żółczyńskich, ludzi o nazwiskach szlacheckich, a nawet Ormian, niezmiernie spokojnych i nie wojowniczych; „obronca ludu“ — krwawy Mucha samego króla zatrwożył; pułkownik Toporowski zdobył Kołomyję i Kosów i wojnę



N. Hordyński: Zemsta Dobosza



Osiedle wśród carynek...

...w dolinie Hromitnego

z całą szlachtą halicką podtrzymywał; Kość Komarnicki — Czerleny — mający swe legowisko na Węgrzech; straszny, jednooki Hryń Kardasz, który zajął fortecę Kuropatów; tajemniczy, prawie czarownik, Korzeń-Kniaź za Rurykovicza się podający, wkońcu Bernawski, późniejszy gospodar wołoski i z łaski króla polskiego — szlachcic; wreszcie rozbójnicza, zaściankowa szlachta ruska z Berezoza, — czyż oni wszyscy, grasujący w czasach, zanim przyszedł na świat chromonogi Ołeksa, nie zasłużyli na miejsce w legendzie? Tymczasem jakgdyby nikt na wierchowinie nic o nich nie słyszał!



Owce pasą się po „zaharach“

Ledwie ten i ów ze starych Huculów w Peczeniżynie, Rungurze, Riczce, Żabiu i Zelenem przypomni sobie, że kiedyś tam dawno zmarły dziad opowiadał coś, że po śmierci Ołeksy „chadzali w opryszkach“ Wasyl Bajurak — ten, co to szedł na szubienicę, wygrywając na fujarce smętną melodję góralską; Dirczyluk i Moszczuk z Żabia; Pistoletnik, Hołowczuk, śpiewak słodkogłosy — Dmytro Ponymatek, bogacz Ilko Moczerniuk Worochteński, szalony Procio Tumeniuk — Saprajczuk, który robił napady nietylko na kupców wołoskich, ale nawet do Węgier i Turcji wpadał zuchwale; sławny Mychajło Klam Sztola, od niejednego opryszka groźniejsza Paraska Łuceńkowa, setki innych zbójników, zbrodniczych popów, ręce we krwi nurzających, i popadij, kochających się na zabój w kraśnych watażkach. Niejeden



U okienka obórki

z nich doszedł do znacznego bogactwa, piastował godność wójtowską i zmarł spokojnie w swojej graździe gazdowskiej, otoczony szacunkiem, dumą sąsiadów i potomków, bo zbójnictwo w pojęciu Hucuła jest godnem męża rzemiosłem.

A jednak, mimo wszystko, na Wierchowie, od ostatnich uskoków Beskidów zielonych do połonin, gdzie oko juhasów sięga ponoć Alp Transylwańskich, trwa wiecznie żywa i świeża legenda o Doboszu i ta pieśń o nim, której pominąć nie miał serca bogobojny ksiądz Sofron Witwicki w swem „Rysie historycznym o Hucułach“, wydanym w r. 1873:

— Hej, chłopci młodci, nuż w ruki

toporcil jak swysnu — zbihnit sia wsi! Rozłożyt'-no watru, zahrajte w trembitu, horilki nalejte myni.

Czemże zdobył Dobosz serca i pamięć gazdów, watahów i juhasów, młodych wabiących, dziewczuch roześmianych i starych wiedźm na przypiecku, sykmanyczów po lasach i orylów na załomach Czeremoszów, wyglądających mielizn i progów zdradliwych? Dobosz, sławny Ołeksza, jakim tworzy go legenda, był wcieleniem wszystkich dum i umiłowań ludu, rozumiał pogwar puszczy, wycie wichru i łomot „hodyny“ po połoninach, pił życia czar, niby z „ciurkała“ wodę źródlaną; złoto, zdobyte krwią na radość przetapiał; stał się „gazdą Wierchowiny“ — od kresu jej i do kresu i ziemi jej powierzył skarby nieprzeliczone, aby je oddała temu, kto tak wykocha Czarnohorę, jak umiłowało jego serce ostatnią w życiu lubaskę — hardą i mściwą. Dla przyjaciół wierny i szczerzy, dla wrogów —



Wśród wiernych przyjaciół

straszny, niechciwy i nieskapy, za dobro dobrem płacący, ba! pewnej szlachciance nawet, gdy zdrożonego we dworze ugościła, czerwony dukat do ręki wcisnęła, a widząc, że ciężarna chodzi, przepowiedział jej, że powije syna, radząc, aby na chrzcie świętym imię Ołeksy mu dała. I syn ten przyszedł na świat... poeta nasz Karpiński! Za ledwie pięć, pięć krótkich, a zbrodniczych lat grasował watażka beskidzki i wielkich czynów nie dokonawszy, został bohaterem tych gór. Wyobraźnię miał Dobosz — potężną i piękno rozumiał we wszystkim — w pieśni i w słowie mocnym czy rzewnym, w pysznej odzieży i w broni wspaniałej, w promieniach słońca, w smugach mgławic gęstych, w połysku śniegu, w cieniach, sunących po puszczy, w srebrnych wstęgach rzek i nawet — w hardej, samotnej śmierci, gdy już stanęła przy nim, by utulić niezmierzoną tęsknotę duszy jego, szarpanej nieustannem miotaniem, i ukoić serce płomienne, w którym duch rodzimych gór rozpałił wielką watrę, niegasnącą aż do zgonu. Zato właśnie ludzie wierchowin upamiętnili go legendą, co dwieście już przetrwała lat i nie umrze, aż Hucuł nie jęknie w rozpacz:

Hej, ware, łeginy,
Pryjde pohybaty!...

Oj dywit si lude dobri

*Jakyj ja,
jakyj ja*



Oj zahrajze my muzyka

*Teji kolo-
myjki:*

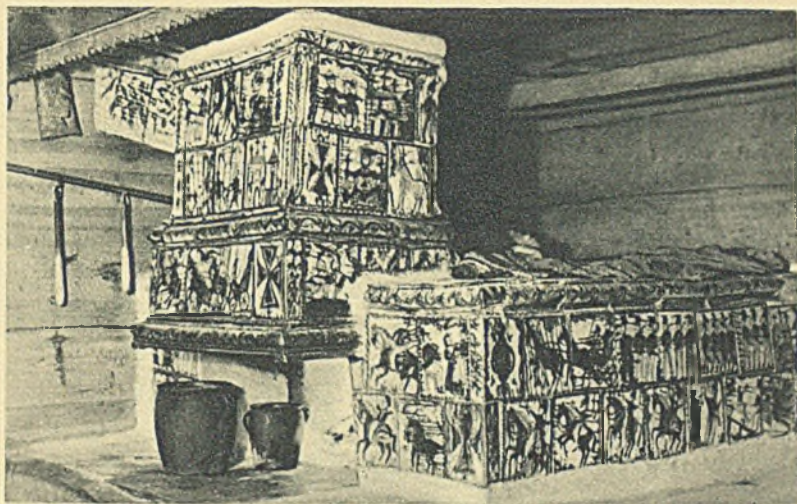
*Wid nedili
do nedili*

Pjanuj ja, pjanuj ja.

*Naj ja sobi
pohulaju*

Z weczera do dnyunki.

Malowidlo na kafli



Bogaty w rysunku i barwach piec kaflowy

ROZDZIAŁ PIĄTY

SZTUKA HUCULSKA



*IV wyszywanym
keptarze*

W duszy Huculsczyny dawne nie umarły jeszcze echa, choć sędziwsze są niezrównanie od zbójnickiej karjery Dobosza. Odzywają się one w lecie i w zimie, ale różnie odpowiada im dusza huculska. W lecie — wrażliwa na daleki poszept bujnych, wolnych czasów — tęsknotę za niemi rozprasza i koi w podniecającej, nieraz burzliwej nawet pracy na połoninach lub na darabach, unoszonych szalonym wartem rzek, w zimie zato, gdy z ostatnimi promieniami słońca mrok natychmiast wypęta z ciemnej kniei puszczy i rozlogami gór stacza się w kotliny, ta tę-

sknota niewypowiedziana innego żąda oddźwięku — wspomnień, marzeń, podświadomych odruchów duszy. Sąsiad-Rusin śpiewać pocznie w takiej chwili, aby zagłuszyć „dokuczne“ wspominki, jakgdyby wyrzuty sumienia, to znów niby głosy nieznanne, judzące. Hucul



Polak Kowalski stworzył ceramikę pokucką

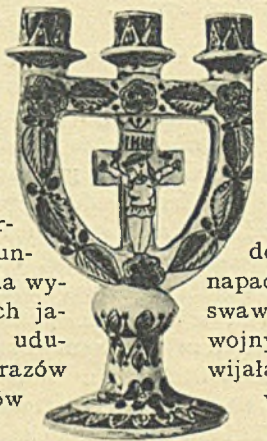
śpiewa niekiedy, lecz przy obrzędach najczęściej lub na zabawie. Śpiewać dla samego siebie, grać na skrzypcach lub na cymbałach w samotności — nie umie i nie sprawia mu to przyjemności. To też Huculszczyzna nie miała nigdy sławnych grajków, jak owi teorbanieści ukraińscy — hetman Mazepa, a w czasach nowszych — Widortowie. Hucul zatem w pieśni samotnej lub muzyce nie szuka pociechy i ukojenia. Zagra on chyba na fujarce i to — na połoninie, przy wiatrce, lub w drodze dalekiej, zadmie w trembitę na płaju, aby oznajmić całemu światu, że żyje, raduje się lub tęskni, a wtedy uczyni to tak, aby góry i puszcze głośnym odpowiedziały



„Kolacz“ na wódkę

mu echem: „Hau — słyszy-y-y-my!“ Dusza jednak ludzka żąda wyrażenia swych uczuć w jakiejkolwiek formie i z tej to potrzeby bije źródło każdej sztuki — od najbardziej pierwotnych rysunków, ostrzem kamienia wydrapanych na ścianach jaskiń, do najbardziej uduchowionych rzeźb, obrazów i natchnionych utworów poetyckich. Obudzona

w tym kierunku dusza przechodzi szybko od zmysłowych wrażeń do zamknięcia ich w formie, jeszcze głębiej działającej na zmysły. Niewiadomo, kiedy Huculi po raz pierwszy poczuli potrzebę cieszenia swego wzroku i dusz sztuką — najprostszą narażenie — wycinaniem jakiegoś obrazu na desce jaworowej lub wypalaniem coraz to zawilższych rysunków na wyrobach łyżkarskich i bednarskich, czem do dziś poszczycić się mogą Kosmacz i Riczka, gdzie z rąk Iwana Hrymałuka i innych majstrów wyszło



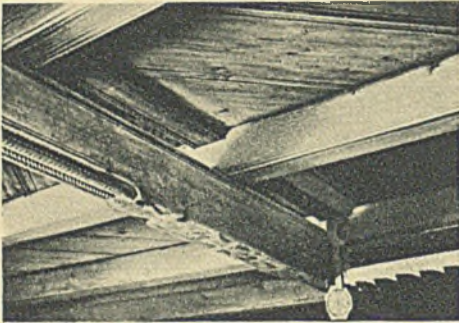
„Trójca“ — wyrób pistyński

mnóstwo pięknych „bokłahów, bariwoczek, berbenyc“, czerpaków, dwojaków do soli, „wypisanych“ sztancami, wypalającymi bogaty i artystycznie skomponowany ornament. Potrzeba zdobienia nie tylko przedmiotów codziennego użytku, ale nawet ścian, belek i desek na pułapie, nadproży, półek, drzwi, okiennic, bram i furtek — obudziła się na Huculsczyźnie zapewne bardzo wcześnie, chociaż najdawniejsze okazy ich sztuki nie zachowały się wcale,

a to z tego powodu, że materialem ich było drewno, tak łatwo ulegające gniciu i zniszczeniu przez ogień, który na Huculsczyźnie szalał zbyt często i do tego z niezwykłą siłą. Żeby to zrozumieć, dość przypomnieć sobie napady opryszków i wojsk swawolnych, akty zemsty i wojny. Sztuka jednak rozwijała się niepowstrzymanie, wyrażając się w coraz to wyższej i estetyczniejszej formie. Dosko-



„Pleskanka“

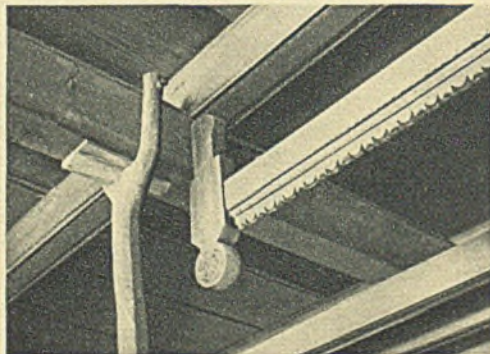


Strop huculskiej chaty podpierają...

we dla lekkiej ręki Hucuła, nie utrudzonego mozolną pracą przy pługu, rozwinęło się prawie wyłącznie w gęściej zaludnionej części Beskidu Huculskiego, a więc tam, gdzie pod naciskiem wypadków powstało chociaż luźniejsze, niż w jakiegokolwiek innej miejscowości Polski, w każdym jednak razie życie gromadne, a więc tam, gdzie potworzyły się większe skupienia ludzkie, pojawił się stały popyt w nich i — rynek. Ogniskami stosowanej sztuki huculskiej stały się Jaworów, Riczka, Krzyworównia, Żabie, w mniejszym stopniu — Brustury i Prokurawa. Dokoła tych wsi na łagodnych zboczach gór zielenią się kwiciste łąki; w okolicach Jaworowa, w paśmie Ihrca z jego największym szczytem Czarnym Gruniem, ciemnieją bory z wesołymi plamami drzew liściastych. W okolicach Riczki, chociaż przedsiębiorcy Żydzi w pień wycięli lasy bukowe, drzewem tem zamierzając zwalczyć węgiel kamienny, jako coraz bardziej rozpowszechniający się i niepożądany dla nich materiał opałowy, — zielono i słonecznie! Z płaskich szczytów pobliskich wzrok poi się piękną panoramą grzbietów lesistych, szafirowych wąwozów głębokich i biegnących na ich dnie srebrnych wartów rzek. W tych to wsiach znajduje się ośrodek ludowej sztuki hu-

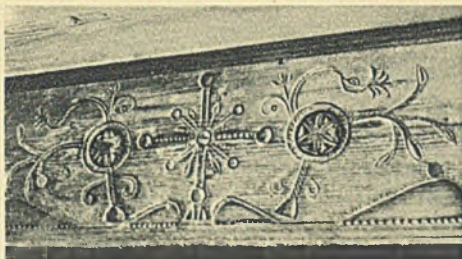
nali się więc i urozmaica rzeźbienie i inkrustowanie różnych przedmiotów, zdobienie odzieży, broni, siodeł, a nawet upiększanie takich przedmiotów, jak radło pług i jarzmo wołów, jak drzewce kosy, wrzeciono i kołowrotek. Rozwija się technika snycerstwa, moździerstwa, ceramiki i haftu.

Rzeźba w drzewie i jej dalsze doskonalenie, możli-



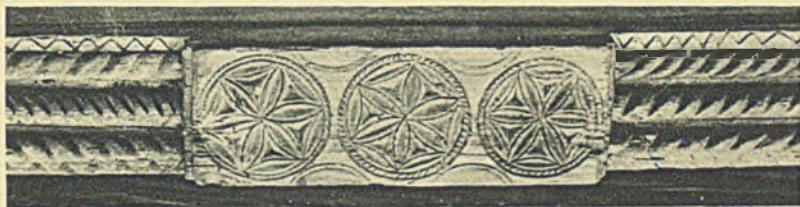
...skrzyżowania rzezanych belek...

culskiej. Powstał on dokola chat wielkich mistrzów z łaski Bożej. W Jaworowie rozpoczął bowiem swoją artystyczną działalność sławny „stocznik” — artysta — zmarły już snycerz Jur Szkryblak, który pozostawił po sobie pamiątki w muzeach, w zbiorach prywatnych i w ozdobach cerkwi jaworowskiej. Jur pierwszy porzucił pierwotne, niedoskonałe narzędzia rzeźbiarskie, jak kozik i „szkibła”, i zastosował tokarkę. Wytoczone przedmioty rzeźbił później lub wykładał kawałkami drzewa innej barwy albo metalem. Jako rzeźbiarz cerkiewny, słynął w Krzy-



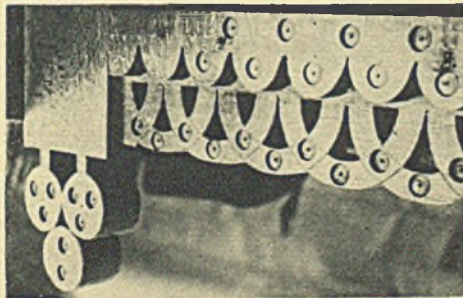
...odzwia kryje snycerski rysunek,...

...odwieczne motywy zdobnicze widnieją na sosrębie —...



...odwieczne motywy zdobnicze widnieją na sosrębie —...

worówni Andrij Diaczuk-Derejuk, a rzeźbione przezeń trójramienne świeczniki i krzyże można oglądać po cerkwiach huculskich. Jednakże co do wytworności kompozycji, harmonji i barwy rysunku na pierwszym miejscu stoi syn Jura — Wasyl, a jego wyroby, jak talerze obrzędowe, świeczniki kościelne z jaworu, inkrustowanego cisem, gruszką mosiądzem, pastorał metropolity i inne arcydzieła nie mają sobie nic równego. Do współzawodnictwa z Wasylem Szkryblakiem i jego braćmi wystąpił w Riczce Mehedeniuk, który swych wyrobów nie ozdobił rzeźbą,

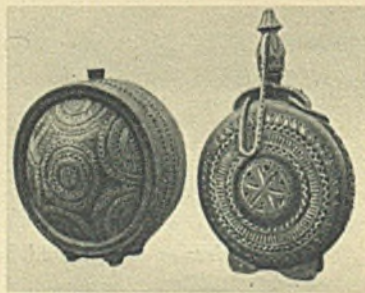


...technika rzeźby jest wszechstronna



Barwne obrazy na szkle...

lecz ornamentem z różnobarwnych paciorków. Szyncerstwo ozdobne i mosiężnictwo w dalszym ciągu najintensywniej rozwija się w Jaworowie, gdzie istnieje szereg warsztatów, opartych na tradycji, przechowanej w kilku rodzajach huculskich. Gdzieś po chatach „czeleż“ tka „liżnyki“ i „kowerce“ — puszyste koce wełniane o doskonale dobranych barwach, kożusznicy szyją zdobne keptary, a artyści-rymarze, wyrabiają „taszki“, „tabiwiki“, rzemienie, pasy, siodła i inne przedmioty ze skóry, zdobionej metalem, paciorkami lub wytłaczanym rysunkiem. W Jaworowie, Riczce, Brusturach, Krzyworówni, Żabiu, Jasienowie liczni szyncerze i mosiężnicy wyrabiają toporki, laski-kelefy, fajki, krzyże, igielniki, zgardy — z miedzi i brązu, pięknie cyzelowane, a nieraz, szczególnie w zastosowaniu do pierścionków, kolczyków i innych ozdób kobiecych, „napuszczane“ emalją. W niektórych przedmiotach z drzewa rzeźbionego widać wyraźny wpływ baroku cerkiewnego, w innych znów — wpływy włoskie i dalmatyńskie. Sztuka huculska we wszystkich swych przejawach pozostaje jeszcze mało zbadaną, więc na miejscu tu będzie zwrócić uwagę na pewną ciekawą postać, która mogła w w. XVII wywrzeć wpływ na zamilowanie Huculów do rzeźby artystycznej, chociażby miało się ono objawić jako naśladownictwo. Oto Krasicy we włościach swoich przemyskich mieli wielkiego mistrza-rzeźbiarza, chociaż w aktach figuruje on bez na-

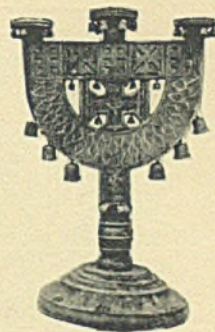


..., „boklah“ i „czutura“...

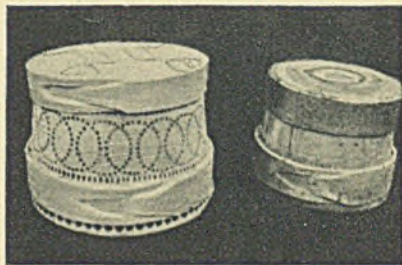


...zdobne baryłki...

zwiska. Był to jakiś „Janko“, którego Krasicczy pożyczyli znakomitym sąsiadom. Ów zagadkowy mistrz rzeźbił w drzewie, rogu i metalu, zdołał pałace i świątynie, więc mógł sztukę swoją zaszcześcić na halickiej ziemi, skąd przeszłaby ona i na Pokucie. — W głównych motywach ornamentyka huculska nie odbiega od zasadniczych wzorów słowiańskich, jakie wykryto na przedmiotach z wykopalisk w przedhistorycznej osadzie słowiańskiej w Opolu. To samo zauważyć da się co do kształtu i rysunków na kolczykach i pierścieniach, jak też toporków-czekanów i harpuna, który nad Czeremoszem przechował pierwotną formę tego narzędzia rybackiego i w razie potrzeby — straszliwej broni przeciwko napastnikowi. Nieskończoną, zda się, jest pomysłowość huculskich



...misterna „trijcia“...



...,pisane“ paskiwynki...

mistrzów w wykorzystaniu pierwowzorów słowiańskich lub przemyczonych tu z zachodu i wschodu, a jednak we wszystkich prawie daje się wykryć moment emocjonalny i przede wszystkim wspólny zapewne różnym ludom pasterskim i myśliwskim, co, być może, pozostało w ich duszach po wojowniczych pra-przodkach — Dakach. Moment ten wyczuć można w tradycyjnym drzewku

życia, wazonie, z którego łono wyrasta, w ptaszkach, lwach, węzłach, w słońcu, w magicznej siódemce — sześciopromiennej rozetce z wypukłym ośrodkiem, odpowiadającym siódmemu promieniowi, — motywy znowu sprzed kilku tysięcy lat przed naszą erą; wreszcie emocje religijne — szukanie i uznanie Boga, a więc znowu słońce w różnych kształtach — od swastyki — do kwiatka, orzeł i nakończone — krzyż bizantyński, tak bardzo zresztą podobny do uproszczonej, stylizowanej jodły, i drugi — szeroki, krótki, znany rzeźbiarzom Babilonu, Asyrii i Egiptu. Nawet w barwach, używanych przez тка-



...i także mosiężne „bartki“ — wytwór sztuki huculskiej...



...jak i barwne wyszycia...

czy huculskich, występuje moment emocjonalny — dążenie i tęsknota do słońca i złota, w barwie czerwonej i żółtej, wyrażających nieśmiertelny łańcuch bytu. „Borszcz, czyli czerwień, i chlib” — widzą Huculi w pobudkach życiowych, a stąd przechodzą do następnej formuły: „krew i złoto”, bo przez krew odradza się człowiek w młodem potomstwie, na wojnie zaś zdobywa złoto, kolorem zbliżone do chleba huculskiego — kukurydzy, o ziarnach, dających obfity plon. Inne barwy, skojarzone zawsze ze zjawiskami przyrody, używane tu są również, bo przecież piękna tęcza — „wesełycia” pokazuje pełną gamę barw czerwonej, żółtej, niebieskiej i fioletowej — krwi, ognia, chleba, złota, nieba i — tęsknoty. Barwa żółta uosabia twórczą siłę słońca — boga, chleb i bogactwo; zielona — poryw, marzenia, nadzieje młodości, czerwona — męskość, krew, ogień, miłość i związaną z nią nieśmiertelność w następnych pokoleniach; niebieska — oznacza przestrzeń wdał, wzwyż i wgiąb, a więc tajemnicę niezbadaną nieba, otchłanie wód i dum człowieczych; fioletowa barwa — to wiek dojrzały, to dzień dogasający, to — mgiełka, w której skradają się już czarni gońcy nocy i... śmierci.

Hucul, przez nikogo nie nauczony, w głębi duszy wrażliwy na otaczające go piękno, grozę lub smutek rodzimej natury, posłyszał te echa dawnych emocyj, wspólnych wszystkim ludom. Szukali

czy huculskich, występuje moment emocjonalny — dążenie i tęsknota do słońca i złota, w barwie czerwonej i żółtej, wyrażających nieśmiertelny łańcuch bytu. „Borszcz, czyli czerwień, i chlib” — widzą Huculi w pobudkach życiowych, a stąd przechodzą do następnej formuły: „krew i złoto”, bo przez krew odradza się człowiek w młodem potomstwie, na wojnie zaś zdobywa złoto, kolorem zbliżone do chleba huculskiego — kukurydzy, o ziarnach, dających obfity plon. Inne barwy, skojarzone zawsze ze zjawiskami przyrody, używane tu są również, bo przecież piękna tęcza — „wesełycia” pokazuje pełną gamę barw czerwonej, żółtej, niebieskiej i fioletowej —



...wzorzyste kołnierza i rękawów koszuli

tkacze huculscy barwników w roślinach i ziemi. Burak, „żowtyło“, „zanowit“ i „łyść“, różne gliny, węgiel, sadza i inne źródła naturalne dostarczały tkaczom czystych i trwałych farb. Malarstwo jednak nie rozkwitło na Huculszczyźnie. Obrazy na szkłe przywędrowały tu — zdaje się — z Bukowiny, a może nawet od Słowian południowych, zapewne nawet nie bezpośrednio, tylko przez Kijów, jak to miało miejsce w Rosji środkowej i północnej a także na Ukrainie zadnieprzańskiej. Malowidła na drzewie — nieraz stare bardzo — zdradzają wpływ, jeżeli nie bezpośredni nawet udział malarzy pieczerskich i atoskich, gdyż ich dostawą trudnił się zapewne skit Maniawski, z Atosem i Ławrą kijowską związany ściśle.

Wszystko, co wytwarza sztuka huculska, jest niezmiernie estetyczne, głęboko pomyślane i co najcenniejsze — posiada styl swoisty. W nim zamknął Hucuł dumy swoje, marzenia i uczucia, swoją krew, słońce, drzewa i rośliny piękne i czarowne, złocisty i płodny owoc kukurydzy — karmicielki. Jakżeż wielka i niepowetowana byłaby strata, gdyby zanikła sztuka huculska lub się zniekształciła a w treści swej i poziomie chylić się poczęła ku upadkowi! Niestety, zjawily się już pierwsze tego zwiastuny — nieuczciwe pośrednictwo, konkurencyjne, tandetne wyroby żydowskie i złe materiały, dostarczane przez nich chałupnikom, wreszcie narzucenie Hucułom — obcego im kilimkarstwa.

Niebezpieczeństwo to postanowiło usunąć Towarzystwo Przyjaciół Huculszczyzny — organizacja poważna, nie rozpraszająca się na rzeczy błahe, drugorzędne i nie porywająca się na projekty niewykonalne, co gaszą ducha i budzą zwiątpienie. Walkę o czyistość sztuki huculskiej w terenie powierzono najlepszym znawcom i szczerym miłośnikom tego kraju i ludu. Dom jednego z takich patronów Huculszczyzny pułkownika Norberta Okołowicza poznać można po tem, że wszystko tam jest zbudowane, urządzone i ozdobione według najsurowszych tradycji regionalnych. Ciągły tam ruch Hucułów: jedni przynoszą rzeźby i „pisane“ wypalankami naczynia bednarskie, drudzy — wyroby mosiężne i żelazne, inni dźwigają liźnyki barwne i szerokie „kowerce“, aby wysłano je na sprzedaż do muzeów i zbiorów osób prywatnych; stąd dostają dobrą wełnę, farby do barwienia przędzy, narzędzia rzeźbiarskie i snycerskie, drut, blachę i paciorki do wykładanek, do „żyrowania“ i „wpuskania“ w drzewo, różne zapasowe części krosen, tokarek i metal do odlewów, aby skrzynie, baryłki, berbenycie, rakwy, bokłahy, siodła, bartki toporków, kełefy, krzyże, łańcuchy, kolczyki, pierścionki „pysane“ były

„mudriszcze“ — piękniej i jeszcze bardziej wymyślnie, by liźnyki były świeżością trwałych barw jakby wziętych z nieskalanej palety tęczy.

Piękne rzeczy wiszą na ścianach kłeci i komory w tej „chacie“, wiele tam dobra stoi na podłodze, leży na półkach i skrzyniach! Wszystko — wyborowe, prawdziwie huculskie, mogące zdobić szlachetnie wnętrze każdego domu lub odpowiadające swemu przeznaczeniu — podniesienia powabu kobiety i powagi gazdy. O tem mówią z cienkiego lnu i dobrej skóry zrobione i niefałszowaną wełną haftowane — koszule, keptary, gule i serdaki, starannie tkane zapaski, różne wymyślne wstawki w „proszytych, sznurowych, chrestykich, pletinkach, cyrkach“ i inne ścięgi; tabiwki, noże, fajki, laski i toporki, pistolety staroświeckie, noszone obecnie w rzadkich tylko okazjach, jak też szerokie rzemienie z prochownicami i taszkami, krytymi mosiężną blachą lub nabijanymi błyszczącymi gwoździakami. Zresztą te części wojowniczego stroju huculskiego od dziada przechodzą do wnuka, jako najdroższa pamiątka w fioletową mgłę odchodzącej przeszłości i jako oznaka gazdowskiego rodu. Zgromadzono tam też wyroby garncarskie — naczynia o malowaniu zielonem i złotem, kafle do pieców i lichtarze, ale te przedmioty, chociaż nieraz bardzo starannie i artystycznie wykonane, przywożą tu z podgórze — z Kosowa i Pistynia, gdzie powstał przemysł ceramiczny, importowany tu z głębi Polski i z rdzenną Huculszczyzną nie związany organicznie, gdyż wymaga techniki — malarzkiej — z nieznanymi powodów zupełnie obcej duchowi i twórczości tego kraju.

Garncarstwo, szczególnie zdobnictwo garncarskie, stały się przedmiotem gruntownych badań i dociekań. Istotnie przygodny nawet turysta-laik staje w zdumieniu przed bogactwem ornamentacji. Próżnoby szukać na Pokuciu dwu kafli, jednakowo „pisanych“! Znane tu są imiona ceramików znamienitych: Kowalski, Baranowski, Bachmiński, Koszak, Tymiak... Jak wogóle w sztuce ludowej, nie znoszą oni pustych płaszczyzn tła i zapełniają je rysunkiem lub ornamentem, rozplanowanym z głębokim poczuciem umiaru, zrozumieniem architektoniki zdobionego przedmiotu, artystycznym smakiem i uległością prawom estetyki. Gwiazdy, koła, trójkąty, kwadraty, romby, krzyże, kłosa, koniki, rozety z aureolą wokół, kwiaty w doniczkach, bukiety, liście, pięknie ułożone łodygi roślin, jelenie, kozły, ptaki, na kaflach zaś — powozy, myśliwi, wojskowi, jeźdźcy, gajowi, bibosze... ale! nikt nie wyliczy wszystkiego, co zdobi garncarskie wyroby majstrów pokuckich, którzy ostrym rylcem stalowym — snują cienkie, koronkowe kontury wizji rysunkowej. Poczęści z na-



Dzban „baran“

pokuckiej ceramiki do sztuki huculskiej jest nieporozumieniem i nieścisłością. Gromadka polskich garncarzy godnie reprezentuje kulturę pochodzenia swego na południowo-wschodnich rubieżach Polski, boć za zębienie się wpływów wschodu i południa z zachodem w dziedzinie domowych przemysłów nie obywa się bez jej współdziałania —

kućkie nosi jednak na sobie ślady wpływów południowego Siedmiogrodu, zaniesionych tu wraz z nowem osadnictwem Wołochów w w. XVIII-ym, wpływów włoskich, docierających również przez Siedmiogród, w postaci zmodyfikowanych „piatti di pompa“ — talerzy do zdobienia ścian; odcisnęła tu swoje ślady Słowaczyna i, jak twierdzą niektórzy etnografowie, — Europa Zachodnia. Jednocześnie — a to właśnie najsilniej prze-

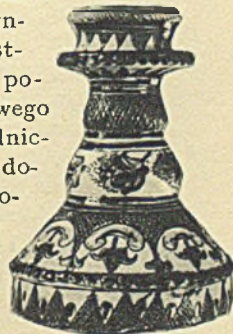
stroju, poczęści z tradycji pochodzą barwy majoliki miejscowej — ciemno- lub złocisto-żółta, brunatna, czarna, niebieska i zielona, pogłębione i stonowane kratkowaniem lub kreskowaniem gęstszym czy rzadszem. T. Seweryn w swojej rozprawie o pokuckiej majolice ludowej, z całą sumiennością naukową ugruntowawszy swój pogląd tak pisze: „Zaliczanie wyrobów artystycznych

praca naszych kresowych garncarzy stanowi chlubny dokument żywotności naszego ludu, który nawet na polskich etnograficznych wyspach Pokucia nie tylko nie zatracił swoich odrębności plemiennych, ale nawet i swoistym charakterem pracy artystycznej istotnie wyróżnia się na tle pięknej, plemiennej, prawdziwej huculskiej sztuki.“

Garncarstwo po-



Dzban z Pistynia



Lichtarz „postawnyk“



Krzyż procesyjny

jajka wielkanocne, malowane przez kobiety. Wymagają one pracy żmudnej i cierpliwej, noszą jednak cechy wrodzonego Hucułom poczucia piękna, umiaru w barwie i szlachetności w rysunku, czem szczególnie odznaczają się pisanki z Kosmacza, Kosowa, Riczki, Jaworowa i Żabia.

Niezawodnie zaciekawia przyszłych badaczy hafty, zdobiące koszule Hucułek i Hucułów i, jak drogie kamienie, jarzące się na bieli płótna. Są tam przeważnie motywy geometryczne, wykonane w barwach wiśniowej, zielonej i szafirowej z nieznacznymi iskrami złotego i ceglatego koloru. Niemal nigdy nie można spotkać powtórzenia rysunku i zabarwienia. Człowiek, długo przebywający na Wschodzie, mimowoli dopatrzy się tu wpływu niezmiernie poważnej sztuki orientalnej, skrzępiej w rygoryzmie formy. Różne wieloboki, gwiazdy, romby, koła, krzyże, rozety, meandry, linje faliste i proste — wszystko to przypomina wzory pospolite na kobiercach tekińskich, armeńskich, da-

mawia do serca — istnieją zarysowujące się w pomroce wieków zarośnięte już doszczętnie ścieżki, doprowadzające dokultury rzymskiej, — tej, co to w zdobytych prowincjach stała się źródłem ożywczem dla przeróżnych rzemiosł i sztuk. Istnieją, podobno, jakieś paralele pomiędzy naszą ceramiką pokucką, a niektórymi regionalnymi ośrodkami garn-carstwa we Francji.

W każdym razie majolika artystyczna nie jest dziełem rdzennych Hucułów, naogół obojętnych dla sztuki malarzkiej, która właśnie w tej dziedzinie gra wielką rolę.

Jedynym przejawem malarskich uzdolnień ludzi „Wierchowiny” są pisanki —



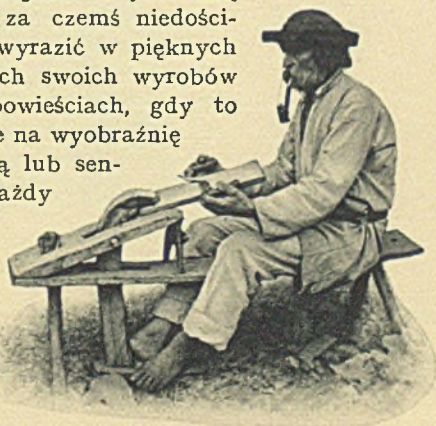
„Trijicia”

gestańskich, bucharskich, smyrneńskich i perskich, i mimowoli rodzi się domysł, czy to nie wiek XVII-ty, gdy nawała turecka biła w mury Polski, dał początek tym cudnym haftom huculskim, albo czy nie doszły tu możne wpływy wschodnie za pośrednictwem przedsiębiorczych kupców ormiańskich, którzy wieźli z Bałkanów i z Armenji kobierce, adamaszki, pasy tkane dla możnej szlachty polskiej i ruskiej? Czy wreszcie — rygorystyczna sztuka Islamu nie zaciążyła na twórczości artystów huculskich, powstrzymując ich od tematów ze świata istot żywych, — zwierząt i człowieka? W każdym bądź razie hafty kobiet huculskich stoją na bardzo wysokim

poziomie sztuki ludowej. W tych barwnych pentaklach na melancholijnym, poważnem tle, zamknęły one marzycielską duszę swoją, wybujałe poczucie piękna i wracą w sercu potężną, gotową zerwać się namiętność. Dziwne to zaprawdę zjawisko, że w kurnych chatach góralskich, rozsianych po zboczach gór, samotnych i nie szukających więzi z szerokim światem, w którym rwie i huczy rozpętane, do pędu maszyn coraz bardziej podobne życie, — wybuchnął tak samoistny, doskonały i pełen natchnienia poryw do artyzmu. Zrodził się zapewne jak te rzeki burzliwe, na wierchach zielonych, gdzie Hucul staje w obliczu słońca i nieba, gdzie czuje wielką tajemnicę bytu i niejasną tęsknotę za czemś niedoścignionem, co zmusza człowieka gór wyrazić w pięknych rysunkach rzeźb, barwach i kształtach swoich wyrobów artystycznych i w porywających opowieściach, gdy to każdy wypadek i zjawisko, działające na wyobraźnię i uczucie, przeistacza się w tragiczną lub sentymentalną balladę epicką. Wtedy każdy Hucul, podniecony jej jasną lub tajemną treścią, staje się natchnionym bardem swych wierchów, borów, rozczółni i płąjów, skąd echo ukryte podszeptuje mu nowe strofy — to pogodne lub groźne, to znów kipiące namiętnością żywiołu. Ta wyobraźnia,



Krzyż przydrożny

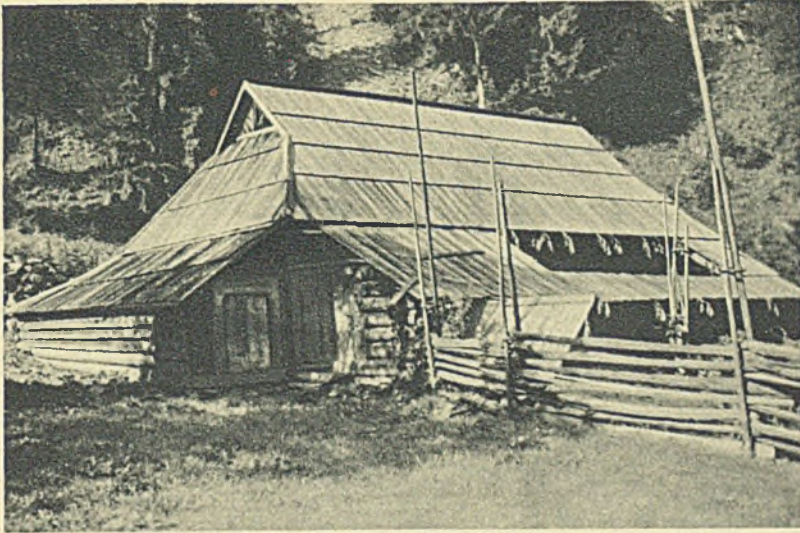


Mistrz

podsycała pięknem lub grozą, ciszą tajemniczą i szalonym rozpamiętaniem potęg natury znaleźć i wyczuć można nie tylko w piosenkach, układanych przez łęgniów, młodych i starych gazdów, pastuchów, drwałów i orylów, lecz i w opowieściach poetyckich, zdumiewających swym rytmem i wyrazistością umiejętnie dobieganych słów, a nawet, podobno, w kolendach. Jednak niezawodnie najbardziej silnie wyraża się ten pęd i zdolność do ujęcia bezpośrednich wrażeń w baśniach i opowiadaniach. Tu nic już nie wstrzymuje bujnej, nieokiełzanej fantazji Hucuła. Mówiące zwierzęta, drzewa zaczarowane, niebywale daleko posunięte bohaterstwo, nadanie ludziom cech półbogów, jakgdyby z nieznanego jeszcze Olimpu jakiejś pierwotnej mitologii zstępujących na ziemię Wierchowiny, wszelkie moce „czarne“, echa kultów, czczących siły przyrody i uosabiających je w istotach ludzkich — wszystkie te przebogate pierwiastki poetyckiej wyobraźni, te barwy i odcienie, wchłaniane przez dusze, czułe na piękno swej ziemi ojczystej i żadne wstrząsów mocnych, rzucają się w oczy człowiekowi o odmiennej kulturze nizinnej, jak oślepiający zrygak błyskawicy, jak strasznie wyrazisty ślad wiatru halnego.



Ceramika pokucka



Budownictwo huculskie to harmonija celu i formy

ROZDZIAŁ SZÓSTY

TECHNIENIE WIEKÓW



Zrąb cerkwi

Jedna z dróg z Żabia biegnie w górę Czarnego Czeremosza. Marna, kamienista, zato malownicza i rzadka tylko uczęszczana droga! Obok grzmi rzeka, skacząc po kamieniach i przeciskając się z trudem pomiędzy złomami skalnymi i okrągłymi, gładko obtoczonymi głazami. Tam i sam stoją chaty huculskie, widnieją zagoniki pól uprawnych i ogrodzone woryniami „carynki“, gdzie gazdowie koszą trawę dla bydła. Droga przytula się do ścian boru, to znów wije się pod falistymi spływami łąk pastewnych, kwiecistych i szmaragdowo-zielonych. Z prawej i lewej strony

wylewają się do Czeremoszu mniejsze i większe potoki, a góry lesiste i ciemne, nie oszpecone łysinami zrębów, zamykają zazdrośnie ich wąskie dolinki. Na gwałtownych zakrętach lub na wyniosłych garbach drogi wyłaniają się nagle dalsze szczyty Magury, Krętej i Kostrzycy; tam i sam nieco przymgloną zielenią raduje wzrok nieznana polonina. Za zwartą kolumnadą świerków, na niewidzialnych kujawach wśród boru porykuje bydło, ujadają psy i wykrzykują pasterze swoje rozgłośnie — „hys“! Jakieś poszepty i pogwary napływają wraz z żywicznymi strugami od lasu i od ukrytych za ich szczeciną polonin dalekich. Tajemne to głosy i nieznaną przemawiają mową,



rozumiałą tylko dla gazdów i łęginików, bo razporząd w milczeniu głowy unoszą, — natężają słuch i myśl. Ale to bywa jedynie tam, gdzie niema obcych przybyszów, zgiełku i potrzeby podobania się komuś, pochlebiania i innych chytłych wybiegów, gdzie ryk samochodów i turkot dorożek nie płoszy rusafek, płasających po moczarach leśnych, biesów, kryjących się w starych dziuplach i pod kłodami pokracznych, omszałych wywrotów, a nawet samego djabła zapędza do najtajniejszego uroczyska, co przechowało się w niedostępnym ostępie puszczy Skarbków i Baworowskich. Ponad prądem szumiącym, gdzie rzeka zwięża się raptem, z brzegu na brzeg przerzucają się „beri“ — huculskie mostki wiszące. Jeden z potoków, z lewej strony wpadający do Czeremosza Czarnego, niedaleko za jego



Kazimierz Sichulski: Powrót z praznika

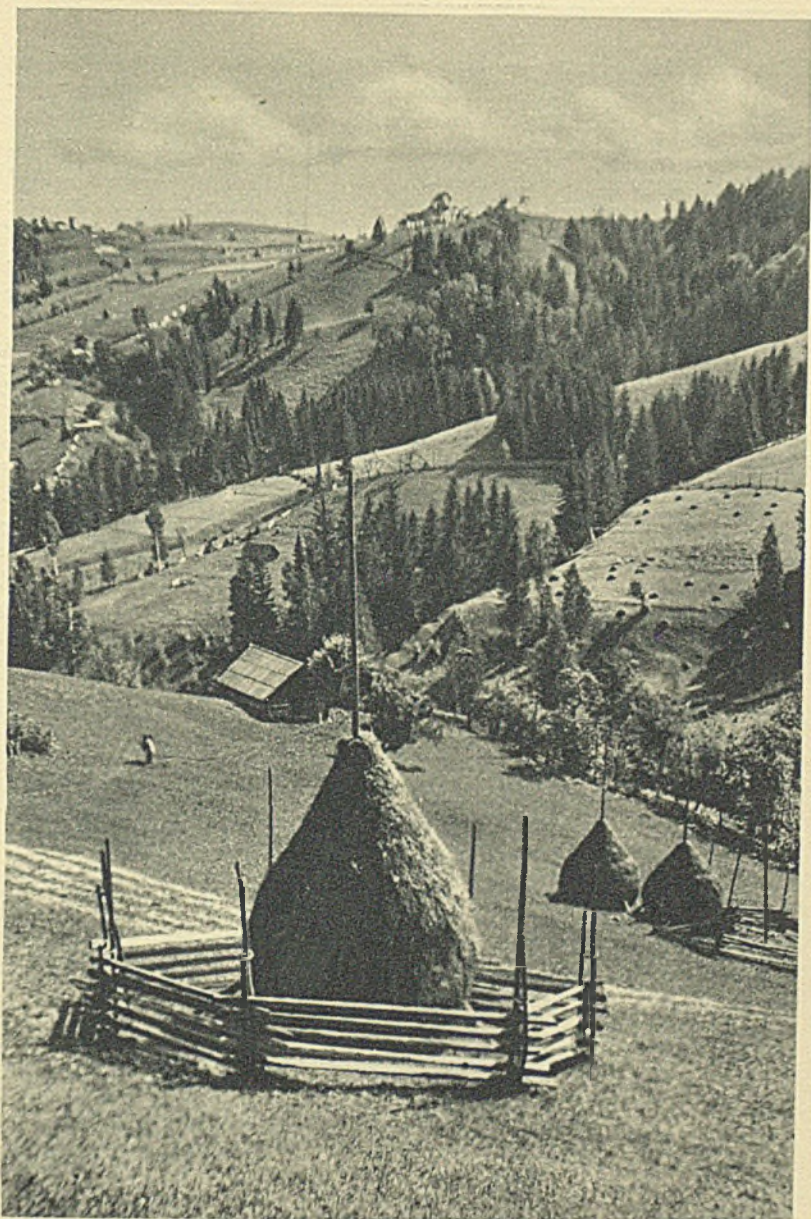
ostrym, łukowatym załosem, to — Bystrzec. Kto zliczy, ile się z nim łączy zimnych strug i ruczajów, mknących z Marysza, Gadżyny i wschodnich lesistych uskoków Czarnohory? Tu, na słonecznych zboczach Kostrzycy i łagodnych „ułohach“ Kosaryszcza wybujały wysokie, żyzne trawy rozległych sianozęci, najlepszych, ponoć, na całej wierchowinie, a na nich — rozsiane chaty — „posedki“ gązdowskie, tworzące wieś Bystrzec. Cichy, odludny, mniej od innych w Beskidzie huculskim dostępny zakątek! Nawet sami Huculi za-biowscy, dążąc w sierpniu na znany tu „chram“ — odpust, kręcąc głowami i, uśmiechając się, mruczą: „Propań na wiky“. — Taka już tam wiedzie droga!... Ku zachodniemu skrajowi Bystrzeczki spływają zielone ramiona Munczela, a z nich, zda się, ręką dotknąć można głównego grzbietu Czarnohory. Płaje rozbiegają się tam na wszystkie strony — jedne — na Kizie Ułohy, drugie — do miejsca, gdzie przedtem, zanim stopa ludzka po raz pierwszy odcisnęła tu swój ślad, zachodziły wypadki, przerażające rozpasaniem żywiółów.



Igły w Szpyciach

Jakaś siła potworna rozsadziła pierś gór, zadając olbrzymią, na wieki otwartą ranę — kotlinę głęboką, obramowaną spadzistemi spychami Kedrowatego, gdzie po wypaleniu zatrwająco powolnie odradza się kosodrzew i różanecznik; dalej płaje biegną zboczem Rebrów, jakgdyby przepasanych wstęgami jasnych warstwic skalnych, postrzępionymi iglicami Szpyci, razem tworzącemi owe „teatry kamienne“, gdzie rojno bywa na ruskiego św. Jana, bo... czary tu się zagnieździły od niepamiętnych czasów. W szczelinach i załomach Szpyci rosną cudowne zioła lecznicze, magiczne kwiaty i czarodziejskie korzenie, a siły im nadaje błakający się w tem miejscu ponurem i groźnem — „on“ — czarny duch gór, który rozłupuje i szarpie skały, obala najsędziwsze świerki i jodły, a nawet limby, rosnące na Kedrowatym, — te najmocniejsze drzewa górskie. Tam też bije Krynica Doboszowa, tkwi w ziemi spróchniały już pień javora, pod którym urodził się sławny opryszek i pozostało jego „skalne krzesło“, gdy to po zabiciu djabła dumiał tam nad czemś, do czegoś tęsknił i rwał się namiętnie. W okolicach Bystrzca przetrwały jeszcze stare lasy, może nigdy nietknięte ostrzem siekiery lub zębami piły, — zapewne nigdy, bo jakież to wielkoludy i moczarze mogliby spuścić te kloce potężne aż na wart Czeremoszu? Dalej biegnie droga kamienista, tuż nad zwarliwą wstęgą rzeki. Nowe wpadają tam potoki, aż za Stepańskim szczytem z hukiem wyleje się Dzembronia. W środku pomiędzy Kosaryszczem, Stepańcem, Smotrcem i Skoruszynym, gdzie Huculi zaczarowani bezkresną, i wymowną dla nich dalą, nieruchomi i skupieni — patrzą ze szczytów na łańcuch Czarnohory, widzialny stąd od stożkowatej Howerli — do Popa Iwana, a nawet jeszcze dalej — do Czywczyna, Pietrosa, Alp Marmaroskich i Roldniańskich — to mglisto-niebieskich, to fioletowych w ostatniem dnia konaniu, — tam właśnie po ułohach rozproszyły się chaty wsi Dzembroni. Na trawiastych zboczach gór pasą się najczystszej krwi konie huculskie — te najmocniejsze — ciemno-kare o oku ognistem i kopytach, skry krzeszących z kamieni. Jakaś trwoga zakrada się do serca, gdy spojrzenie pada na niezliczone, upadające już krzyże, i na kopce mogilne, trawą wysoką porośłe. To groby, posiane okrutną ręką wojny, bo tu przecież w r. 1916 załamała się szaleńcza ofenzywa rosyjska, niszcząca dobytek i osiedla Huculów, a grożąca stoczeniem się ku równinom węgierskim, jak lawina — bez dróg i bez myśli. Czeremosza nie wstrzymują wspomnienia, więc biegnie dalej wśród zalesionych uskoków Skoruszego i Krętej. Pod ich wysokimi zboczami, na łąkach wśród lasów widnieją mniejsze

i większe zagrody, czworoboczne, wąskie i wysokie odryunki lub pochylone, jakgdyby zgrybiałe strzechy na krzywych stojakach, gdzie siano w zimie przechowują gazdowie. Potoki Charal i Petrów wlewają się do łożyska rzeki. W złocistej mgławicy widnieją szczyty Wielkiego i Małego Zmijewskiego. Tuż przy drodze wyrasta nagle cerkiew i najbliższe chaty wsi Zełenej, rozpoczynającej się na lewym brzegu Czeremosza w dość szerokiej kotlinie, gdzie spod Skopowej zbiega Hnylec bystry. Na grani kotliny zatrzymały się lasy, i ciemną szatą okrywają stoki gór. Cisza panuje tu, jakgdyby ludzie bali się spłoszyć coś niezmiernie drogiego. Nawet psy nie szczekają i bydło nie myczy... Ta cisza starodawne spowija życie, bo go tu nie znieważyli jeszcze i nie zmącili przybysze. Przechowało się ono — strzeżone zazdrośnie w tych ostatnich bodaj bastjonach dawnego Beskidu, na rubiczy Czarnohory. Tu wszystko ma prawdziwe, odwieczne znaczenie i mądrą celowość. „Posedki” jakgdyby wyrosły tu wraz z najsędziwszemi smerekami, a może nawet z temi górami, co już tyle wypadków przeżyły, a nie ugięły się i nie rozpadły. Setki chat ukryły w swych rozłogach Beskidy, lecz tutaj przemawiają innemi głosami i coś wzruszającego szkli się w ich małych oczach — szybkach, pociągając ku sobie jakąś drażniącą zagadką... Domy huculskie o dwu- lub cztero- spadzistych, nieraz kilkurzędowych dachach gontowych składają się, jak wszędzie tutaj, z dwu izb frontowych, z reguły na południe, ku słońcu zwróconych, i „choromów”, czyli sieni z wejściem do chlewu, gdzie w zimie przebywają owce, bezpieczne tu przed niedźwiedziem, a szczególnie przed wilkami. Z mieszkalnemi izbami — „prawaczką i liwaczką” prawie zawsze złączona jest „klit” — spiżarnia i skład rzeczy gospodarskich, odzieży, płótna, przędzy. U zamożniejszych powstają czasem inne też zabudowania, jak „ambar” — gdzie się przechowuje sprzęt gospodarski, stajnia — „kołesznia”, a nawet — osobna obora. Do chaty huculskiej wchodzi się z „pidgania” — ciągnącego się od frontu werandy, zacienionego okapem dachu. Tu gazda i gazdynia pracują, przyjmują gości w lecie, tu bawi się dziatwa drobna. W izbach mieszkalnych nawprost drzwi wchodowych z sieni widnieje „obraznyk” — ściana z wizerunkami świętych, po prawej stronie duży piec — zwykły, kurny lub z „kahłą”, połączoną z sienią, nie mającą pułapu, przez co dym rozchodzi się tam po całym poddaszu, nasycając strop, wiązania i gonty smołą i nagrzewając dach, od czego gruba i ciężka powłoka śnieżna topnieje i zsuwa się na ziemię. Na strychu, gdzie kłębi się dym, wędzą się powoli półcie mięsa



Na rozlogach

i słońiny. Nad piecem — bardzo w swej budowie pierwotnym — bogaci Huculi stawiają nadbudówkę z żółto-zielonych kafli kosowskich, przechowując jednak zawsze tradycyjny zapiecek, gdzie można po ciężkiej wędrówce lub pracy w lesie i na rzece wysuszyć ubranie, postoiły i wygrzać się do kości. Niektóre piece z takim okapem kaflowym, naprzykład — w Worochcie, Mikuliczynie, Żabiu, Krzyworówni, tworzą malowniczy szczegół, ale tam stoją one, jakgdyby okazy muzealne — na podziw zwiedzających. Wpobliżu pieca ustawia się szerokie łoże, przed którym widnieje żerdka — nieraz misternie rzeźbione wieszadło dla koców i ubrania. Wzdłuż ściany frontowej i tej, gdzie wiszą obrazy, ciągną się ławy. Na nich śpi młodzież, a w zimowe dnię pracują Hucułki. Na lewo od wejścia, na gładko heblowanej ścianie widnieją półki na miski i garnki — „połeci“, a na specjalnej ozdobnej półce — „namysnyku“ — droższe naczynia, stanowiące dumę gazdini: świeczniki, bogato rzeźbione miski i talerze, rakwy i bokłahy. W kącie, gdzie zbiegają się ławy, stoi stół, duża, rzeźbiona skrzynia i kilka zydli. Podtrzymujące powalę belki — „swołoki“, upiększone prostą a wytworną rzeźbą, jak również ozdobione nadproża i framugi okien, dziwnie odbijają od surowego zawsze frontu chaty. Woddali od sztucznego już nieco życia większych, przeciętych szosami wsi, gdzie przyjezdne miesz-

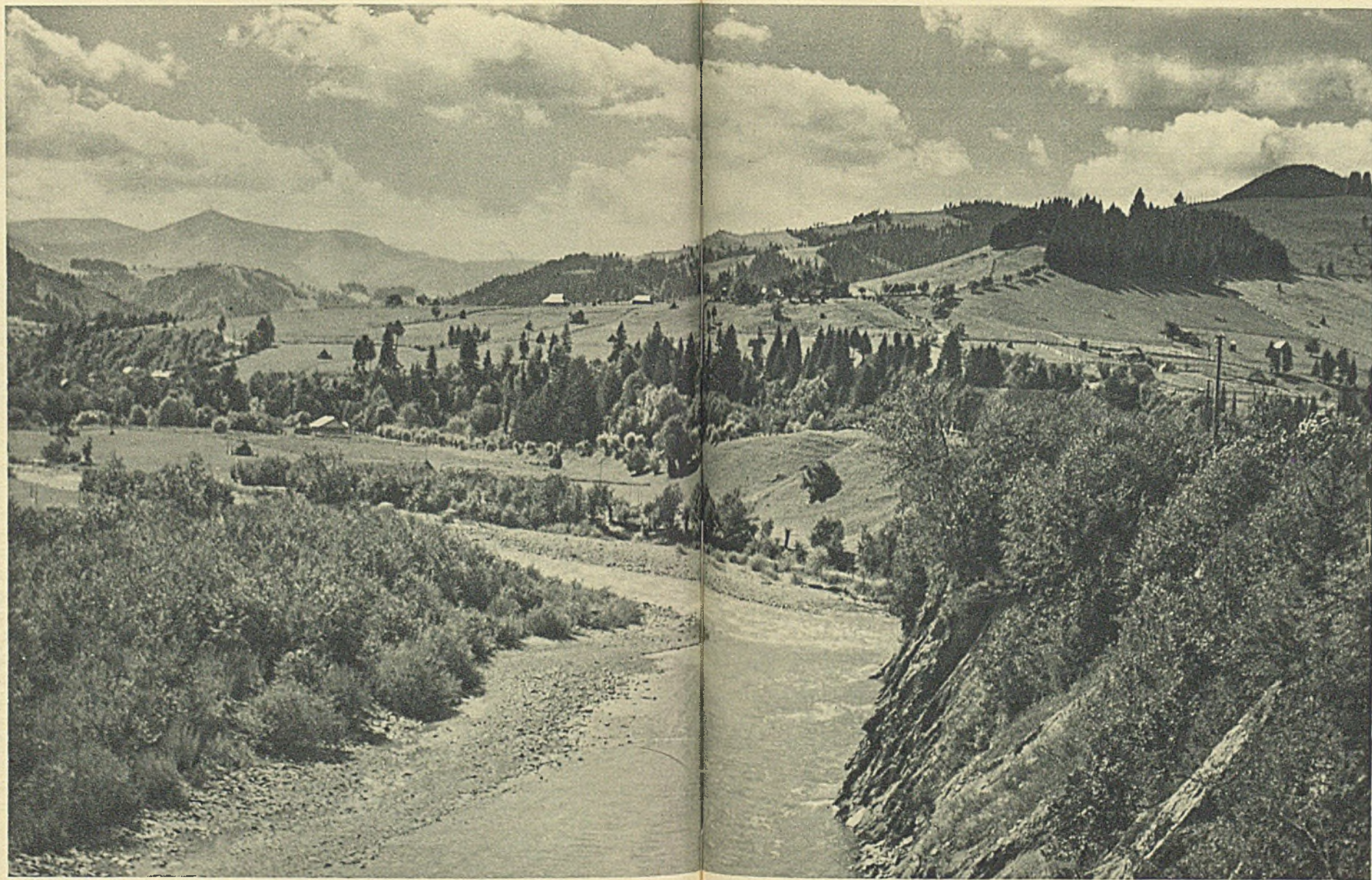


Kotły Gadżyny



Kozły

czuchy kręcą nosem na dym i żądają pieców „amerykańskich“ lub zwykłych z kominami nad dachem a czasem nawet... kanalizacji i wody bieżącej, tu wszystko jest naturalne i niezbędne, jak te nieskończenie długie „sutki“ — drogi, ujęte z obu stron woryniami, na kilometry biegnące poprzez łąki, aż hen — ku dalekim połoninom, gdzie się wypasa bydło. Niezbędne to jest, bo ma znaczenie praktyczne; niezbędne też dlatego, aby pod czarnymi dachami w dwa czy trzy „szary“ przechowała się nietknięta tradycja huculska, barwna i bogata, nito kobierce wschodnie, zlekką przyćmiona, ni to gobeliny, nieco już wyblakłe i zwiędłe. Tu tylko zrozumieć można długie rozmyślenia Hucuła, szukającego szczęśliwego miejsca dla nowej chaty. Ileż to troski przeżyje gazda, aby dostrzec, gdzie bydło najchętniej kładzie się na wypoczynek, lub gdzie jest „muraszkowyna“ — mrowisko, ale koniecznie na pagórku, na południowe słońce wystawionym, takie to bowiem miejsca dla stałych siedzib najszczęśliwsze są i najpewniejsze. A ileż kłopotów ma cieśla, zanim rozpocznie zawiązywać na złożonych kamieniach pierwsze wieńce przyciesi? Wie od dziadów-pradziadów, że trzeba wpierv z młodego świerka krzyż z nieściętymi na wierzchołku gałęziami ustawić, przystroić wełną i czarownem zieleńmi dobrotliwym, okadzić,



Żabie — Widok na Pop Iwana,...

..w dole wart Czeremosza

wodą święconą pokropić i pośrodku placu wkopać to drzewko magiczne. Patrzy on i nadstuchuje, bo wszystko mówi mu, czy szczęśliwie będzie tu gazdował gospodarz mającego stanąć „posedka“. Słucha więc trwożnie, czy nie kracze wrona, nie szczeka pies i nie skrzeczy sroka, zato cieszy się, gdy na kamieniach usiądzie pliszka, zaszczębioce jaskółka, zarzy koń, odezwie się poryk wołu, a jeszcze bardziej, gdy łagodny wiatr poruszy cicho trawę i krzaki, rosnące wokół. Tak to, mieszając uczucia chrześcijańskie z pogańskim zabobonem, podtrzymuje cieśla niegasnącą watrę przy budowie



Wiosna nad Czeremoszem

i, pomny na setki starodawnych zwyczajów, kładzie i wiąże ściany aż pod strop. W nich będzie płynęło życie rodziny gazdowskiej, dla której poza Bogiem i świętymi patronami istnieją setki innych — większych i mniejszych dobrych i złych bóstw. Przetwały one w puszczy, górach i wodach i wciąż jeszcze pomagają lub szkodzą Hucułowi od pierwszej chwili narodzin, gdy przylatuje dwunastu sędziów i, siadłszy na oknie izby, wyznacza mu gwiazdę, która świecić mu będzie aż do skonań. Potem „sochtiwna baba“ — znająca wszystkie tajemnice swego zawodu i wprawna w przyjmowaniu i pierwszym oporządzeniu niemowlęcia, odmówi naprędce formułę chrztu świętego, ale bardziej uważać będzie na to, aby ktoś,

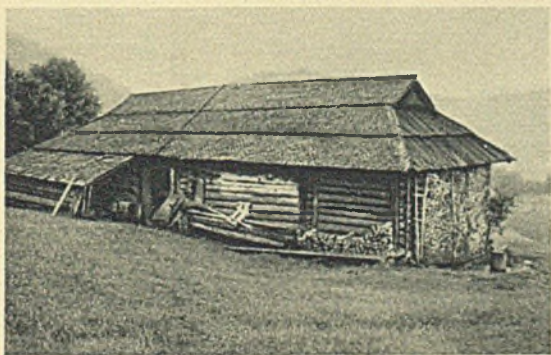
wchodząc do izby podczas pierwszej kąpieli, nie urzekł dziecińcy, aby wporę i jak należy przyrzadzić talizman z czosnku, gliny, węgla i ziemi ze śladu psa, a dopiero wtedy powiesić dziecku krzyżyk na szyi, ale koniecznie... z osiki! Ciągła dręczy ją i położnicę trwoga, aby djablica nie „odmieniła” noworodka, nie wysuszyła mleka w piersi matki i nie budziła śpiącego drobiazgu. Na wszystkie czarcie szkody istnieją cudowne sposoby — siwa magja wieków ubiegłych — nieraz straszna i ponura. Na grad i ogień, na choroby i smętek, na nienawiść, zemstę i miłość, na epidemję bydła i na ich



Ciągną się i ciągną worynie

dochowek, na dzikich ludzi, obrośniętych wełną, co żyją po matecznikach, na „niawki”, duchy leśne, połoninne i wodne, na dusze niechrzczone i na nieboszczyków, zmarłych bez sakramentu, co to straszą i szkodzą juhasom, tak często powtarzającym imię Chrystusa przy pozdrowieniu i w każdym niemal wypadku życia codziennego, — na wszystko znane tu są skuteczne „odczyzny”. Wielkanoc i inne święta związane tu z niezliczonymi obyczajami i przesadami pogańskimi. Huculska wilja — to „wieczera tajemna” i straszna, gdyż przy stole wraz z rodziną gazdy zasiadają cienie jego przodków — tych nawet, którzy z rzymskimi walczyły legionami. Wieczere tę zawsze z

dwunastu dań spożywają Huculi na sianie, czterech ząbkach czosnku i ziarnach pod serwetą, a przed przystąpieniem do stołu wykonują niebywale zawile i długotrwałe czynności magiczne, aby „zawiązać” ich, odpędzić wiedźmę i złe duchy, aby pro-

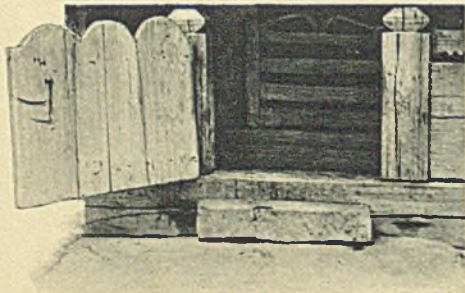


Trzechsetletnia chata



Gazda, pan w swym kasztelu-grażdzie

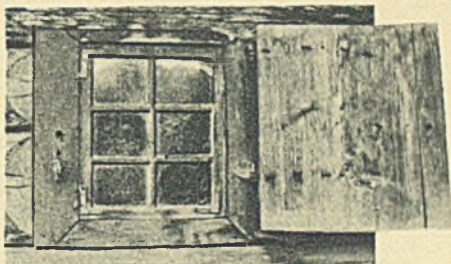
cesy sądowe pomyślnie wypadły, błyskawica nie dotknęła domu a dra-
pieżny zwierz, choroba, lawina i powódź nie zabrały bydła i pszczoł.
Gazda, trzymając w ręku misę z jadem świętecznym i siekierę,
wychodzi na dwór i zaprasza na wieczerzę niewidzialnych czarowni-
ków, wilki, niedźwiedzie, lisy, żeby mu nie szkodziły, nawet... burzę
prosi do stołu, wreszcie huculska rodzina zanosí modły za dusze
tych, którzy niewiadomo gdzie i kiedy wyzionęli ducha, przywaleni
ciężkim drzewem, zbląkami na upłazach i na „czapaszach“ za-
śnieżonych, pochłonięci przez wściekłą kipieli rzek, zabici na drogach
nieznanych... Wkońcu kadziłem „wypędziwszy“ czarta z izby,



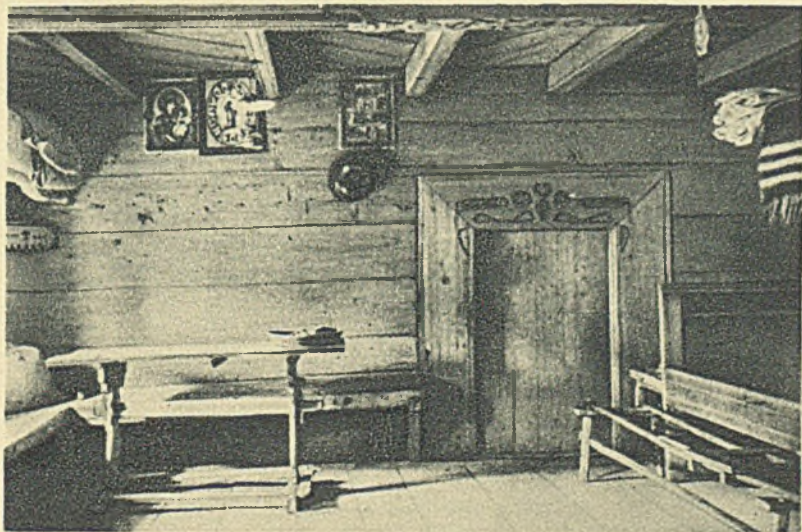
Wejście na „pidganie“

zasiada gazda z rodziną przy
stole wigilijnym. Przy spoży-
waniu tego, co nawarzyła i na-
piekła gazdynia, i po skończonej
wieczerzy trwają do świtu prak-
tyki magiczne, dziwne okrzyki
„Prrra, szkne“, siadanie w mil-
czeniu na ziemi, aby pszczoły
szczęśliwie się chowały; wróżby
gażdziny i dziewczuch, zdmuchi-

wanie miejsca na ławie przed siedaniem, aby nie zgnieść jakiej duszy, niewidzialnie biorącej udział w wieczerzy, która istotnie jest „tajemną“, przepojoną setkami guseł, znaków i przepowiedni, drażniących i podniecających bujną wyobraźnię ludzi Wierchowiny. Na drugi dzień świąt śpieszą Huculi do cerkwi „na zbory“, członkowie bractw cerkiewnych obchodzą po kołędzie najdalej nawet zagrody parafji, podzieliwszy się na „tabory“ z tancerzami, wymachującymi toporkami, i z jakimś błaznem na koniu; zaglądają do każdej chaty, śpiewając po drodze: „Hoj, wijszło bractwo rano z cerkowci, hoj, daj Boże“! Nowy rok, Jordan, wielki post i wielki tydzień, czterdziestu męczenników — patronów rybaków, Zielone Świątki, św. Jana i Mikołaja, dni św. Jura, Borysa i Hliba — obrońców przed głodem, Kosmy i Damjana — patronów sadowników i drwali — dni, obchodzone przez kościół chrześcijański, są tu głęboko przesiąknięte słowiańskim i niesłowiańskim pogaństwem. Dziwne też święto utrzymało się na Huculszczyźnie, zdaje



Okno i...



...słońcem zalane wnętrze chaty

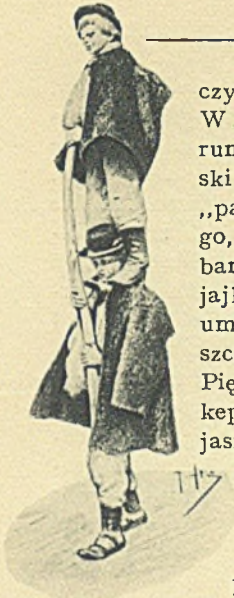
się, więcej nigdzie nie spotykane. Wielkanoc rachmańska! Huculi obchodzą ten „rachmański welykdeń“, czcząc jakichś rachmanów starych, bogobojnych mni-chów, czy też karzelków, żyjących gdzieś na wscho-dzie. Uważają ich gazdo-wie za pośredników pomię-dzy Bogiem a ludźmi, a więc „za żywych bogów“ na ziemi — niewątpliwy wpływ Islamu i Buddyzmu, zre-sztą samo słowo na wet zdra-dza arabskie niezawodnie pochodzenie. Dzień rach-mańskiej Wielkanocy zwią-zany jest z wzruszającym obyczajem, przypominają-cym straszliwe niegdyś na-jazdy tatarskie i ciężką rękę turecką. W tym dniu bo-



Piotr Stachiewicz: Zabawy...



wiem Huculi wrzucają do rzeki skorupy jaj, aby dopłynęły do Stambułu, gdzie żyjący tam potomkowie wziętych nie-gdyś do niewoli Huculów nie wiedzą, że minął już dzień Wielkanocy, — największe święto świata chrześcijań-skiego. Jak okiem sięgnąć, przez bory, łąki i góry, po płajach i po bezdrożu idą i jadą konno gaz-dowie i kobiety, obładowane ciężkimi worami — „besahami“, odziedziczonemi, sądząc z nazwy, po Tatarach. Czemże to je wypchały gazdy-nie gospodarne? Odświętną odzieżą mężów i swoją, obuwiem „przykrasami“ i „łyskaw-kami“, aby po dalekiej i uciążliwej nieraz dro-dze do cerkwi z dalekiego osiedla móc się przebrać i „pryludnie“ sąsiadom się pokazać. W innych wor-kach wiezie gazdynia święcone, by je pop wodą świętą skropił i wszelkie siły nieczyste odpędził tem-bardziej, że wiezie nie tylko „paskę“ — ozdobne pic-



czywo dla ludzi, lecz, co jest ważniejsze, — i dla bydła. W jednej połowie besahów ułożyła gazdynia ogromne, rumiane, w kwiaty i wszelkie esy-floresy wypieczone „paski“ z białej mąki, a w drugiej — duży, pięknie pisany „paskewnyk“, napełniony kawałkami ciasta obrzędowego, kiełbasy, słoniny, mięsa, sera, jaj, masła; są tam też barwne „pisanki“ i butelka z wodą, w której gotowały się jajka, bo najskuteczniejszy to lek na choroby oczu. Tamże umieściła Hucułka korzeń chrzanu z liśćmi, czosnek i szczyptę soli. Tak obładowani jadą lub idą do cerkwi. Piękny to widok! Na ciemnem tle boru majaczą białe keptary i gugle kobiet, niby białe skrzydła motyla; przez jasno-zielone młode zarośla i na łąkach migocą czerwone sieraki gazdów i ich czarne kresanie, łyskające blachą lub szeroką opaską z „bajorków“; świecą się toporki i nabijane mosiądzem taszki, pasy, tabiwiki, łańcuszki i pochwy noży. Przed ogrodzeniem cer-

„Dzwonica“
 myje się, o-
 czyści i po-
 przebiera lud chrześcijański pobożny, miłujący Boga, który gazduje sobie gdzieś tak straszliwie daleko i wysoko, że djabeł i jego czeladź rządzą się na ziemi, jak we własnej chacie, ludziom życie zatruwając i obrzydząc; w skupieniu głębokiem wejdzie Hucuł do kościoła, aby bić pokłony ziemne, żegnać się niezliczoną ilość razy i cieszyć się radosną wieścią, od wieków powtarzaną, iż Chrystus zmarłych wstał — aleluja! Po mszy świątecznej wyjdą wszyscy tłumnie na dziedziniec, rozłożą swoje święcone, ustawią rzędami ozdobne pa-



...wielkanocne Huculów

skewnyki i, słuchając śpiewów liturgicznych, znów troskać się będą, myśląc, czy dobrze tego ranka stąpili na ostrze siekiery, gdyż w „wełykdeń“ żelazo ma siłę osobliwą; czy nie zapomną „odczynić“ czarne moce, bo więdmy dziś swawolą złośliwie, źmije budzą się ze snu, „lisowyki“ i wszelkie duchy szaleją, wściekle i rozpaczone... Ale któżby zliczył wszystkie obrzędy starodawne, o których muszą pamiętać gazda, gazdynie, łeginie urodziwi i dziewczuchy, czujące już, że serce im bić poczyna mocniej, to znów omdlewa w słodkiej, pokornej niemocy... Wszystko to jest przedziwnie stare — starsze od butwiejących po borach świerków, co już z pionów całą wylały żywicę i na próchno rozpadać się jęły i starsze od świętej treści obrazów na, szkle malowanych — a tu, gdzie nie słyhać sygnału aut i zbyt ostrych głosów ludzi miejskich, ma to urok nieprzeparty, wzrusza i działa na wyobraźnię, ni to opowieść tajemnicza, śpiewana głuchym, rzewnym głosem starca o oczach pełnych łez i skier gorących.



Malowidło na szkle



Homuł — w głębi Howerla

CZĘŚĆ TRZECIA CZARNOHORA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

FALE SKAMIENIAŁE



Gazda puszczy karpackiej

Tam, gdzie wypiętrzył się łańcuch Czarnohory, snadź, niegdyś jakieś morze nieznanne, pradawne cisnęło burzliwe bałwany, a te, dobiegłszy tu, stanęły w bezruchu, stężały nagle, w kamień twardy zmienione, aby nie rozprysnąć się już nigdy... O tem to zapewne morzu — szerokiem, niebieskiem i głębokiem wspominają watahowie na połoninach, przed wschodem słońca ogarniając spojrzeniem zastygłe jego fale — od Howerli i Pietrosa aż hen, — po Popa Iwana... Szczyty gór



Pop Iwan

nie grożą tu niebiosom ostrzami wierchów poszarpanych. Gdzieś niegdzie tylko nad kotłami, głębią dolin i czernią zworów wąskich, zwisają urwiste spychy skalne, których się czepiają jarzębiny, dereń i jeżyny, rzadka — limba smukła, a już bliżej samej grani — jałowiec i... różanecznik — zwiastun wyżyny. Puszcza zdobyła wszystkie zbocza i wysłała ku łożyskom rzek, szumiących w nizinie, buki, leszczynę, olchę i wierzyby rozroste... W kniei, po wydeptanych przez siebie perciach, sapiąc, tuła się niedźwiedź, szukając mrowisk, nór krecich, jagód i dziupli, gdzie osiadł rój pszczeli, aż go głód rozzuchwali do reszty, zmuszając przedrzeć się na połoniny i spróbować szczęścia w rabunku, chociaż czujnie strzegą stad psy kosmate, a juhasi ostre mają oczy i najlżejszy nawet ślad kniazia borów wypatrzyć zdołają. Rysica, co łęgi swoje ma w wykrocie pod złomami staremi, nie śmie wychynąć z mroku puszczy. Śmiga płowem, centkowanem ciałem po matecznikach sąsiednich, aby coś zdobyć i porwać znieńacka — tu mysz lub wiewiórkę, tam — „gotkę” — szarą głuzycę, siedzącą na gnieździe, albo jarząbka, myszkującego w podszycie i leżaninie. Po nocy chyba, gdy czarne chmury pełzną po niebie i gdzieś woddali przewalają się grzmoty — głuche jeszcze i leniwe, — czołga się rysica na skraj lasu i węszy, czy nie pasą się wpobliżu jelnie i kozły, co tylko o zmroku wychodzą

na połoniny, gdy juhasi zamkną już w koszarach woły, krowy i owce i pod ścianą „stai“ pozostawią stróża nocnego, a ten — zaniepokojony nagle — gwizdnie na psy, aż ujadać i miotać się zaczną po połoninie, szukając wroga. Tylko wilki, jak cienie chybkie, mającą po przesmykach wśród kosodrzewiny, skradając się ku owcom, „blejącym“ w zagrodach, i świecąc „lampami“ poprzez gęstą „negurę“ kiedy deszcz „maczkatyj“ siępi beznadziejnie lub opada mokra kurniawa śnieżna i psom pasterskim „czuch“ odbiera. Strugami potoków, pędzących po złomach, odbywają dalekie, męczeńskie wędrówki pstrągi srebrzyste, czerwienią po bokach nakrapiane, aby do źródełk najniższych dotrzeć, bo tak im każe natura.

Nad Jasiną poczęła się Czarnohora — i wznosząc się coraz wyższym wałem, urasta w szczyt Howerli, z której zboczy biją pierwsze strugi Prutu i nie widzą nic o swych siostrzyczkach, co wytryskują z zachodnich zboczy, Cisę Białą zasilając. Na sfałowanej grani grzbietu podnoszą swe stożkowate, kopulaste lub płaskie i zrzadka tylko zaostrome głowice Howerla, Breskul, Pożyżewska, Dancysz, Turkuł, Rebra, Tomnatyk, Brebenieskul, Munczel i Pop Iwan — ostatnia baszta twierdzy Czarnohorskiej — i inne jeszcze — niższe, skromniejsze. Stromo spadają ku dolinom południowe ich



Biały Czeremosz

*Różanecznik karpacki**Bratek połoninowy**Urdzik węgierski**Dziewięciosil bezłodygowy*

spychy, od północy zaś stoki łamią się w potężnych stopniach olbrzymich schodów. To boczne uskoki, bądź łagodne, bądź też opadające stromą zerwą, tworzącą „plecy“, co nadaje niektórym górom groźny nie-raz, a zawsze malowniczy wygląd niedostępnego urwiska, najeżonego skałami. Kotły i niecki, wytoczone przez lodowiec i rozmyte jego wodami, gdy szybko topnieć zaczął, zwaliska moren i rzadka drobne jeziorka widnieją wśród fal skamieniałych. Ostatnie żywe wspomnienia o lodowym panczerzu, pod którym, zda się, uginały się te góry, jak pod nieznośnym brzemieniem, gdy to ruchoma skorupa jego raniła głęboko ich piersi i boki. Teraz, choć okryte lasem, świadczą jednak o zaciętej walce skał z sunącą po nich lodową nawałą. Zaiste ciężkie to było brzemie, tak ciężkie, że z ciała gór, niby krew żywa, trysnęły zimne strugi wody. Białe, pienne nici jej ni to srebrzysta pajęczyna snują się po zielonych i szarych zboczach szczytów i opadają w głębokie kotły, a z nich — do rozłóg, co zbiegają ku łożyskom rzek. Pod Dancyszem, niby potworne grzebienie, wyrosły Wielkie i Małe Kozły w szczelinach całe, wyrwach i rumowiskach, strzelające wysoko ponad zielone płaskowiny i zwoje czarno-zielonego płaszcza świerkowych borów. Przez ich ciemne gąszczce wiodą płaje, wydeptane przez bydło, wiją się przez niższe łąki i znowu znikają w puszczy, aż urwą

się gdzieś w złomiskach, zaroślach kosówki i traw wysokich. Przez bory biegną ścieżki, różnemi znakowane barwami na szarych pionach drzew i odłamach skalnych. To — szlaki turystyczne, wytknięte przez zasłużone dla kraju Polskie Towarzystwo Tatrzańskie. Często-kroć doprowadzają one do schronisk, mających dla turystów i narciarzy pierwszorzędnę znaczenie. W ciemnym otoku świerków biją w oczy bajeczne kobierce o barwach tak bliskich Hucułom i drogich. Pełnia najwspanialszej palety malarskiej — szmaragd



Tragedja górską

i malachit traw, żółć złocista, ciepły i smętny fiolet, radosny błękit nieba i kwiatów niezliczonych, wreszcie — namiętna lipcowa czerwień różaneczników. Ale i zieleń borów i łąk, jak te „wykładanki“ Szkryblaków, — to nieuchwytna niemal mozaika odcieni: czarne płaszczyny i pasma zarośli kosodrzewiny, szafirowe skupienia świerków, szmaragdowe bukiety buków, jaśniejsze od nich — brzóz, zupełnie na dole — zielona gmatwanina olch, leszczyn, wierzb — tysiąc plam zielonych, a każda odmienna! I trawy połoninne, umajone kępami kwiatów, mają wspaniałą gamę zieleni — od najciemniejszej do szaro-zielonej, ni to szronem przyprószonej, ni to mgiełką

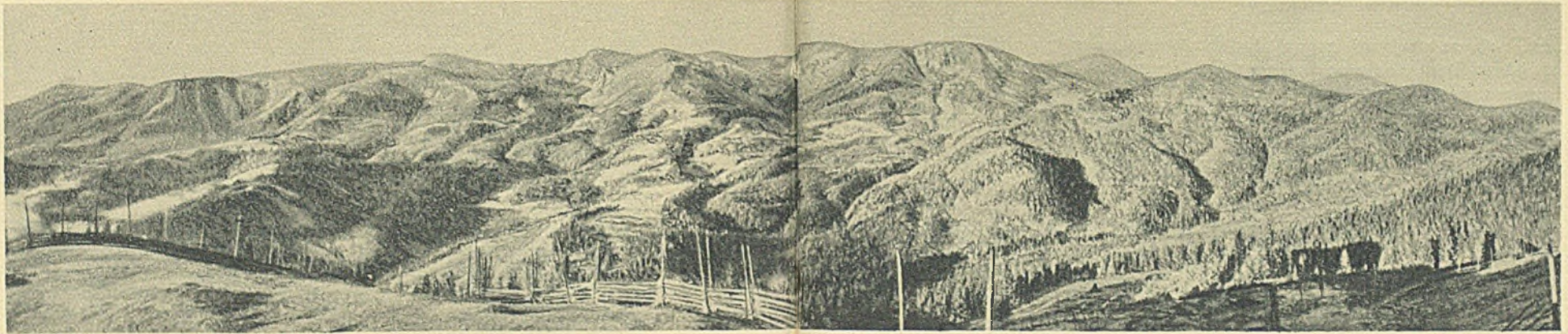
zasnutej. Szczególnie barwnie przystroiły się połoniny w kotłach pod Breskulem, gdzie pyszną okryły się roślinnością trawiastą i zielną łąki, zagospodarowane przez stację botaniczno-rolniczą. Nawet po niedostępnych skałach, gzymsach, wiszących nad przepaściami, po cypelkach na urwiskach i w szczelinach stromych ścian zielenią się, świecą barwnem kwieciami rośliny, co znikły już na połoninach, wyrwane z korzeniami przez bydło i wydeptane ostremi raciami owiec i kóz. Zwały głazów lodowcowych i duże złomy, staczające się z wyżyn, znikają pod zielonym i kwiecistym kobiercem krzaków i traw, bo i tu szalony wiatr halny zanosí ziarno rodne i sieje życie, aby nie zamarło i nie zanikło. Na dnie głębokich kotłów od martwych wieków lodowcowych przetrwały drobne jeziorka — jedne w nagich leżące nieckach, inne zwykle bagienka, obrzeżone trzciniami, turzycą i haszczem krzaków. Zapewne znikłyby dawno, lecz poi je źródłami niewidzialnemi macierzysta pierś gór rodzimych. Koło każdego z nich uwiły sobie gniazda legendy, a już szczególnie przy jeziorku Niesamowitem, pod przełęczą turkulską. W ciemne, burzliwe noce, gdy wieją po wierchach przenikliwe dujawice, przylatuje tu djabeł, by policzyć, ile to dusz samobójców przybyło z „sukrowyszcz“, gdzie leżą ich ciała, ile dusz morderców pogrą-



Mała Maryszewska i Howerla



Pruť



Smotrycz Stepance Rozszybeniek Munczel Kizie Ulohy Kiedrowaty Gadżyna Howerla Maryszewska Wielka Homul Kuźmieska

Panorama...

...Czarnohory

żyło się w lodowatej toni jeziora, służbie oddając się czarnej. On zaś — wróg Boży, o oczach, jak watra, płomiennych każe im zbierać kry lodowe i ciskać w niziny z chmur gradowych. Łagodnieje jednak djabeł, gdy dobiegną go dźwięki trembity. Wtedy duszom zgubionym znak daje, aby się uciszyły i spoczęły na dnie jeziora. Wiedzą o tem pasterze i zdaleka przychodzą, by z zaklęciem



Orłowicz...

...prowadzi

kreśnych powiewów, ku słońcu się zbliżyć a na niziny przyziemne pogardliwe lub tęskne rzucić spojżenia... Hej! Niema tu granic przestrzezi!! Z Howerli dojrzą oczy pasterzy mgliste, seledynowe, złociste skrawki równin i ciemne, jakgdyby rozplynięte na jasnym kobiercu mętne plamy Stanisławowa, Kołomyi, Śniatynia i Marmarosz-Szygietu. W jednym tylko miejscu zastłoni im widnokrąg samotny



Schodzenie w dolinę

na ustach w jezioru wymoczyć trembity, gdyż takie grają donośnie i rzewnie. Żaden z juhasów nie śmie cisnąć kamieniem w nieruchomą, zamarłą toń, bo wołyby mu potonęły, owce zerwałyby się z perci nad „berdami“ i przepadły bez śladu. Ale nietylko ku temu jezioru dążą juhasi, bo w wolnej chwili wybiegają na szczyty najwyższe, by wzrokiem zaczerpnąć błękitów i fioletów dali, a w płuca nabrać bez-



Plecak jest ciężki,...

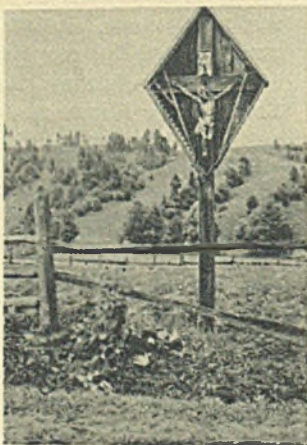


..odpoczynek miły



Na słonecznym plaży

kim, pełnym utajonej grozy „teatrom kamiennym“, prostopadłym urwiskom Dancysza z odcinającymi się na jej tle Wielkimi Kozłami i z wznoszącą się wyżej Howerlą z jej kopcem na wierchu; gdy zaś juhasi lub gazdowie z Kosmacza, Krzyworówni i Bystrzca, wędrujący po górach, aby odwiedzić pasącą się na połoninach „marżynę“, dotrą tu, — wtedy staną w zachwycie, bo oto widzą wężowy grzbiet Czarnohory, a, jeżeli wejdą na Brebenieskul, ostry wzrok ich dosięgnie przezroczyстых, błękitnych i różowych łańcuchów Alp Mar-maroskich i Rodniańskich; wreszcie spod znaku triangulacyjnego, co wyrósł na wierchu Popa Iwana, oczy górali ogarniają pasmo od Stogu do Czywczyna, i południowy, w słonecznej mgłę tonący cypel Polski, gdzie znaczą się zielenią połoniny Hnitesa i Komanowa — a na wschodzie rozparły się nad czarnymi borami inne — wesole, rozległe połoniny Hryniańskie... Stoją juhasi i wędrowni Huculi w zachwycie i milczeniu. Zapominają o troskach, nienawiści i miłości. Widzą rodzimą wierchowinę, wykochaną od kołyski, całą wzdłuż i wszerz, w nieukrytym niczem przepychu barw i blasków.



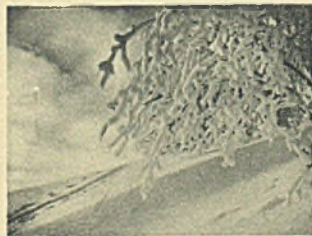
Przy drodze



Władysław Jarocki: Panna młoda z družkami

ROZDZIAŁ DRUGI

CZARNOHORA W BIELI



Srebrna okiść

Już „prosynek“ — grudzień na dworze. Wszelkie mokradła oddawna w stwardniałą zamieniły się „hrudę“, na kamień zmarzniętą. Przy brzegach potoków i rzeczek — i na kamienistych ich progach z brzękiem załamuje się podmyte prądem dzwonne szkliwie cienkich zaledzi. Na skałach i płajach śnieg

*Kozły*

potworzył „połydyzię“. Mokra siekawica jeszcze w listopadzie oblepiła białą polewą hałdy złomisk, pnie drzew na skraju puszczy, oddawna zwarzyła trawy na połoninach i zawczasu skoszonych „carynkach“. Nagle w nocy napłynęły od gorgańskiej Sywuli ciężkie chmury, sypnęły śnieżycą i w mig jeden białą, puszystą gugłą okryły Czarnohorę od wierchów do dna najgłębszych wąwozów, gdzie zdjęte przeżeniem przycichły potoki warczące. Coś krąży dokoła wierchów, szybuje nad nimi i macha białemi połami szaty, od czego wiatr powstaje mroźny i kłujący. Wszystko dokoła znika pod białą powłoką, jarzącą się w słońcu milionami skier i ogników, nawet w nocy, gdy miesiąc obiega ziemię, świeci się biały płaszcz gór tajemniczą poświatą niebieską, jak bezdenne „niawek“ żrenice. Znikają pod osypami śnieżnymi rumowiska szare, ostre iglice Szpyci i jałowy Reber wał. Każda skała, kamień, zwały głazów, przez lodowiec w popłochu i nieładzie porzuconych, okryły się puszystymi czapami — okrągliemi jak olbrzymie jajo. Czapy osiadły też na łapach świerków i rozłogach jodeł; na czarnych gałęziach buków i olch wykwitły pęki sady białej; każdy badyl i najcieńszy pęd zgrubiał i zbiałał

*Kociół pod Pożyżewską*



Widok z przełęczy Turkulskiej

od szronu, niby alabastrowem oblepiony kwieciami. Miękkimi zwojami srebrnego płaszcza otuliły się „plecy“ spychów, a na wierzchołkach najwyższych urosły śnieżne wały, łagodne i niepokalanie białe lub też wygięte kulistym łukiem ostro przez wiatr podciętych wydm o grzywach rozwichrzonych w godzinie zamieci. Gdzie w zaspy śnieżne uderza smagający je wichur, — tam i sam wyziera czarne igliwie kosówki i kiwają się w jego podmuchach nagie gałęzie olszowe... Szczyty, połoniny i łąki, po „rozczolynach“ leżące, — to jedna bezkresna, milcząca pustynia biała, gdzie tylko duchy niewidzialne wyciskają bezszmernie nikomu nieznanym śladom swych stóp. Z krawędzi nad kotłami, z obłąków i urwisk pionowych, grożą upadkiem stwardniałe, a jednak powolnie spływające grube, wygięte ku dołowi zwisy zlodowaciałe. Śnieg prószy bez przerwy! Potworzyły się już wydmy ogromne pod czarną ścianą borów. Pod brzemieniem białej i martwej pokrywy pochylają się i z trzaskiem żalonym padają cienkie pionki młodych smereków i buków; jakgdyby uginają się i obniżają szczyty i przełęcze



Odlamy lawiny

Czarnohory, aż dreszcz przejmujący wstrząśnie jej skalnym grzbietem. Wtedy w różnych naraz miejscach zrywać się poczynają wiszące nad bezdnią spływy śnieżne, szybciej suną po zlodowaciałej nawierzchni skalnego zbocza białe, bezszmerne pola, aż runą nagle. Groźna lawina ślizga się stromemi spychami, porywając kamienie, piargi, płachty darniny, i spada na dno głębokich kotłów, rozbijając się tam na potężne bloki, ni to biały i połyskliwy marmur z Karrary, gdzieindziej na rozsiane w nieładzie mniejsze bryły i zwaliska osypów potwornych, druzgocąc świerki i pod warstwą swoją grzebiąc kosówkę, odłamki piaskowca, a wypełniając głębokie wąwozy, szczeliny i żleby szerokie, gdzie przetrwa nieraz aż do nowej zimy.

Diwnie trwożnie szemrzą bory żałobne, gdy wicher halny strząśnie z ich łap czapy białe, sadz — z igliwia, szron — z pni stwardniałych. Smętne i milczące, ni to bojąc się poruszyć i głośniejszym odzewać się poszumem, nie wymachują już łapami i głowicami nawet nie kiwają — sztywne, zamarłe. W dni pogodne i w noc ciche, uroczone wyraźniej dobiegają z kniei różne odgłosy — zgrzyt śniegu pod racicami jeleni, ciężkie jego skrzypienie pod szerokimi stopami burego kudłacza, szmer ostrożnego truchtu wilczego, tchórzliwe dyndanie lisa, ciche prychanie rysia i syk najdzikszego wśród nich — żbika, łakącego świeżej, gorącej krwi; w niższych



Howerla widziana z Koźmieskiej



Nawisy pod Howerlą

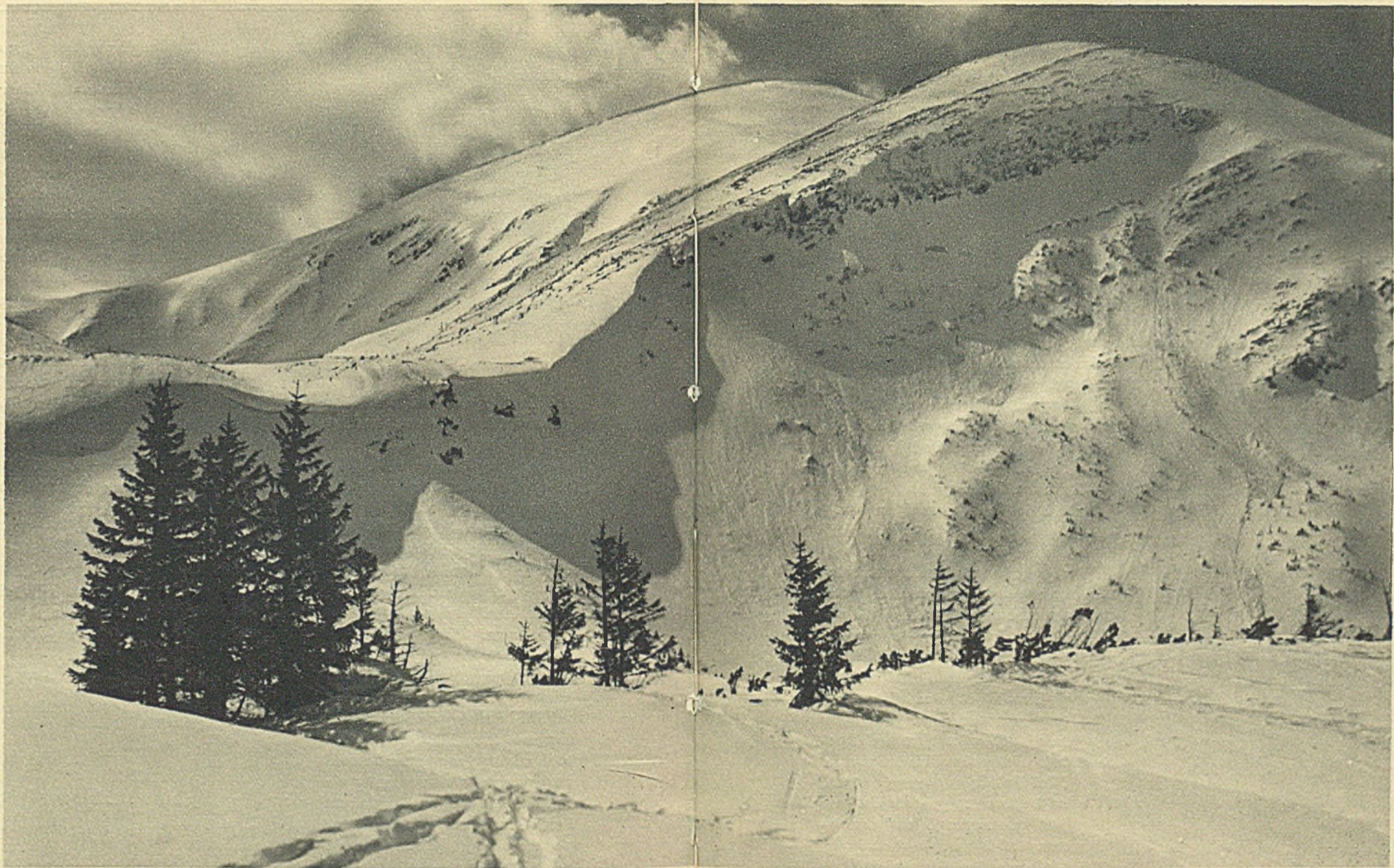
nach, szukając paszy; wilki grasują po zaroślach w pobliżu posedeków gazdowskich; łasice i kuny wślizgują się pod chaty, gdzie szczury i myszy mają siedlisko. Toteż w dzień i w nocy ujadają, warczą i wyją psy czujne i złe... Ujadają też z innej przyczyny... Po białych zboczach gór i po grani czarnohorskiej coraz częściej bowiem majaczą dalekie, drobne cienie, ciemne punkciki, szybko biegnące od szczytu do szczytu.

Tam na mglistej pustyni — silni i odważni ludzie białym śladem nart, ni to lemieziem ostrym tną pola śnieżne.

Nie po piękno krajobrazu przybyli tu z dalekich miast zgiełkowych i zadymionych, bo prawie jednakowy wszędzie roztacza się przed nimi widok — czarne ściany borów i białe płaszczyzny. Wieczorem chyba, gdy na zachodzie gaśnie słońce, — zaróżowia się wierchy czarnohorskie, szkarłatem się powłoką i fioletem, ale w tych krótkich chwilach zdążają narciarze do kolib i schronisk, a nawet, gdy nie ma innego wyjścia, — do staj i szałasów pasterskich, aby wypocząć po ciężkim i długim biegu, ukryć się przed groźnym



Pod nawisem



Czarnohora w bieli —

— kotły pod Howerlą

wiatrem nocnym i ogrzać przy piecu lub watrze skrzepić na mrozie ciało. Nie krajobrazy tylko pociągają tę młodzież niby nowe duchy gór zjawiającą się na wysokich graniach, wąskich krawędziach nad urwiskami, po śnieżnych pustyniach połonin i po plecach kotłów. Coprawda — w południe przed oczami narciarzy płoną wspaniałe białe kopuły Howerli, Brebenieskulu i Popa Iwana, ale rzadka tylko spojrzą oni na tę bajkę białą, ogarnięci szaleńcem przestrzeni i żądzą zawrotnie szybkiego biegu. Uwaga ich, skupiona na czyhających w górach niebezpieczeństwach, odrywa ich



Zuchwały skok



od cudów Czarnohory, przybranej w skrzącą się djamentami szatę zimową. Muszą bowiem bacznie śledzić narciarze, aby wyszlizgane płozy w zwarze śnieżycy zlodowaciałej nie dotknęły szreni na ukośnym płaju nad „berdem“ lub nie wcięły się w śnieżne nawisy, niczem nie podparte, aby na trawersie stoków, czy przy telemarku zuchwałym nie popchnąć lawiny, a przy skoku, co niby drapieżny, orli lot, nie trafić na słabo ośnieżone hałdy złomisk i nie wpaść na nietrwały jeszcze zwór tunelu śnieżnego, w którym pędzi potok i jeżą się ostre kamienie. Nie! Pościg za piękną naturą, za bezkresem przestrzeni nie jest głównym celem narciarzy. Oddają się oni najpiękniejszemu, najdumniejszemu

sportowi, co żąda wyostrenia i spotęgowania wszystkich zmysłów i sił. Tu w górach, mknąc w szalonym pędzie bez dróg i znaków, okryci śnieżną kurniawą, obojętni na zięjące, przepastne „jyzwory“, strome spychy i nagłe urwiska, czują, jak raduje się ich dusza, gdyż wie już, że wszystko, niby najlepsza i najsprawniejsza maszyna stalowa, działa dokładnie — mięśnie nóg, płuca, serce, oczy, kierująca wszystkim woła i myśl błyskawicznie szybka i nie znająca lęku. O zmierzchu, gdy już granatowe cienie wypełnią po brzegi najgłębsze wąwozy i wchłoną ciemność borów, gdy zgasną szczyty, upieszczone



Czarnohora ośnieżona śni

ostatnim promieniem tonącego na zachodzie słońca, kiedy to pod wierchami snuć się poczną białe smugi i kłęby obłoków, co to niby kierdel owiec białych rozcieka się po zboczach i zsuwa po plecach kotłów, gdy na ściemniałem nagle niebie tam i sam migotać poczynają gwiazdy, a księżyc nieśmiało jeszcze posrebrza ośnieżone strzały świerków, przy wiatrze, płonącej w kolibie, zgromadzona brać narciarska gwarzy spokojnie.

O świcie po szlakach i ścieżkach rozproszą się wszędzie narciarze. Otwarta dla nich droga, bo płozy gonne, zgrzytając cicho po dżamentowej naledzi, wszędzie się prześlizgną i do najdalszych dotrą zakątków. Toteż narciarze zaglądają do grazd i chat huculskich;



Mali Huculi sposobią się do —

dzielem, na misterne pająki, zwisające z pułapu nawy, na trój- i pięcioramienne świeczniki roboty mistrzów huculskich, a przede wszystkim na tłum rozmodlony, barwny i dziwny mieszaniną typów, wyrazu oczu, postawy i stroju; oglądają ośmioboczne i kwadratowe dzwonice, stojące osobno, ciemne, prawie czarne, rozedrgane głosem łkaniem dzwonów; nie omijają sportowcy najbardziej nędzne życie najuboższe rodziny huculskie... Nie dziw przeto, że kosmate i łaciaste psy gazdowskie szaleją, rwąc się z łańcuchów i ujadając wściekle. Ujadają jednak z innego jeszcze powodu... Ostry ich słuch pochwytuje echa, napływające z dalekiej puszczy. Głosy ludzkie, a pozatem stukot siekier, łomot i trzask padających drzew, jakiś huk, niby grzmot, stłumiony odległością, przeciągły warkot i rwące się od czasu do czasu głucho lub przeraźliwe krzyki. Węszą złe „kotiuchy”, a gdy dobiegnie wiatr od puszczy, połączce im chrapy smolnym zapachem ogniska i ostrego potu końskiego.

Tam w borach oszronionych łęganie — drwale staczają po ryzach dy-

odwiedzają cerkiewki, o dachach, przyczółkach i „makowyciach”, śniegiem i sadią okrytych, gdzie bywa tłumnie w dni świąteczne, bo nietylko gazdowie i gazdynie, ale nawet łęganie i dziewczyny strojnie nie chcą wychodzić na dwór — mróz tam bowiem sroży się i szczybie. Połyskują w świetle jarzących się świec i słońca złocenia rzeźbionych wymyślnie wrót i ikonostasów przed ołtarzem. Patrzą spoważniałe oczy narciarzy na obrazy, niewprawnym malowane pę-



lowych drzewa, ścięte na jesieni, rąbią i piłami podcinają na kamień skostniałe smereki i w „basztannkach“ stare jodły; u podnóża wałą buczynę, aby nie głużyła młodej i szlachetnej porośli. W lasach, na zrąb przeznaczonych, w owych „butynach“, pnących się po bokach gór lub wybujałych na płaskowinach, tkwią „kołyby“. Sześć lub osiem mają one ścian bez okien. W jednorzędowym spadzistym dachu, u szczytu jego piramidy czernieje „prozir“, otwór szeroki, którym dym watry, nigdy nie gasnącej w środku schronu, ulatuje aż ponad szczytę boru. Niziutkie drzwi prowadzą do wąskiej sionki, gdzie drwale przechowują wodę i wszelką „sarsamę“ — piły, gielhiwy, gryfy i capiny dla przesuwania i obracania ściętych pionów i tylko siekiery, z którymi nie rozstają się nigdy, podsuwają pod twarde węzłowania swych pościeli, zwierzchnią wyścielanych.

Od modlitwy zaczyna tam gospodarz — „zawidcia“ pracę w borze, od modlitwy zaczynają ją drwale przygodni, co codzienną pobierają opłatę, i „sykmanycze“, którzy podnajmują się na cały czas trwania porębu. Na modlitwie też się kończy ta ciężka i niebezpieczna robota. W tym jedynym bodaj wypadku milczą stare gusła, bo odzywają się zaledwie trzy razy — w dzień przybycia partji do kołyby, gdy do znaku „zawidcy“ nikt nie ośmieli się wyjrzeć na dwór, i w dzień rozpoczęcia robót sygnałem potrójnego zacięcia siekierą drzewa przy kołybie i drugiego — na samym już zrębie.

— Panie Boże, dopomóż nam tę robotę wykończyć i do domu szczęśliwie powrócić całemu narodowi i mnie! — modli się „sykmanycz“ w zrozumieniu całego znaczenia tej prośby pokornej. Na każdym przecież kroku czyha tu nań niebezpieczeństwo śmiertelne. Może runąć na drwala nagle padający świerk; inny, „gryfami“ strącony



— zawodów szlakiem II. brygady



...i niedziela

ze spychu, podbije go, połamie nogi lub pierś przygniecie ciężkim pionem; urwie się nagle żelazny „rak“, rzemykiem do postoiów uwiązany, a człowiek ze złodowaciątego zeslizgnie się głazu i, zerwawszy się z krawędzi wąwozu, zginie w głębi przepastnej. Inne i bodaj większe jeszcze grożą niebezpieczeństwa przy staczaniu drzewa z lesistych spychów ku kolejkom leśnym lub na „zarinki“ po brzegach rzek, gdzie spuszczonej świerczynej układają w „mygły“, które inni już ludzie posortują na wiosnę, powiążą kłocę w talby i daraby, a kiermanycze spławiają je Czeremoszem daleko, daleko.



Schronisko P. T. T. na Zaroślaku

Zboczami gór przeciągnęły się żłoby rzy z okrągłaków świerkowych, — śliskich, lodem okrytych, bo je kropiwnyk ustawicznie wodą zlewa. Przy tej drodze dyłowatej stoją na czatach sztychary — bacznie śledząc, aby nic się na niej nie popsuło i ze swego miejsca nie wypadało. Gdzieś wysoko i daleko w lesie łeginie zręcznie „capi-nami“ podciągają do rzy okorowane bierwiona, a na dole, gdzie zbudowano, „wełykyj ragasz“ z odskoczną dla nich, gdy drwale gdzieś wysoko nad tem miejscem zepchną je na rzy. Wszystko przygotowane... Zwysoka dobiega okrzyk: „klej-hów!“ Robotnicy przy ragaszu szybko odbiegają i kryją się za drzewami. Odchodzą też sztychary od ryz, a pierwszy z nich, stojący w dole, podaje sygnał: „Kina-a-a-tów!“ Przerzucają go drwale jeden do drugiego, aż dojdzie ta komenda hen — wysoko do początku rzy. Wtedy z hukiem i łomotem, świszcząc i zgrzytając na obmarzłych dylach, mknie spuszczonej belka, wpada na ragasz, odbija się od ułożonych na nim okrągłaków i zatrzymuje się wreszcie. Bywa jednak, że rozpędzony kloc, na zakręcie uderzywszy w burtę rzy, wyskoczy z niej i, lecąc z wy-



Na schyłku zimy

chy szept modlitwy za konającego i jego głośne, urywane rżenie. „Sowało” skończone... Na porębie pozostały tylko gałęzie i kora. Koło rawasza — stopy zrzuconych belek. Podciągają wtedy konie i na krótkich, mocnych saniach — „korczuhach” zwożą okrągłaki do kolejki leśnej lub na brzeg rzeki spławnej.

Na wiosnę inni robotnicy suchymi już gałęziami umocnią obnążony spych, popalą korę i do ziemi nowe ziarna świerków wrzucają z modlitwą. Podniesie się tu po kilku latach młodnik iglasty; w gąszczu jego ukryją się jasno-szare, martwe pnie porębu; zabrną tu jelenie i sarny, a tropem ich nadciągną drapieżniki, wykonując prawo kolejności życia i śmierci — nieśmiertelności szlak wspaniały i tragiczny. Rozbite ryzy spuszczone nadół. Widnieją tylko rowy i doły, któremi z gór biegł żleb dylowany. Na opadłym igliwiu lub w śniegu rdzewieje pęknięte ostrze siekiery. Opustoszała kołyba i już wygasła w niej watra oddawna niepodsykana. Czasami tylko zabrną tu narciarze i rozpalą ją nanowo, klnąc żartobliwie, że dym im oczy wyżera i oddech tamuje. Ona zaś, sycząc i potrzaskując wesoło, płonie, grzeje, oświetla czarne wnętrza „kołyby” i coś opowiada, opowiada bez końca. Może o młodym szty-



Przedwiośnie



Władysław Jarocki:

charzu, którego próżno na wiosnę oczekiwała dziewczucha, wychodząc za ostatnie worynie wioski, i, dłonią zasłaniając oczy przed blaskiem, patrzyła na ciemny bór, co wbiegał na grań daleką? Może tajemnicę wielką zdradza, że inna jakaś dziewczucha, wzdychała długo do „sykmanycza“, aż wyznał jej miłość swoją, gdy szedł na poręby; że ma-ryla potem o nim, nie śpiąc i miotając się po nocach. Nie powracał

„Święcenie wody“

jednak, choć doszły ją wieści, że inni łeginie przeszli już płajami do domu. Wtedy w owym dniu grudniowym i mroźnym, gdy czarodzieje obchodzą swój straszny rok nowy, skorzystawszy, że gazda — ojciec do Żabia w jakiejś tam sprawie z matulą pojechał, doczekała się północy i sama jedna w pustej chacie, w czarnej czeluści pieca zapaliła dwie świece i, patrząc w mrok sieni, szeptała groźnie:

— Jeżeli żyjesz — pokaż się, łeginiu wykochany, jeśliś zmarł gdzieś tam na butynie, przy ryzach lub pod ragaszem — to szczeźnij z mego serca i krwi, jakieś szczeź z tego świata!

Długo jeszcze szeptała dziewczyna jakieś czarowne i straszne słowa, a, gdy nie zamajaczyła w mroku sieni wywoływana postać łeginia, przeniosła świece na stół i lkać poczęła, łzami gasząc palący ją płomień miłości i tęsknoty... A może szepce watra o tem, jak jakiś łegin zapukał do okna gazdyni-wdowy i mruknął głosem smutnym:

— Petro nie powróci... Śnieżyca szalała, gdy zerwał mu się „rak“ nad „jyzworem“ głębokim... Nie powróci wasz syn, „nieniu“...

Kto wie, czy płomienie nie syczą też o tem, jak to przedwczoraj podczas „mraki“ i zadymki „tot wełykyj“ — niedźwiedź zajrzał do kołyby, a, nic nie zwęszywszy, bo łeginie oprócz szczypty soli nic na półkach nie zostawili, sapnął i — po-o-szedł na kiczery!...



*Dr. Tadeusz Smoluchowski
pionier turystyki narciarskiej
w Karpatach wschodnich*



Góry czywczyńskie

CZĘŚĆ CZWARTA

GÓRY CZYWCZYŃSKIE I HRYNIAWSKIE

ROZDZIAŁ PIERWSZY

KU POŁUDNIOWYM ROZROGOM



Na Stohu

Od kamiennych iglic Szpicy przez przełęcz Smotrca biegnie szlak ku dolinie Czarnego Czeremoszu. Tu pomiędzy ujściem potoku Ludowca i Szybenego wśród rozległych lasów, wbiegających na strome zbocza gór rozsypały się na dużej przestrzeni nieliczne chaty Jawornika. Przy drodze — w cieniu drzew stoi cerkiew i stara obok niej dzwonnica. Na łagodnych uskokach widnieją ogrodzone caryny i drobne zagony ziemniaków. Na spokojnych płosach przy brzegu Czeremoszu wypoczywają daraby, oczekując wielkiej wody,

która je porwie, gdy wrota klauzy otworzą się na Szybenym. Pierwotne, zda się, lasy otaczają Jawornik, Lasy te trudno dostępne obfitują w zwierzęta łowne i zasługują na utworzenie w nich rezerwatu. Nadleśnictwo w granicach swoich prowadzi szeroko rozplanowane roboty leśne, wykorzystując spławny szlak wodny. Kamienista, pełna wybojów droga kołowa biegnie dalej brzegiem rzeki. Na zakrętach drogi, spoza niższych lesistych gór wylaniają się połoniny, szczyty Stajek, Smotrca i Ludowej. O kilka kilometrów dalej — do Czeremoszu, wijąc się wśród zarośli, wlewa się potok Szybeny,



Na szlaku drogi ku południowemu rozrogom

wypływający z jeziora tej samej nazwy. Łożyisko potoku, przecinającego zalesione zbocza górskie, w tem miejscu, gdzie zbiegają się odnogi Popa Iwana i Stohu, przegradza tama — klauza, za którą u stóp Munczelyka leży głębokie, zagarniające 40 morgów jezioro o pojemności 400 000 metrów kubicznych. Spiętrzone klauzą wylewa swe wody do ujściowego koryta Szybenego poczem w cztery godziny dobiegają one do Żabia. Spokojne i ciemne w otoku lesistych brzegów, zawsze zadumane jezioro, pojone zimnym wartem potoku, który zebrał na zboczu Stohu i Pop Iwana bijące z ich piersi źródła ożywcze, ukrywa w swej toni kryształowej niezliczone stada pstrągów i głowacic. Wpływają one stąd do Czeremoszu, gdzie

rybacy w dzień łowią pstrągi sakami, węcierzami i „werszkami“, a w nocy, świecąc sobie łuczycem, po szypotach i „kurbałach“ ościeniami starodawnymi biją głowacice i lipienie, zaczajone wśród głązów i zielonego gąszczu traw wodnych i śliskich porostów.



Jezioro Szybene

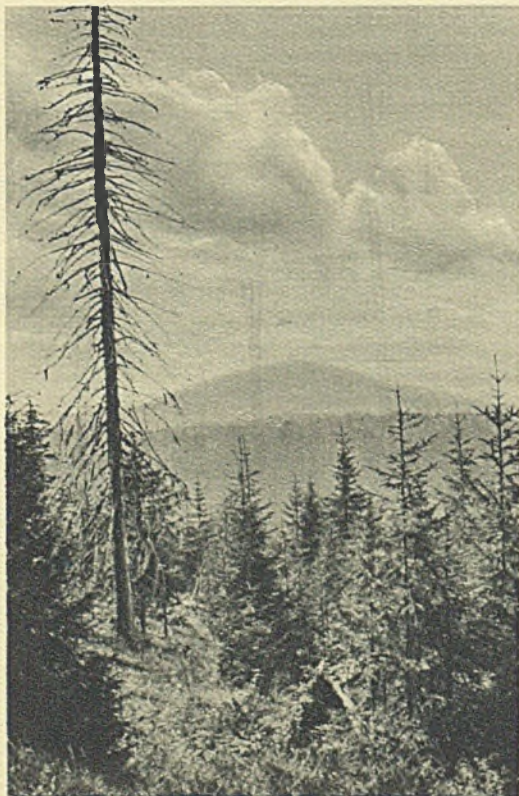
Na zachodnim brzegu, gdzie na bagnisku wybujała — olszowa „dżemora“, stanęły ściany trzciny i sitowia, rozlegają się pokrzyki dzikiego ptactwa wodnego. Kwaczą kaczki, ochryple beczą kszyki, kuliki jęczą i huczy bąk. Najczęściej jednak taka tu panuje cisza głęboka, że mimowoli nawet rodzi się myśl o ukrytej w toni baśni. Istotnie — łeginie, przechodząc płaczkami po zboczach Munczetyku, gdy zbiegają z połonin Regieskiej i Ruskiego Działu, przysięgają, że widzą koła, rozplywające się po ciemnym zwierciadle wody, a nawet złociste włosy rusałki, lub jej wabiące białą ramię nagie, bez plusku i bryzg tnące toń jeziorną. Rybakom, ukradkiem spuszczać mając na dno sznury z hakami, wśród zatopionych kłód i kamieni majaczy nieraz kudłata, zielona głowa „wodianika“, a w odmęcie czarnym poświęcą zwodniczą świecą się czyjeś oczy otchłanne. Starzy ludzie pamiętają groźny dramat, który widziały stare świerki, nad Szybenym gwarzące. Razu pewnego niedźwiedź skradł się tam do buhaja, co się odbił od stada i samotny błakał się po puszczy. Skradł się i skoczył mu na grzbiet — lecz byk wściekły od bólu i ślepy z przerażenia poniósł drapieznika. Rozsadzając zwarty



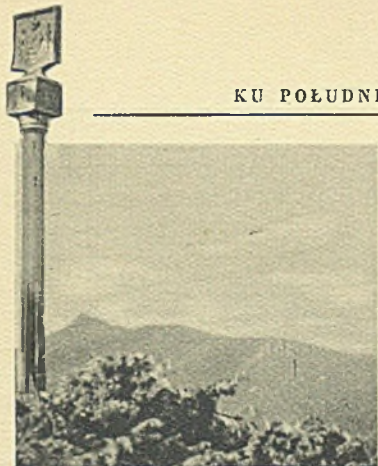
Na Białym Czeremoszu

haszcz podszytu i robiąc skoki szalone po stromym zboczach góry, dobiegł do urwiska i wraz z wrogiem runął do jeziora, w miejscu najgłębszym, zazajonem przy skalnej zerwie pionowej...

Od ujścia Szybenego najmarniejszy bodaj szmat drogi pobrażnej dobiega do Burkutu przez przełom Czeremoszu wąską dolinką leśną, pomiędzy niezaludnionymi uskokami Łedeskuła i Kiernicznego, a wielkimi połoninami hrynawskimi. W głębi ciemnych szczelin, któremi zbiegają potoki, tam i sam na lewym brzegu doliny uderzają jaśniejszą od świerków zielenią trawiastych szczytów zalane słońcem skrawki połoniny Łukawicy, na prawym — połoninny wierch czywczyński. Wpobliżu schroniska i zabudowań leśnictwa hr. Skarbka z krystalicznego rdzenia Karpat biją „cudowne“ źródła burkuckie, alkaliczne szczawy żelaziste, niedawno jeszcze — cel dalekich nieraz wędrówek ludzi, szukających tu uzdrowienia. W naszych czasach, nikt już nie przyjeżdża tu na kurację. Różne na to złożyły się okoliczności — a ich przyczyny szukać należy w nieobliczalnym chaosie powojennym. Pozostał jedynie dom schroniskowy P. T. T. i stara, upstrzona setkami podpisów altana nad głównym źródłem burkuckiej szczawy. A dokoła nasępił się las stary i zwarty, w nim zaś nietrudno dojrzeć ścieżyny — wydeptane przez sarny i jelenie, a czasem i wilczy trop odcisnę się na jakimś moczarze, boć przecież



Czywczyn



Na rumuńskiej granicy

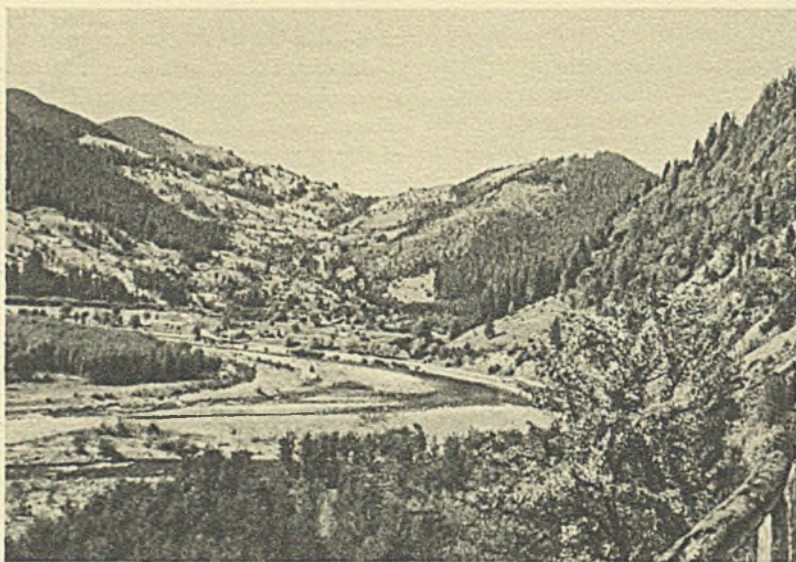
gór Czywczyńskich — Budyjowska Wielka, Popadja, Łostun, Purul... zielenią się rozslonecznione połoniny Hnitesa i Komanowa, ponad całym zaś krajobrazem stanął władca i mocarz — Czywczyn, co wyrósł tu niegdyś w zaraniu dziejów ziemi z warstw wulkanicznych, kryjących w sobie złoża srebra.

Z Burkutu coraz głębszą i węższą doliną Czeremoszu, wśród lasów wspaniałych i dzikich, ponad którymi zrzadka wyjrzy jakiś wyższy szczyt, prowadzą płaje przez puszcze i połoniny na zbocza Czywczynu z jego grupami skał barwnych. Wysmukły i wyniosły wyrasta on jak wieża ponad głęboką doliną Wazery w obliczu Alp Marmaroskich z ich różnorakimi wierzchami i uwieńczonej trzema szczytami barjery Torojagi. Błękitnieją Alpy Rodniańskie i zieleńią, radując wzrok, umęczony niemą grozą kamiennych wałów, promieniste połoniny. Przez grzbiet Czywczyński ciągną się te połoniny do uskoków Popadji i Albinu, z zaroślami dzikich porzeczek, wabiących ku sobie niedźwiedzie, i dalej do Łostunia, Pirje i Purulu, aż roz płyną się w szmaragdowy bezkres połonin Komanowej, Palenicy i Hnitesy, gdzie południowy kraniec Rzeczypospolitej, niby lemieszem potwornego pługa, wcina się w dawną ziemię wołoską, którą siwowłosi Huculi za swoją poczytują ojcowiznę. Na tych zielonych, falistych połoninach o zboczach to stromych, to

niedaleka stąd droga do połonin Łukawicy i Szekierówki, gdzie szary drapieżca węszy owce i kozy. Warto stąd dotrzeć na płaskie granie tych połonin, bo wspaniała roztacza się z nich panorama. Woddali wznoszą się południowe grzbiety Czarnohory z mocarną bryłą Popa Iwana; a pobok niego potężny masyw Smotrca, przechodzący w wał Stajek; dalej ku południowi rozpostarty, niby konar nieznanego drzewa fantastycznego, — łańcuch



Przy źródle w Burkucie



W dolinie Czeremoszu

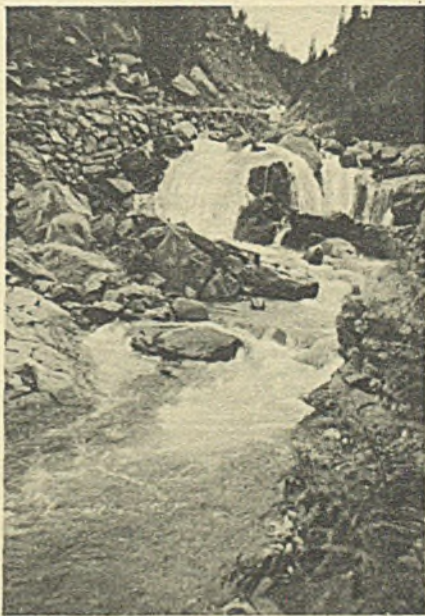
łagodnych, biją źródła obu Czeremoszów Czarnego i Białego, a w głębi ziemi nieznanne jeszcze spoczywają skarby — od legendarnych bogactw Dobosza droższe — jak owe odkrytki manganu pod Chitanką. Piękny i romantyczny to kraj! W lasach i po mniejszych łąkach pasą się tu stada jeleni o wieńcach potężnych, co od pożywnych rozrosły się traw; w zaroślach kosówki legowisko wydeptuje niedźwiedź; w trawach wysokich i w mchach puszystych po lasach wyżynnych gnieźdzą się głuszce. Raj myśliwski! I rajem tym pozostanie, jeżeli ogarną go granice rezerwatu.

Od Czywczyńskiej grani przerzuciły się tu połoniny na prawy brzeg Czeremoszu i po Hryniawskich rozparły się grzbietach. Kto je tu zliczy? Kto nazwać każdą potrafi? Wesnarka, Chitanka, Hostów, Smitenny z wzorowo postawioną bryndzarnią rządową, Pnewie, Czarna Dukonia, Stefulec, Tarnica, Michajłowa i Łukawice, a poza niemi setka innych, gdzie taksamo porykują woły, rżą konie, beczą owce i brzęczą dzwonekami na szyi opaste krowy. Po płajach, bezdrożach i ledwie znaczących się „czapaszach“ odbywają trudne, dalekie wyprawy gajowi i patrole straży granicznej. Po lasach niedostępnych i od oka ludzkiego ukrytych myszkuje

tam kłusownik drapieżny. Od kuli jego i sideł padają niedźwiedzie, jelenie i sarny, kuny i — głuszce-gotury i szaro-rdzawe jarząbki. Na odgłos jego wystrzału wyrusza gajowy — lasu i zwierza obrońca, tropu ludzkiego szuka na perciach piargowych, na próchnicy igliwia i na poduszkach mechowych, a, znalazłszy, bez troski o siebie ściga, niepomny, że za złomem każdym i w gąszczu podszytu oczekuje go śmierć... To też, gdy gajówkę nagle opuści, żona wybiega i z troską i lękiem patrzy wślad za nim, już znikającym w haszczach przedborza. Potem czeka trwożnie, licząc godziny, pełnące jak lata.

W dnie skwarne i w „płowę“, co w rzeki zmienia ruczaje, w mgłę i w śnieżnej zamieci, w mróz trzaskający i wściekle dmącą wichurę wspina się gajowy na strome urwiska, przedziera się przez mrok mateczników i móknie w zimnych potokach, a gdy zwali go z nóg zła ogniewica i niemoc ciężka, albo skrwawiony przyczółga się do progu swojej siedziby, tylko Bóg Wszechmogący uratować go zdoła. Daleka bowiem droga do leśniczówki najbliższej, jeszcze dalsza — do szpitala. Toteż, budząc się i zasypiając, o jedno tylko Boga prosi rodzina ludzi leśnych — o zdrowie... Leśniczowie —

najzaciętsi wrogowie kłusowników, rabusiów i tępicielei lasów również niepewni są ani dnia, ani godziny, wystawieni na niebezpieczeństwo nawet w domach swoich po samotniach górskich, na odludziu, gdzie o każdej porze są na posterunku. Razem z nimi pełni nieprzerwaną nigdy służbę straż pograniczna i policja państwowa, śledząc baczenie, aby nikt rubieży nieprawnie nie przekroczył, aby zbroje i inni zbrodniarze nie prześlizgnęli się poza linię Czarnohory, połonin Czwyczyńskich i Białego Czeremosza, aby przemytnicy nie znaleźli ścieżek potajemnych. Tam nieraz pada strzał i nieraz krew się leje, bo taka to już twarda i ciężka służba na rubieżach



„Huki“ Hramitnego

*Po siano*

Rzeczypospolitej, surowo walczącej z bezprawiem. W walce tej giną, nie żądając pomników, umierają niemal bezmiennie strażnicy graniczni, policjanci, gajowi i leśniczowie, słysząc w ostatniej chwili konania poszum boru, poświst wichru halnego i warkot potoku w łożysku kamiennem.

Warkot ten słyhać z Hnitesy. To potoki Tonki i Czarny mkną do Perkałabu — górnego biegu Czeremosza Białego. Od klauzy na ujściu Prełuczego rzeka staje się spławną; tam kiermanycze szaleją w piennej kipieli wartu. Z połonin ku Czeremoszowi zbiegają ścieżki rzadko uczęszczane, ale od leśniczówki na Jałowiczorze idzie już szeroki płaj, aż ku Hryniawie, gdzie w otoku modrzewi stoi okazałe nadleśnictwo, wpośród łąk kwiecistych, nad Probijną, pędzącą pod skalnymi ukosami Uhrynczyna, Perehrestów i Wielkiej Kobyły. Do tej wartkiej rzeczki z połonin Pnewia mknie potok Hramitny, niedaleko od przysiółka Szykmany, skacząc z potwornych głazów wspaniałym wodospadem. Pomiedzy obu Czeremoszami wcisnęła się hryniawska górzysta kraina, przecięta głębokimi doli-

*Pastuszkowie...*

nami licznych potoków, na osobne grupy górskie, z panującymi nad niemi szczytami Tarnicą, Stefulcem, Babą Ludową i Hostowem. Krótkie naogół grzbiety Hryniawskie w kierunku zachodnim i południowym — stają się coraz wyższe, aż osiągną 1500-1700 metrów, gdzie kończą się już bory świerkowe i zielenią bujnych traw uśmiechną się wsołu-



...i pasterze

cu połoniny. Ile ich tam jest? Wiedzą to dokładnie jedynie gazdowie żabiowscy, krzyworówniańscy, krasnoilscy, jaworowscy, kosmacy, a nawet dalsi jeszcze, bo aż spod Kołomyi pędzą tu swoją wychudłą przez zimę „marżynę“ na „litowyszcze“ wypasowe. Panują tu juhasi-pasterze pod wodzą wataha, strzegą powierzonego im pieczy bydła i przerabiają mleko krów, owiec i kóz na pożywienie i bogactwo Hucułów. Bujna, zielna roślinność okrywa łąki wierchowinne zieleniejące ponad ostatnimi zagonami borów świerkowych i pasm kosodrzewiny. Bydło żeruje wśród zarośli tomki wonnej, szarzyny, wikliny, mietelnicy, „mołoczija“, kapusty zajęczej, koniczyny, kostrzewy i na łąkach, gdzie wyrasta też grzebycznik, chaber, złoto-kwiat koszutka, bliżej zaś wody — śmiałek, „szafran“ i zielona ciemierzycą. Zielonym, kwietnym kobiercem okrywają te trawy i zioła rozległe „kosary-

szcza“, gdzie od brzasku do zmierzchu panuje ruch i wre praca i nic przerwać jej nie zdoła ani płomienny skwar, ani „płowa“, w gromy brzemien-
na, ani „negura“ mglista, ani nawet zadymka śnieżna i chyba tylko rozsza-
lały wichur halny zmusi „skotarów“ i owczarzy do pozostawienia bydła w ko-



„Na łonie przyrody“

szarze. Może ono bowiem wtedy zerwać się z plaiczków nad „berdem“, a i psy, węch od dujawicy straciwszy, nie uprzedzą wczas, że od lasu rwie ku kierdelowi rozzuchwalony głodem i niepogodą bury „wujko“—niedźwiedź lub łupieżca szary — zawsze niesyty wilczura. W jasne dnie słoneczne rozlegają się tam dzwonki krów, ciężkie stąpania wołów, rzenie koni, beczenie owiec i do śmiechu podobny kozi mek. Po górach tłucze się echo okrzyków pasterzy: „ihiné! wsknia! hyj! hajda-hej!“ Szczekają psy, uganiając się za rozpierzchniętym bydłem... Gdzieś głęboko w wąwozie dzwoni ruczaj i pluska cicho źródółko, biegnąc po korytku „ciurkała“... Dobiega głuchy poszum świerków, czasami łomot toczącego się głazu, ale wszystkie dźwięki wchłonie bez śladu szafirowa pieśń nieba i złocista — słońca. Wielka czarodziejka-natura gra tam, przebierając palcami struny promienne, naciągnięte na harfie błękitnej, czulej na dźwięki niemilknącej nigdy melodji życia.

*Drwal*



„Słuchajcie, góry i doliny...“

ROZDZIAŁ DRUGI

„JAKAŻ TOTA POŁONYNKA NA WESNI WESEŁA“



Przyjaźń

Na wysokich szczytach jeszcze śnieg połyskuje, lecz ściemniał już; szerokie wyrwy i głębokie żleby poszczerbiły jego nawierzchnię białą. Jeszcze dzień lub dwa, a ciepłe podmuchy z południa zmuszą jego skrzepłą nad ranem skorupę do rozsypania się w dzwonne igły lodowe, co opadają, topnieją i szybko w ziemię wsiąkają. Już warczą i bulgocą wybiegające spod śniegu ruczaje. Prełuczny, Srybnik, Hostowiec i inne potoki koryta swoje wypełniły wodą



Przy szalasię pasterskim

po brzegi. Huk na Hramitnym szaleje tak, że aż drżą w nim głązy olbrzymie. Probijna i „biła rika“ w mętnych wirach i lejach piennych, unosząc piony świerków i krzaki, z brzegów zerwane, mkną z pluskiem i sykiem gniewnym. Na świerkach strzelają ku słońcu zielone świeczki; na bukach i olchach skrzą się świeże listeczki, lepkie jeszcze i wonne. W zielonem runie po borach wyżynnych kują pieśń tajemną głąszce, całe w błyskach migotliwych swych pancerzy bogatych, ślepe i głuże w uniesieniu namiętnem.



Stary juhas

Furkoczą jarząbki, uganiając się po „zharach“ i tokując na suchej leżaninie. Z trąbieniem trwożnym i ostrym skrzydeł poświstem przeciągnęły spóźnione klucze gęsi i kaczek, na północ swój lot skierowując. Biały Czeremosz, znużony własną wściekłością i pędem zawrotnym, opada wreszcie i po zakosach rozplywa się w plosa spokojne. Na połoninach śnieg zwolna zanika, spod topniejących krawędzi płacht śnieżnych wizerają krokusy, wpatrzone w słońce, i wtedy ożywia się bura szarzyżna traw,

mrozem zwarzonych, bo wybijają się już kępy i pasma soczystej zieleni, a w niej ni to na kobiercach wzorzystych tkacz niewidzialny rzuca plamy jaskrawe i zawile desenie białych, żółtych, niebieskich i krwawych kwiatów. Za ostatnimi zagonami borów, za czarną poroślą kosówek cisza panuje na połoninach. Chyba zaszemrzą suchymi gałęzmi i poruszą brodami porostów „kumbuki“ — świerki niewysokie, rozłożyste, o wierzchołkach niegdyś uciętych ostrzem siekiery. W miejscach osłoniętych i zacisznych, w pobliżu płajów i wody,



Koszera

ciurkającej do żłobu, przytuliło się stoiszcze na rozległym kosarzysku... Od zielonego tła odcinają się czarne plamy staj z wysuniętym wprzód poddaszem i ciemnym otworem drzwi niskich, krzyżem znaczonych. Po połoninie, w otoku zagród ze ściętych najeżonych gałęziami świerków, rozrzucone koszary dla bydła, nędzne szalasy juchasów, dojarnia dla krów i „strunka“ — dla owiec. Wczesną wiosną, gdy pastwiska zazieleniły się już bogato, przybywa na połoninę jej władca, kapłan chrześcijański, ale jeszcze bardziej — czarownik i mag — stateczny, poważny gazda — watah wprawny, bywały. Konie stoją przy zagrodzie pod jukami, dysząc ciężko. Nietylko jednak

wory wiszą na nich, ale piętrzy się cała góra beczek, dzieł, berbenic, kotłów żelaznych i wszystkiego, co będzie potrzebne na połoninie. Do późnej nocy krząta się watah po staj, sprząta watahnyk, gdzie będzie pracował i spał przy ognisku, ustawia różne przedmioty na półkach i ławie... drewniane zaś bodnie — w komorze... Szepce przytem modlitwy, przeplatane zaklęciami dalekich przodków — pogańskich jeszcze pasterzy.

Juhasi to naprawiają swoje stajki przy koszarach i przygotowują sobie posłania z gałęzi i trawy, to wzmacniają zagrody, aby wilk i niedźwiedź nie przedarły się przez nie; sprawdzają szerokość przejść w „struncie“, ostrzą siekiery i kosy, a ten i ów zatrąbi w róg — „rih“ i słucha, jak echo mknie po wierchach i stacza się w czarne głębie nizin; inny wypali z pistoletu — na postrach drapieżcom, albo i tak — z nadmiaru radości, że niebo

blisko czuje nad sobą. Szczekają i węszą dokoła kosmate psy, odnajdując ślady świeże jeszcze i niepokojące. Tej pierwszej nocy nie może usnąć stary watah, dziwnie wzruszony. Jakaś myśl dręczy go, jakieś głosy odzywają się w duszy i zakłócają ciszę na wyżynie, choć nawet psy, znużone daleką drogą i obieganiem okolicy, śpią, jak zabite. Wreszcie podnosi się watah z pościeli i, przeżegnawszy się pobożnie, wychodzi cicho ze staj. Noc siwieje. Na wschodzie — ni to łuna daleka... Watah idzie na najwyższy garb połoniny i, stanąwszy tam, obraca twarz ku wschodowi. Niby czarna, fantastyczna skała, wyrosła w mętnej mgłę, majaczy tam — ogromny i nieruchomy.



Niedziela

w górach

i naodlew wrąbał siekiery przy watahniku? Czy utrafił w środek, rzucając podkowę na żegliszcze? Czy szybko rozniecił watę „żywą“? Czy nie zapomniał czegoś, kropiąc wodą, zebraną z węgli odgaszonych? Czy nie zgasło ognisko, w bramie zagrody rozpalone? Czy pamiętają juhasi zaklęcia od uroku i czy mają talizman z gąsienic, aby od pasterza nie odbijał się kierdel?... Wzdycha watah z ulgą, bo niczego nie opuścił, każdego obyczaju dopilnował. Znowu wstaje i idzie do zagrody — do jarni i potrzykróć zacina ją siekiarą, która lyska, bo już słońko ze zwojów mgieł wyłania rumiane oblicze... Za chwilę pobiegną po wierchach ciągliwe dźwięki trembity.

Wiatr rozwiewa mu długie włosy i wąsy i igra z wypuszczonym nawierzchn kraszanic podolem „mazanki“ — koszuli, wygotowanej w łoju i maśle. Dreszcz przebiega po plecach, bo chłodem dyszą śniegi, ukryte po rozłogach... Nagle rozdziera się szara zasłona na wschodzie i szerzyć się poczyna wąska narazie szczelina, „czerwłena“ kreska, pełna złota płynnego i żywego szkarłatu. Wargi wataha zaczynają szeptać hymn pradawny, niewiadomo przez kogo i kiedy ułożony w godzinie przedświtku i w porywie niezgłębionej tęsknicy: — Hej, skały, skały dalekie! Hej, morze, morze — i zimne i sine, i bardzo dalekie!

Widać, błaga on skalne mury i toń morską, aby nie więziły dłużej słońca, moc dającego, życie i radość bytu... Powraca watah do staj, kładzie się na chwilę, aby przypomnieć sobie, czy wszystko uczynił, co z mroku wieków od dziadów się wywodzi. — Czy dobrze

To watah juhasów budzi, bo dziś jeszcze ogrodzić muszą łąki pod „kisznicę“, gdzie staną stogi siana na przyszły rok, i zbutwiałe naprawić koryta pod rynną „ciurkała“. Przez cały dzień obchodzi watah połoninę. Zapamięta on sobie dokładnie, jaka w każdym miejscu trawa wyrosła, gdzie ma puścić woły, krowy, konie, owce, a gdzie są dobre „zhary“ dla kóz, dla wieprzków — mokradła, a gdzie najlepsze dla koni „szwary“ wybujały — ostre i sytne. Wszystko zbadawszy, podchodzi na skraj boru, dłoń do ucha przy-



Malowana stajnia

stawia i słucha... słucha... Po drogach, po brzeżem Czeremoszu, po płąjach, perciach, a to i wprost przez puszcze i dzikie złomiska sunie z dalekich i bliskich zakątków „chód połoninny“. Gazdowie i gazdynie w kwietniu jeszcze poznaczyli swoją nagle ożywioną i niespokojną już „marżynę“; gospodarz, rozebrany do naga, policzył owce i kozy; poczynili ludziska wszelkie sztuki czarowne, odpędzili „uroki“ i nakarmili bydło osiemni gniazdami z woskiem i solą, aby „ostre“ było i „werhle“ i... czekają „bożego czasu“ i znaku...

Wreszcie ruszają gaz-

dowie, wraz z resztą juhasów, pędząc bydło na dalekie, wysokie połoniny, gdzie watah wygląda ich niecierpliwie. Rozlega się gra na fujarkach i trembitach, okrzyki radosne, strzały i pieśni połoninne: „Oj, pidu ja w połonynku, tam zatrembitaju, szczoby mene buło czuty na dewietu staju“. Doszli wreszcie... Watah przepędza bydło przez watrę w bramie zagrody — dawny zabieg oczyszczający, zwykły na wschodzie azjatyckim i, być może, przez Mongołów Batyjowych zaniesiony tu z nad Orchonu i Kerulenu —



Podój owiec

— na szkaberce. Jakiegokolwiek oszustwo staje się niemożliwym, ponieważ połowa tej szkaberki, używanej również przez Kirgizów, Baszkirów i Tatarów, tak zwana „kołoda“, będąc odpowiednikiem „rewaszu“, wręczonego gazdzie, pozostaje w ręku wataha. Na jesieni Huculi przyjdą z temi drewniakami na połoninę, aby się upomnieć o swoje bydło i zabrać przypadającą im część nabrała, bo wszystko tajemniczymi znakami jest zapisane na „rewaszu“.

Wreszcie odchodzą gazdowie, żegnając bydło i szczególnej opiece juhasów powierzając swoje bogactwo czworonożne. Gdy migną na dalekim załomie płaju i zaczną zapuszczać się w mrok puszczy, których z pastuchów zadmie w róg czy trembitę lub huknie, aż mu góry i bory echem odkrzykną i — rozpocznie się prawdziwe „litowyszczcze“ — wypas połoninny. Juhasi wypędzają bydło na wskazane przez wataha miejsce i pilnie strzegą, aby się nie zerwało ze stromej perci, nie odeszło daleko, gdzie może zcaić się drapieżny zwierz. Na sygnał trembity powracają do „strunki“, gdzie trzy razy dziennie doją owce i kozy, i do zagrody dla krów, dojonych rano i wieczorem. Juhasi zlewają mleko do ogólnego naczynia, zwanego „putyna“ i wnoszą do stai — tej fabryki, kierowanej przez wataha.



Towarzysze

Tu podpuszcza on mleko glegiem lub kupnym fermentem, ścina je na ser i odcedza serwatkę. Ser osuszony — „to bundz“ i dopiero po rozrtaaniu go „brajem“ bukowym i posoleniu otrzymuje watah bryndzę, nabijaną w drewniane berbenycie i bryndzienki. Gotuje potem władca połoniny serwatkę, wydobywa z niej „wurde“ — ser posledniejszego gatunku i spływającą z niego „żentycię“ — kwaśną jak ocet, a „dobrą na serce i na żołądek“, co stwierdzili nieraz kuracjusze w Tatarowie, Dorze, Kosmaczu i Jaworowie. Serwatką obmywają sobie juhasi ręce i czerwone od dymu oczy, poją bydło, karmią psy i tuczają świnię. Zwołani do staj na „połudенок“, z radością spoglądają juhasi na wiszące w płóciennych szmatach okrągłe bochny



Na odwiecznym szlaku

bundzu i wurdy i na ściekającą z nich żentycę. Suche już, jajowate bryły sera bieleją na półkach komory, gdzie coraz to przybywają nowe berbenycie z bryndzą, szczelnie zamknięte pokrywami. Szybko i w milczeniu spożywa brać pasterska kułeszę — kaszę z kukurydzy, zakrapiając ją „huślanką“ — skiszonym po zagotowaniu mlekiem, okraszają bundzem lub bryndzą... W święto poczęstuje ich watah smakowitym „banuszem“ — kułeszą, prażoną w śmietanie, a może nawet polewką z wołowiny lub baraniny, jeżeli łeginiom udało się odbić niedźwiedziowi porwanego wołu lub zarznąć owcę, co sobie nogę strzaskała lub na złomiskach rozbiła się na śmierć. Po krótkim wypoczynku znowu wypędzają bydło na wodopój i paszę, dają mu w pewne dni sól, a wszystko z gustami i czarami,

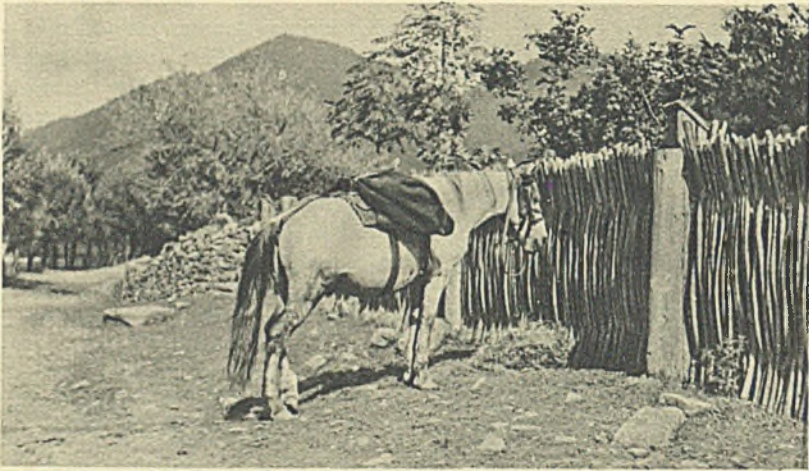


W walce z wichrami

gwizdnie na psy, a te ze złem szczekaniem pomkną ku zaroślom kosodrzewiny i ku borowi, to znów huknie na całe gardło „hau tam“, a to i z pistoletu wypali, w mroku nocy błyszcząszy kraśnem żądłem ognia. Czasami rozlegnie się łomot straszliwy, zgiełk w koszarach, skowyt psów i żalosny poryk bydła... „Tot wełykyj“ przełamał zwalone świerki i porwał zdobycz. Na krzyki stróża wypadają juhasi z siekierami, pędzi watah ze strzelbą. Krzyki, bieganina, strzały, gwizdki, ujadanie psów, ryk wołów strwożonych i chrap koni, czujących niedźwiedzia. Wszystko ma swój koniec na świecie, więc wkrótce urywają się przeklinania i wyzwiska, kładą się znów juha-



Słoneczny płaj



Po powrocie z gór w odwiedzinach...

si i watah, milkną psy i cisza sunie ciężkimi falami z połonin na niższe szczyty, bory i ledwie majaczące w mroku granie grzbietów dalekich. Zapalają się coraz to nowe gwiazdy. Wzdychają konie i głośno „rumygają“ krowy i woły. Noc panuje wszechwładnie i budzi ją tylko głuchy ryk rogu, bo znów zaniepokojony stróż dmie w niego, aby strach od siebie odpędzić i wszelkie licho od bydła. Tak to żyje połonina do późnej nieraz jesieni, gdy już śnieżyce bielieć zaczną



...u dziewczyny

dachy staji, szron posrebrzy każde źdźbełko na pastwisku, a juhasi marzną w stajkach na kość. Wreszcie nastaje radosny, ale i ciężki też dzień „rozłuczińja“, gdy przybywają gazdowie, by zabrać wypasione bydło i umówioną ilość berbenyć z bryndzą. Nowa powrotna fala spływa z połonin do wsi, rozsianych po łąkach nizinnych, po „rozczolynach“ i po dolinach rzek.

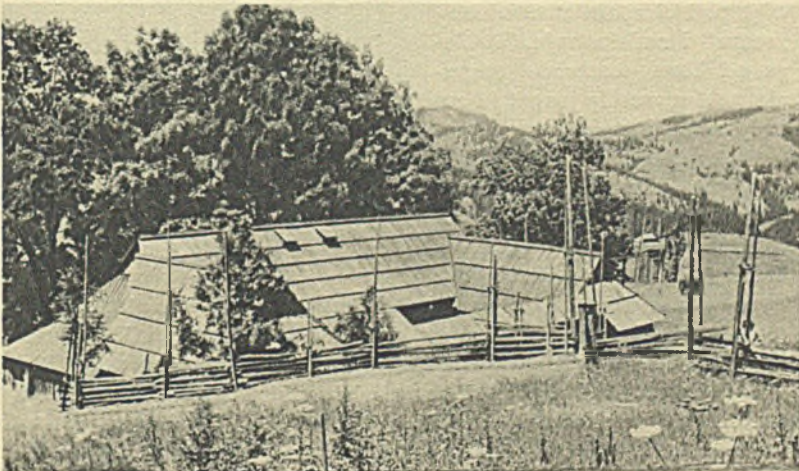
Na wierchu, na kosarzysku, wydeptanem i burem już, pozostaje sam watah z juhasami. Jeszcze przez dni kilka wypasują własną

marżynę, podkarmiając ją sianem i solą. Wreszcie pociśnie silniejszy przymrozek, a zimna „dujawica“ zetnie krew w żyłach. Watah znów się troska i niepokoi. Wypytuje juhasów, czy narobili talizmanów — owego „żyra“ z gąsienic, czy na św. Jana uzbierali ziół czarownych i surowym głosem zakazuje podsycać płomień watry. Śpieszą się wszyscy, aby rzeczy porządnie w „terkiłach“ ułożyć, juki mocno na koniach uwiązać, wymieść



Legiń i dziewczucha

stają, aby nic nie pozostało, i czekają, aż same zagasną ogniska i zimnym, bezbarwnym okryją się popiołem żegliszcza. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na koszarzysko i na dal, co ni to morze — ani brzegów nie ma, ani kresu, — odchodzą pasterze, mrucząc modlitwy i zaklęcia. Straszna to zaiste chwila, bo ledwie opuszczą stają, wbiegnie tam czarna „mara“ — upiór i aż do świtu strzec będzie sadyby pasterskiej. Biada jednak, jeżeli dojrzy gdzieś iskierkę w zagastej watrze, bo rozdmucha ją, roznieci i podpali suchy zrąb świerkowy, a potem — wyć będzie — rada, że widać jej znak kraśny z Żabia,



Grażda — gniazdo ojców i dziadów

Zelenej, Jawornika i Hryniawy. Gniew i zemstę bowiem w piersi nosi czarna „mara“, bo ją ludzie z jej leża w niezmaconej ciszy połonin wyparli dźwiękami trembit, fujarek i rogów, hukaniem juhasów, echem usłużnem i chyżem, szczekaniem psów, myczeniem bydła, strzałami, gorącą, pokorną modlitwą, potęgą czarów i tajemnicą opowieści przy wiatrce wesolo płonącej. Dziwnie drażnią ją te opowieści cudowne, gdyż czuje zła „mara“, że ci ludzie wierchowin nie wierzą, by to wszystko miało się śmiercią zakończyć. W duszy swej i krwi słyszą juhasi żywe głosy tych, co jakgdyby szezeli bez śladu, a przecież z nimi w noc wigilijną przy jednym zasiadają stole i uczą, jak było i co ma trwać przez wieki... Staje więc pod okapem zrozpaczona „mara“ i nadśluchuje. Dobiega od boru posuwiste stąpanie wołów, wesoly jazgot fujarki, poszczekiwanie psów i śmiałe hukanie „hajda-he-e-cj!“

Wesolo tam na plażu!... Watah zarobek oblicza w milczeniu i cieszy się cicho, bo stateczny to i leciwy już gazda.

Zato juhasi, czarni jak czarty, błyskają oczyma i białymi zębami, żartują, podśpiewując i śmiejąc się głośno. Hej tam, nie mają o co się troskać! Zapłacili im gazdowie, zapłaci gospodarz połoniny. Będzie pieniądz, będzie kukurydza, bryndza i żentycia! Będzie za co pójść do karczmy na horykę i hulankę z łeginiami, na zabawę do sąsiadów... Ech! kraśna tam Parasoczka a i Marijeczka... — od dzie-



I. Axentowicz:...

...Kołomyjka

myśl... Zgadnij-że, zgadnij, krasawico, zdomyśl się, Marysieńko luba, dla kogo żywa watra w sercu płonie juhasa? Do kogo tęskniło w ciszy tajemnej? O kim myślało błękitnie, jak te dzwoneczki łąkowe, jak tego nieba szafir? Powiedz-że, luba, powiedz, czy nie o tobie to szeptała mi każda trawa połoninna, warkotliwe dzwoniło ciurkało i świerki gwarzyły pod spychem?...

wuchy oczu nie oderwałby juhas. Zamówi muzykę — zagrają mu skrzypce z basetlą, cymbały z fujarką, a może nawet dudziarz w pobliżu się znajdzie! Pokaże chłopak, co umie! Zaśpiewa, aż ściany drgną świerkowe: „Sida-rida, sida-rida, sida-ridajdana! A konyky woroneńki, ta konyky ryżi!“ — a potem pochwyci Parasoczkę i wytnie z nią kołomyjkę z takimi wykrutasami i przytupami, że aż zakurzy się w chacie! Zręczniej od niego nikt tam nie zatańczy dziarskiego hopaka w prysudy i w tropoty, nikt nie potrafi godniej przejść się „hajdukiem“ i „arkanem“, a w tańcu „na pered“ będzie ślizgać się w tłumie niczem koza wśród złomów. Huka juhas na owce, co z plażu w górę poszły: — „hyś, drobjeta!“ a, gdy nawrócą, marzy znowu o tem, jak spotka Marijeczkę przy studni i podaruje jej baranki i kołaczyki, co w chwilach wolnych narobił z sera, i tak do niej przemówi:

Na połonince czerwone kwiatki, niby gorejące serce moje... Pod połoniną szemrzący bór ni to serca mego westchnienia i tęskny mój žal... Niebo błękitne i niezabudki błękitne, jak serca mego

A może... może lepiej wprost zanucić cicho, cichusieńko, taką oto pioseneczkę: „Oj, diwczyno, diwczynoczko, czy pidesz za mene? Ty ne budesz chliba peczy nikoly u mene“! Widzi siebie juhas jak na jawie... Majaczą w wyobraźni młodego pastucha czerwone kraszanyce i kapczury, nowy keptar, manta, kresania czarna z bajorkami i blachami... a potem „chram“, gdy to na dziedzińcu cerkiewnym pokaże się juhas dziewczuchom i młodocyiom zalotnym w całej krasie i przepychu, — smagły, czarnowłosy, niby z rzemieni spleciony najtrwalszych, a płomienny..., bo ogień przeniósł w sobie z połonin, gdzie serce jego, bijące pod czarną mazanką,



Sianobranie — czas pracy i upojenia

zapomniało, zda się, o krasawicach nizinnych, o ich głosach głębokich, łagodnych, o ich śmiechu drażniącym i pocałunkach gorących w noc księżycową, zdala od oczu ludzkich i podsłuchów ciekawych. „Oj, hordyj, pysznej, hordyj panyczu, hordyj panyczu, pane Wasylu! Hej! Hajda-hej!“

Baśń! Baśń żywa, wszystkimi migocąca barwami, niby łąki, trawą bujną okryte, ognikami kwiatów płonące — to Huculszczyzna!

Zwory wąskie i kamieniste rzek przełomy, drążone wartem wiecznie niespokojnym, co po skokach i zakosach mknie ku morzu; ciemne puszcze — zadumane i nasepione ni to w trosce nieodstępnej; dzikie zwierzęta, po matecznikach głębokich ukryte; potrzaskane zło-

miska na wierchach; zielone szczytów kopuły, milczące i białe połoniny, to znów rozedrgane głosami ludzi i bydła porykiem, gdy w letnim szat przepychu wyżynne legną łąki; dni skwarne, noce burzliwe, mgieł zwały i smugi; cerkwie do pagód podobne i, jak pagody, w szafirowym cieniu drzew starych — cierpliwe i wyrozumiałe dobrotliwie; czarne ściany grazd i chat pidgania, gdzie snuje się życie tajemne, przed okiem ludzkim strzeżone zazdrośnie, wreszcie sam lud, ten nieznan, który praojców pogubił w wieków pomroce, a dostojny, rycerski i męski, bo nie znosi obrazy i hańby, krzywdy nie umie wyrzucić z pamięci



Do tańca...

i przebaczyć nie może, wolność, jak słońce miłuje, ze szczytów wysokich na padół patrząc z pogardą i czując w sercu gorącym bezkresną namiętność żywiołów; lud sadyb kurnych, watr dymem i żarem ziejących, lud zwary rzecznej, w bryzgach kipiącej i w pianie; lud rozkochany w artyźmie rzeźb, tkanin, broni ozdobnej i pysznej odzieży, czuły, jak struna, na piękno natchnienia i słowa dźwięcznego poryw mocarny; czyż to nie baśń najprawdziwsza? Czyż nie tchnie i nie pociąga balady urokiem do szczytu eposu wzniesiony krótki Dobosza żywot zbójnicki? Czyż nie rozbrzmiewają baśni tęsknotą obyczaj starodawne, gusła, talizmany, zaklęcia i obok nauki Chrystusa — gorejąca płomiennie z krwi i kości huculska wiara ludowa, przepojona żywicą i tchnieniem „dujawic“, przeszłości bujnej rozedrgana echem, — tak prosta, choć mroczna niekiedy grzeszna, zato górom tym bliska niewymownie i droga osiedlom samotnym, rozrzuconym od Gorgan do Prutu i Czeremoszu? Piękna baśń! Któż miałby serce, by cieszyć się, gdy żywa watra tej baśni sędziwej zagaśnie bez śladu? Wszak przy popołach szarych zasiądzie



...muzykal

wówczas biała „mara” — nieubłagane widmo śmierci i ciśnie chwastów gąszcz na grób słonecznej Huculszczyzny, co tajemnicą swoją wabi i omamia urody czarem i czaru mocą, jak ta dziewica leśna, płasająca w mroku borów. A jednak... Życie pędzi wartem rozpiętym i porywa wszystko w wir swój rozszalały... Załamuje się już Hucul — gazda, watah, sykmanycz i oryl zuchwały przy kiermie, załamują się niby daraby na głazach, zacząjonych w kipieli, gdy w mglistych zwojach „mraki” szlaku i celu nie widzą. Trawą jałową porastać poczęło ich życie nieznane i dalekie, ni to połonina, w zaniedbaniu leżąca odłogiem. Do obcych ich duszom i żądzom osiedli zgiekliwych coraz to przychodzą ze swej wierchowiny na poniewierkę tułaczą ci bazarze natchnieni, marzący o pięknej dziewczicy i orle mocarnym — jej kochanku wspaniałym! Ale pędzi już i huka po płajach, grehitach i borach echo radosne, co chyże i śmiałe aż z nad Wisły przymknęło. To woli głos, co mocna jest jak skała Dobosza, jak stal, wykuta w ogniu czynu. Słuchajcie! Zagrały już trembity! Połoninny rusza chód!



Huculszczyzna wola!

POSŁOWIE

Kilka słów wyjaśnienia... Autor niniejszego dziesiątego tomu „Cudów Polski“ na podstawie całej niemal literatury starej i najnowszej, dotyczącej jego tematu, opisał Huculszczyznę dla pokazania tej perły naszej ojczyzny najszerszym warstwom czytelników, którzy nigdy nie zajrzeliby ani do aktów grodzkich, ani do podstawowych dzieł O. Balcera i W. Szuchiewicza. Wśród prac naukowych o tym kraju i ludności jego uczeni polscy, rusczy, rosyjscy i niemieccy pozostawili wybitny i cenny dorobek. Autor miał więc do swego rozporządzenia tworzywo obfite i o wartości wysokiej. Rola jego polegała na spopularyzowaniu wyników badań naukowych. Dlatego jednak, aby praca jego zatętniała żywą i gorącą krwią, autor trzykrotnie wędrując po Huculszczyźnie zajrzał do każdego niemal jej zakątka. W wyniku pokochał malowniczą, słoneczną i pełną tajemnicy Wierchowińę Beskidską. W znacznym stopniu zależało to od zrozumienia i wycucia duszy kraju i ludu, czego jednak nie osiągnąłby bez przyjaznych wskazówek prof. dr. Ludwika Kolankowskiego, pułk. Norberta Okołowicza i dr. Stanisława Vincenza, którym na tem miejscu autor składa serdeczną podziękę.

Wdzięczność autora należy się też instytucjom i osobom, które ułatwiły mu jego podróż i orjentowanie się w całokształcie zadania, a więc T-wu Przyjaciół Huculszczyzny w osobach pp. Generałów Kasprzyckiego, Kordjana Zamorskiego i kap. dypl. J. Kozolubskiego, którzy w tak poważny i godny sposób wzięli w opiekę ten piękny, tak długo niedoceniany kraj i jego barwny lud, p. wice-ministrowi Aleksandrowi Bobkowskiemu, Dyrektorowi Naczelnemu Lasów Państwowych inż. Adamowi Loretowi, pp. nadleśniczym Jurkiewiczowi, Matuszowi i Szwetzowi; p. wicewojewodzie Alojzemu Kaczmarczykowi w Stanisławowie, pp. starostom Z. Robakiewiczowi i S. Staniewiczowi, p. komisarzowi L. Żelisko oraz pp. prof.

dr. E. Frankowskiemu w Warszawie, prof. dr. K. Hartlebowi i dr. P. Kontnemu we Lwowie, dr. A. Tarnawskiemu w Kosowie i wójtowi Żabia — p. P. Szekieryk-Denykiwowi.

Autor nie może też nie wspomnieć z uznaniem Polskiego T-wa Krajoznawczego, zasłużonego pioniera sprawy poznania naszej Ojczyzny, oraz Polskiego T-wa Tatrzańskiego, z gościnności jego bowiem autor korzystał podczas swoich podróży, posiłkując się schroniskami T-wa, gdzie, myśląc o jego działalności, ocenił w całej pełni wielką, obywatelską pracę P. T. T. w dziedzinie rzucenia siewu umiłowania pięknych gór naszych, ochrony swojszczyzny, ich przyrody i krajobrazu, jak też szybkiego rozwoju sportu, — pracę szlachetną i tak bardzo niezbędną.

Jeżeli tom ten stanie się wiernym sojusznikiem obu zasłużonych Towarzystw, wzbudzając nową falę zainteresowania się naszych rodaków Huculsczyzną — tym idealnym dla turystyki krajem, gdzie wszystko przemawia do myśli i serca wędrowca, myśliwego, rybaka, narciarza, miłośnika pięknej i bujnej natury, wreszcie Polaka — zdolnego do wycucia radosnej dumy, iż ojczyzna jego posiada tak niezwykły zakątek — pełen malowniczości, niewyjaśnionych jeszcze zagadek i wielkich możliwości — autor „Huculsczyzny“ będzie uważał zadanie swoje za wykonane.

F. A. Ossendowski.

SŁOWNIK

- ARIDNYK** = djabel
BAJBARAK = kaftan szeroki, gunia
BANIA = źródło solne
BANUSZ = kasza kukurydziana prażona w śmietanie
BARIWOCZKA = beczuleczka
BARTKA = toporek, ciupaga
BASZTANNYK = stary las iglasty
BERBENYCIA = naczynie drewniane na bryndzę
BĘŻNIUKY = dwojaki gliniane
BERDO = przepaść, strome urwisko
BESAHY = wory do juków
BESKIDNIK = tak w w. XVII. nazywano opryszków karpackich
BIEŁA RIKA = biała rzeka = Czeremosz Biały
BOKŁAH = naczynie drewniane do płynów
BOWHAR = juhas pasący woły
BUNDZ = kwaśny, nieposolony, młody ser
BURDEJ = jednoizbowa kurna chata biedaków
BUTYN = dokonany poręb, lub ogolone po świeżym porębie zbocza góry
CAPINA = hakowaty jednostronny kilof do przesuwania kłoców
CARYNKA = ogrodzona łąka przeznaczona na sianożęcie lub wypas owiec przy chacie
CHRAM = święto kościelne, odpust
CIURKAŁO = korytko z biegnącą w niem wodą źródłaną, źródło
CZAPASZ = ścieżka wydeptana przez zwierzęta
CZERŁENYJ = czerwony
CZICZKA = kwiat
CZUCH = węch
DARABA = kilka tratw połączonych do splawu
DIDKO = djabel
DIJNYCIA = szkopek do dojenia krów
DROBJETA = owce, kozy
DRUGAR = rękojeść wiosła na tratwie
DUJAWICA = wiatr halny
DUKAR, DUKA = bogaty gazda
DURMAN = środek odurzający
DŻEMORA = gęstwina
FICIGORNYJ = zalotny
GANIA = gadożer, ptak drapieżny
GAWRA = legowisko niedźwiedzia
GAZDA = góral, gospodarz
GERDAN = kolja, ozdoba z paciorków ułożonych w deseń geometryczny
GŁOWACICA = pstrągo-łosóś
GRAZDA = osada górala, otoczona drewnianą ścianą zagrody
GREHIT = wierch złomiskowy
GUGLA = peleryna z kapturem, noszona przez kobiety huculskie
HAJNO = barłóg niedźwiedzia
HAJTOWA = polowanie
HAT = grobla regulująca prąd w rzece
HODOWANEC = przybrany syn
HODYNA = burza, niepogoda
HOŁOWNYCTWO = morderstwo
HRUDA = gruda
HRUZ = podwodne przeszkody w łozysku rzeki
HUK = wodospad
HUŚLENKA = skiszone po uprzednim zagotowaniu mleko, przypominające „Jogurt”.
HUTIAT SY PO TYRWACH = tokują po łąkach (o gluszcach i cietrzewiach)
HUZIR = grubszy koniec kłoców w tratwie
HUŻWA = porwóz z lyka

- JYZWOR** = www w grch
KAHA = rura, wyciagajca dym z pieca do sieni
KAPCZURY = wełniane czerwone lub czarne poczochy
KEEF = laska gralska
KEPTAR = haftowany na skrce kaftan bez rkaww (tatrzaski „serdak“)
KIECZERA = grski szczyt bezleny
KIERMA = wiosło na tratwie (raczej ster)
KIERMANYCZ = flisak
KIERON = starszy drwal (intendent na porbie, nieraz wyzsikiwacz robotnikw)
KISYJ = kwasny
KISZNYCIA = cze poloniny, przeznaczona na sianocie
KEPANIA = uszata czapa futrzana
KOACZ = ulepiony z sera i wygotowany w male obwarzanek
KOYBA (KOLIBA) = budynek w lesie, w ktrym mieszkaj drwale
KOREDA = zatopione drzewo
KOSZJERISZCZE = wypasowa cze poloniny
KOSZIERY = zagrodzone miejsca, gdzie stoj owce (koszary)
KOTIUHA = pies
KOWERCI = szerokie koce
KOWTKY = kolczyki, noszone przez kobiety
KRASZENYECIE = wełniane na czerwono lub czarno barwione spodnie
KRESANIA = fileowy, okragly kapelus z gralski z rondem
KRIS = strzelba
KUJAWA = lka
KUJEWY = szczyty gr
KULESZA = kasza z kukurydzy, mamalyga
KURBAO = gbokie miejsce w korycie rzeki
KYDRYNA = limba
ANC = auchy lub powrozy przy hierwionach tratwy
EGIN = miodzieniec
ENTIUCH = tak nazywaj Huculi ludzi miejskich, (inaczej „szarapatka“ lub „lata“)
UH = lka
YSKAWKA = wiecidelko; blyskawica
LISNA = dziewica lena
LISNYJ = duch lasu
LISOWYK = bies leny
LIZNYKI = barwne koce wełniane
LUBYSTEK = lubczyk, rodek magiczny na zdobycie serca umiowanej osoby
LUTYJ = surowy, zły
MACZKATYJ DOSZCZ = drobny deszcz nieprzerwany
MAKOWYCIA = kopuła na cerkwi
MALCHOWA = torfowisko
MANTA = mski płaszcz z kapturem
MARZYNA = bydło rogate
MAZANKA = koszula wygotowana w loju; nosz j jubasi, drwale i flisacy
MRAKA = mga
MUDRYNA = modrzew
NAMISNYK = płka do stawiania naczynia
NAMITKA = okrycie gowy zamcznych Huculek
NEGURA = mga
NENIA = matka
NIAWKA = czaricia dziewczyna, zjawa
NICZNYCI = duchy, mary nocne
NICZNYK = nocny strz na poloninie
OBAZ = ciezka pod zwisajcymi skalami
OBRAZNYK = ciana, gdzie wisz obrazy
OBZORYNY = ogldziny (obyczaj weselny)
ODCZYN = ludowa magia przeciwko złym siom
OPACZYNA = lopata wiosła na tratwie
OSEDOK = osiedle, domstwo
PASKA = bułka ozdobna, wypiekana na Wielkanoc
PASKEWNYK = drewniane naczynie dla wieconego
PEREAZ = kamienie lub stopnie dla przekroczenia zagrode
PIDGANIE = weranda przed chat, zaciniona okopem
PYSANIE = zdobienie rzezb, wypalaniem wzorw, inkrustacj itd.
PYSANYJ = ozdobiony
PEAJ = droga wydeptana przez bydło
PEICZOK = ciezka
PEESO = spokojna zatoka
PEOWA = ulewa
PESKANKA = naczynie gliniane
POOWACZKA = ciezka myliwska
POECI = rodzaj kredensu dla ustawienia naczynia
POEDYCIA = goolez
POUDENOK = posiłek jubasw w poudnie
POONINA = lki wysokogrskie
POONYNA ZAKOSYCYT SIA = zakwicci si polonina

- POMANA = spadek
 POREKŁO = nazwisko, przydomek
 POWNYCIA, PROPIJ = szczegóły obrzędu weselnego
 PROSTYBIH = pobożne westchnienie: Niech Bóg wybaczył
 PRYKRASY = ozdoby
 PRYLUDNIE = godnie
 PRYTUŁY = przybudówki chasty z schroniskiem dla krów
 PUSZKAR = strzelec
 RAKWA = drewniane naczynia na wódkę i inne płyny
 ROPIYSZCZE = pokłady ropy
 ROZCZOŁYNY = góry, pocięte pasmami lasów
 ROZKRUTJE = wiązania tratw z prętów lub drutów
 ROZŁOHY = rozsuwane żerdzie w zagrodzie, rodzaj bramy
 RSZIENNYJ = chrzczoney, prawdziwy
 SARSAMA = narzędzia drwali
 SKOKI = progi w łożysku rzeki
 SKOTAR = pastuch
 SLIP = huculski potrzask na niedźwiedzia
 SOCHAR = słupek na tratwie
 SUWAŁO = spuszczenie drzewa z gór
 STAJA = pasterski budynek mieszkalny bez pieca [na poloninie]
 STOISZCZE = zabudowania na poloninach
 STUDENEC = galareta z nóg wieprzowych lub wołowych
 STRUNKA = koszara z budynkiem, gdzie doją owce, przechodzące przez wązkie drzwiczki, przed którymi siedzą pasterze
 SUKROWYSZCZE = miejsce, gdzie pochowano zabitego lub samobójcę
 SUMNYJ = smutny
 SUTKY = droga ogrodzona plotem z żerdzi
 SUTUHA = pasmo górskie
 SYHŁA = las trudny do przejścia
 SYKMANYCZ = drwal
 SYŁANKA = kolja z koralików lub bursztynów
 SWITYWKA = dziewczynka trzymająca światło podczas obrzędu weselnego
 SWOŁOK = belka, na której opiera się pułap
 SZAR = rząd dranic dachu huculskiego
 SZTYCHAR = drwal naprawiający ryzy, którymi drwale spuszczały drzewo z gór
 SZYPOTY = miejsce w rzece, gdzie woda wre na kamieniach
 SZWARY = wysoka, twarda trawa
 TABIWKA = ozdobna torebka, noszona (TASZKA) przez Hucula na ziemię przez ramię
 TALBA = mała tratwa, część splawu
 TERCH = juki, wkładane na konie
 TERKYŁY = wory, z których składa się juk
 TOKARYK = tokarz
 TORBEJ = żebrak
 TRAPASZ = ścieżka, perć owcza
 TRIŁO = trucizna
 TRISUNKA = barwny pęk wstążek, kwiatów, włóczek lub piór, zdobiony kapeluszu Hucula
 UHEOWYJ = narożny
 UPLIT = ułożenie włosów w uczesaniu kobiety.
 WARE = słowo nieznanego pochodzenia, używane w potocznej mowie — oznacza: czyż, może, azali, zaiste (niektórzy badacze upatrują w tym słowie element rzymski — vere, verus)
 WATAH = wódz; przeważnie starszy pasterz na poloninie
 WATRA = ognisko
 WERSZKA = pułapka na ryby, z prętów wiklinowych splecioną
 WIERCHOWINA = nazwa, nadawana niekiedy Huculszczyźnie
 WYWOŁANKA = kobieta złych obyczajów
 WORYNIA = ogrodzenie z żerdzi i stojaków świerkowych
 WYKUPNE = szczegół obrzędu weselnego
 WURDA = ser pośledniejszego gatunku
 ZAJDEJ = przybysz, przechodzień
 ZARINKA = część brzegu rzeki, gdzie flisacy kłecą tratwy
 ZAWIDCIA = starszy drwal na porębie, (zawiadowca)
 ZAWODYNY, ZACZYNIANIE, ZAPROSINY = różne momenty w obrzędach weselnych huculskich
 ZGARDA = naszyjnik z blach, krzyżów i monet
 ZHAR = miejsce, gdzie szalał pożar leśny
 ZJECHŁYJ = najprawdziwszy, wykapany
 ŻEHŁYSZCZE = miejsce, gdzie płonie ognisko
 ZENTYCIA = serwatka
 ŻEREP = kosodrzewina
 ZJERWA = zły pies łańcuchowy

ŹRÓDŁA ILUSTRACYJ

- ARCHIWUM MIASTA LWOWA we Lwowie: 40.
BIALIKIEWICZ S. we Lwowie: 191d.
BIBLIOTEKA RACZYŃSKICH w Poznaniu: 26, 27, 79g.
BITTNER S. we Lwowie: 36gd, 37gd.
BEAŻ A. w Worochcie: 137gd, 176d (l).
BONGOWA E. we Lwowie: 91gd.
CZERNY E. w Bitkowie: 11d, 47gd, 111, 220.
GAUDIN K. w Worochcie: 181d.
HACZEWSKI F. W. we Lwowie: 183g.
BELOHLAVEK J. w Kosowie: 72d, 73d.
CENTRALNE BIURO INWENTARYZACYJNE ZABYTEKÓW SZTUKI M. W. R. i O. P w Warszawie: 68d, 87, 90gd, 98gd, 99g, 122g, 123g, 126d, 127, 142d, 143gd, 148gd, 149d, 152, 157, 163gd, 164g, 168, 171, 178, 201, 210, 219g.
DOWÓDZTWO 6-GO PUŁKU LOTNICZEGO: 170, 195g.
JAROCKI W. w Krakowie: 80/81, 92, 179g, 192/193.
JAROSZYŃSKI Jan w Warszawie: 3, 8, 11, 21g, 50gd, 93g, 107g, 112gd, 113, 114, 115, 132/133, 174, 176/177d, 195d, 197d, 215g, 218.
KOMUSIEWICZ FR., ks. w Stanisławowie: 74gd.
KLUCZYCKI K. we Lwowie: 39g.
LATANOWICZ S. w Poznaniu: 79d.
LENKIEWICZ A. we Lwowie: 7b, 14/15, 17g, 18, 21d, 22, 24/25, 32, 44, 49d, 51, 52, 53, 54, 57, 70, 71gd, 77d, 91d, 97, 107d, 109g, 110, 134, 154, 158, 160/161, 169g, 175, 179d, 180gd, 181g, 182, 183d, 184/185, 186d, 187, 190, 202d, 206g, 208/209.
MADEYSKA A. w Krakowie: 39d.
MIKOŁASCHOWA R. we Lwowie: 28, 29g, 49g, 82, 83, 89g, 124, 159, 169d, 173, 212, 213gd, 214gd.
MUZEUM IM. DZIEDUSZYCKICH we Lwowie: 15d, 109g, 120, 128, 129, 136, 138, 139gd, 143d, 147gd, 166gd, 167gd, 219d.
MUZEUM LUBOMIRSKICH w Lwowie: 64, 67, 83.
MUZEUM NARODOWE w Krakowie: 116/117.
MUZEUM NARODOWE w Warszawie: 216/217.
MUZEUM PRZEMYSŁOWE we Lwowie: 84.
MUZEUM UKRAIŃSKIE we Lwowie: 42, 43, 48, 130, 131.
OLSZANIECKI E. we Lwowie: 6, 16, 17d, 23gd, 29d, 30, 35, 38, 58gd, 59, 119, 125, 135d, 144d, 176d(p), 186g, 199d, 202g, 203gd, 205d, 206d, 211d.
P. A. T. w Warszawie: 105g, 142g, 150, 188gd, 189gd, 191g, 204.
PHOTO-PLAT w Warszawie: 34.
REMER J. w Warszawie: 196, 200.
SENKOWSKI M. w Kosowie: 63g, 72g, 73g, 89d, 99d, 102gd, 103, 105d, 106, 121g, 162, 197g.
SICHULSKI K. w Krakowie: 1, 13, 100/101, 109d, 153.
SMOLUCHOWSKA M. w Poznaniu: 194.
TARNAWSKI W. w Kosowie: 118.
TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ HUCULSZCZYŃNY w Warszawie: 93d, 104, 108, 121d, 122d, 123d, 126g, 140gd, 141gd, 149g, 151gd, 164d, 165gd, 207, 215d.
TRESZKA J. we Lwowie: 63d, 198, 199g, 205g, 211g.
WIKTOR B. we Lwowie: 7g, 31, 62, 135g, 144g, 177d(l).
WILCZYŃSKI T. we Lwowie: 12, 33, ET/61, 94, 172gd, 176/177g.
WOJEWÓDZKI URZĄD KONSERWATORSKI we Lwowie: 41, 68g, 69gd, 77g.
WOLCZEWSKI W. we Lwowie: 177d(p).

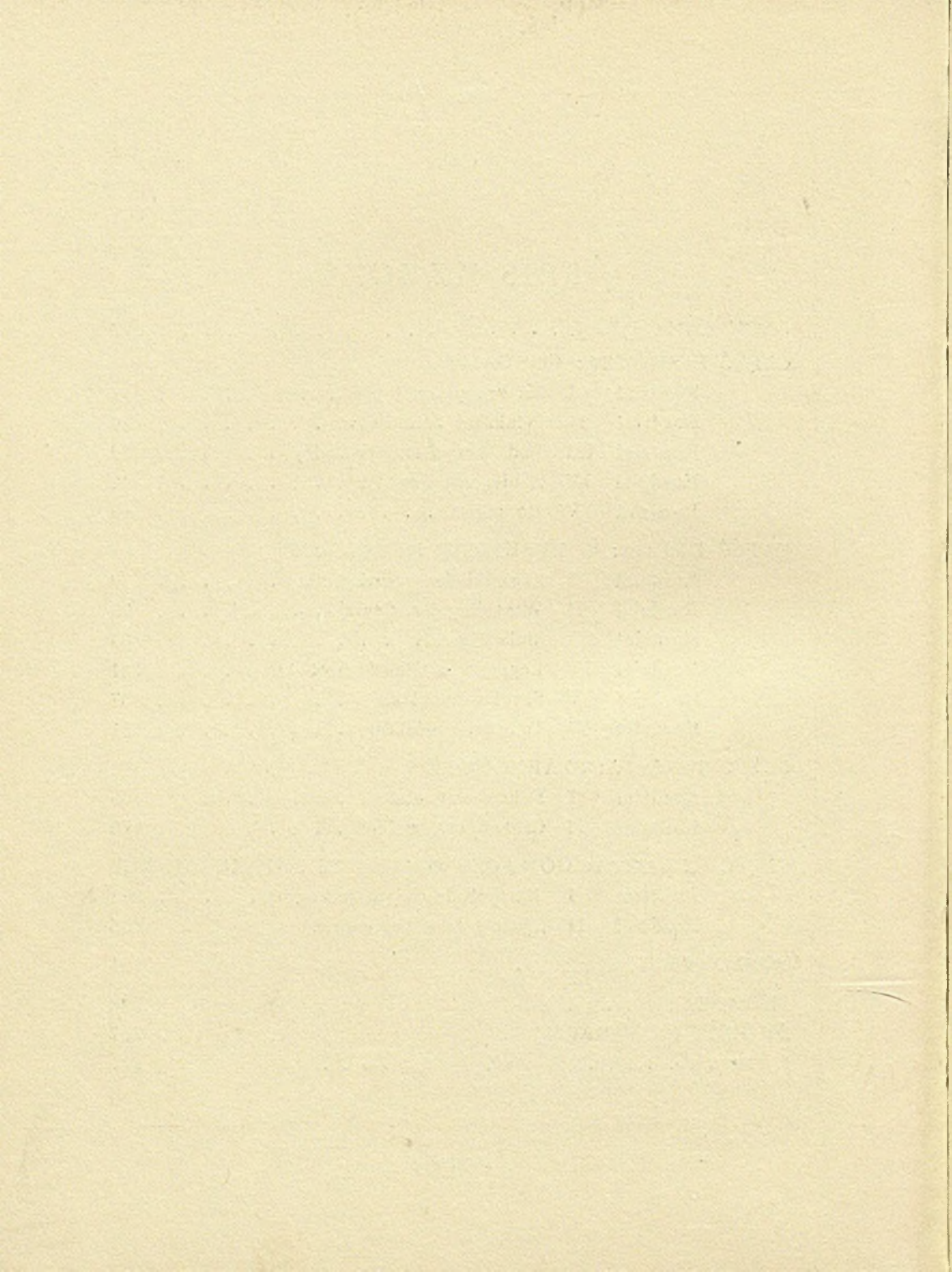
Numeracja dotyczy stron.

Litery oznaczają miejsce: g = górne, ś = środkowe, d = dolne, l = lewe, p = prawe.

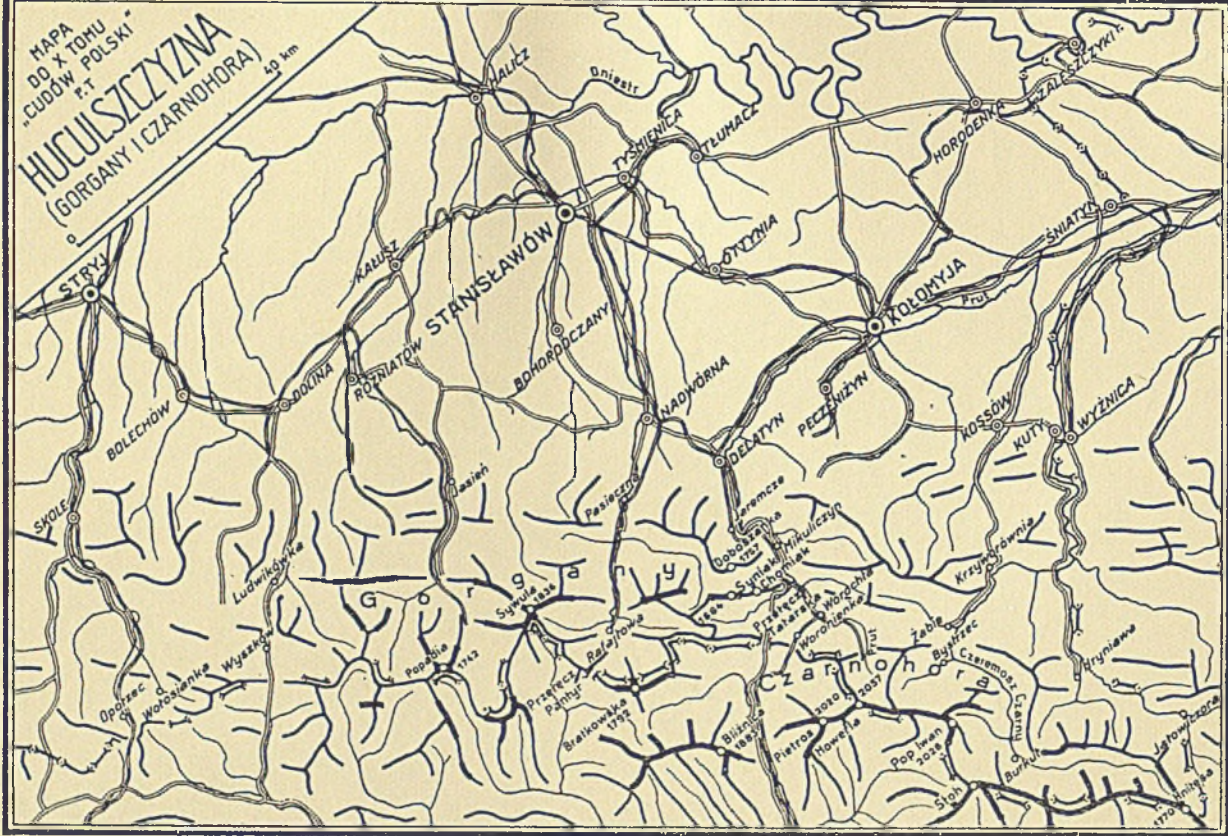
SPIS RZECZY

	Str.
SŁONECZNY KRAJ	7
CZĘŚĆ PIERWSZA: GORGANY	
Rozdział I Na szczytach i przełęczach	17
Rozdział II Szlakami bohaterów	29
Rozdział III Pod skrzydłami twierdzy	39
Rozdział IV Z biegiem Prutu	49
Rozdział V Do miast	63
CZĘŚĆ DRUGA: W BESKIDZIE HUCULSKIM	
Rozdział I Zagadki bez rozwiązania	79
Rozdział II W stolicy huculskiej	93
Rozdział III Śmierć gazdy	109
Rozdział IV Legenda o Ołeksie Doboszu	121
Rozdział V Sztuka huculska	137
Rozdział VI Tchnienie wieków	151
CZĘŚĆ TRZECIA: CZARNOHORA	
Rozdział I Fale skamieniałe	169
Rozdział II Czarnohora w bieli	179
CZĘŚĆ CZWARTA: GÓRY CZYWCZYŃSKIE i HRYNIAWSKIE	
Rozdział I Ku południowym rozrogom	195
Rozdział II „Jakaż tota połonyńka“	205
POSŁOWIE	221
SŁOWNIK	223
ŹRÓDŁA ILUSTRACYJ	227
MAPA	231





MAPA
DO X TOMU
"CUDDÓW POLSKI"
F.T
HUCUISZCZYŻNA
(GORGANY I CZARNOHORA)
40 km



STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH

K 18759